

Jon Krakauer

WSZYSTKO ZA ŻYCIE

Przełożyła Magdalena Jakóbczyk-Rakowska

Prószyński i S-ka,
Warszawa 1998

Tytuł oryginału: „Into the Wild”

Copyright © 1996 by Jon Krakauer All Rights Reserved

Tłumaczenia cytatów pochodzą z:

Jack London, „Biały kief”, Iskry, 1953, tłum. Anna Trzeciakowska-Przedpełska

Jack London, „Zew krwi”, Iskry, 1974, tłum. Eleonora Romanowicz-Podoska

Borys Pasternak, „Doktor Żywago”, PIW 1990, tłum. Ewa Rojewska-Olejarczuk

Jeffers,

John Robinson, „Wiersze”, PIW, 1968, tłum. Zygmunt Ławrynowicz

Pozostałe cytaty w przekładzie Magdaleny Jakóbczyk-Rakowskiej

Zdjęcia na okładce:

Rex Interstock / East News

Opracowanie merytoryczne: Janina Rogalska

Redaktor techniczny: Barbara Wójcik

Łamanie: Ewa Wójcik

Korekta: Anna Sidorek

ISBN 83-7180-295-1

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Opolskie Zakłady Graficzne SA

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Dla Lindy

Od autora

W kwietniu 1992 roku młody człowiek z zamożnej rodziny ze Wschodniego Wybrzeża pojechał autostopem na Alaskę i powędrował samotnie w dzikie ostępy na północ od szczytu McKinley. Cztery miesiące później grupa myśliwych polujących na łosie znalazła jego rozkładające się ciało.

Wkrótce po tym odkryciu redakcja magazynu „Outside” poprosiła mnie o prześledzenie zagadkowych okoliczności śmierci chłopca. Nazywał się Christopher Johnson McCandless. Wychował się w bogatej dzielnicy Waszyngtonu, był świetnym studentem, doskonale wysportowanym.

Latem 1990, natychmiast po otrzymaniu dyplomu z odznaczeniem na Uniwersytecie Emory, McCandless znikł z horyzontu. Zmienił nazwisko, wszystkie swoje oszczędności - dwadzieścia cztery tysiące dolarów - oddał na cele charytatywne, pozbył się samochodu i większości swych rzeczy osobistych, spalił gotówkę, którą miał w portfelu. Rozpoczął zupełnie nowe życie na marginesie społeczeństwa, wędrując po całej Ameryce Północnej w poszukiwaniu czystych transcendentnych doświadczeń. Rodzina nie miała pojęcia, co się z nim dzieje i gdzie się podziewa, póki nie natrafiono na jego szczątki.

Ponieważ miałem bardzo krótki termin, napisałem szybko artykuł, który opublikowano w styczniu 1993 roku, ale moje zafascynowanie postacią McCandlessa trwało jeszcze długo po tym, jak ten numer „Outside” znikł z półek. Prześladowały mnie szczegóły śmierci głodowej młodego człowieka i jakieś nieokreślone podobieństwa wydarzeń jego i mojego życia. Spędziłem ponad rok, odtwarzając krętą drogę, którą przebył do śmierci w ostępach Alaski. Śledziłem szczegóły jego peregrynacji z zainteresowaniem graniczącym z obsesją. Starając się zrozumieć McCandlessa, zacząłem również zastanawiać się nad ogólniejszym problemem: fascynacją Amerykanów dzikimi terenami, nieodpartym urokiem niebezpiecznego życia dla niektórych młodych ludzi i nad skomplikowanymi, naładowanymi emocjami związkami ojców i synów. Wynikiem tego zawilego dochodzenia jest właśnie ta książka.

Nie twierdzę, że jestem bezstronnym biografem. Dziwna historia McCandlessa poruszyła we mnie strunę, uniemożliwiającą beznamietne potraktowanie jego tragedii. Staralem się - mam nadzieję, że skutecznie - minimalizować obecność autora. Ale winien jestem czytelnikowi ostrzeżenie: przeplatam opowieść o McCandlessie fragmentami moich zapisków z młodości. Robię tak w nadziei, że moje osobiste doświadczenia rzucają jakieś światło na tajemniczą historię Chrisa McCandlessa.

Był młodzieńcem przeżywającym wszystko szalenie intensywnie, zatwardziałym idealistą, co nie ułatwia współcześnie egzystencji. Pozostając pod wpływem pisarstwa Lwa Tołstoja, podziwiał wielkiego pisarza za to, że potrafił porzucić

uprzywilejowane życie w bogactwie i obracać się wśród nędzarzy. Podczas studiów McCandless zaczął praktykować ascetyzm i rygoryzm moralny Tołstoja do tego stopnia, że najpierw zdumiał, a potem przeraził swoich najbliższych. Kiedy ruszył w gęstwinę Alaski, nie mógł mieć złudzeń, że wybiera się do krainy mlekiem i miodem płynącej. Wręcz przeciwnie, świadomie szukał ryzyka, niebezpieczeństw i tołstojskich przeciwności losu. I z pewnością znalazł je, aż w nadmiarze.

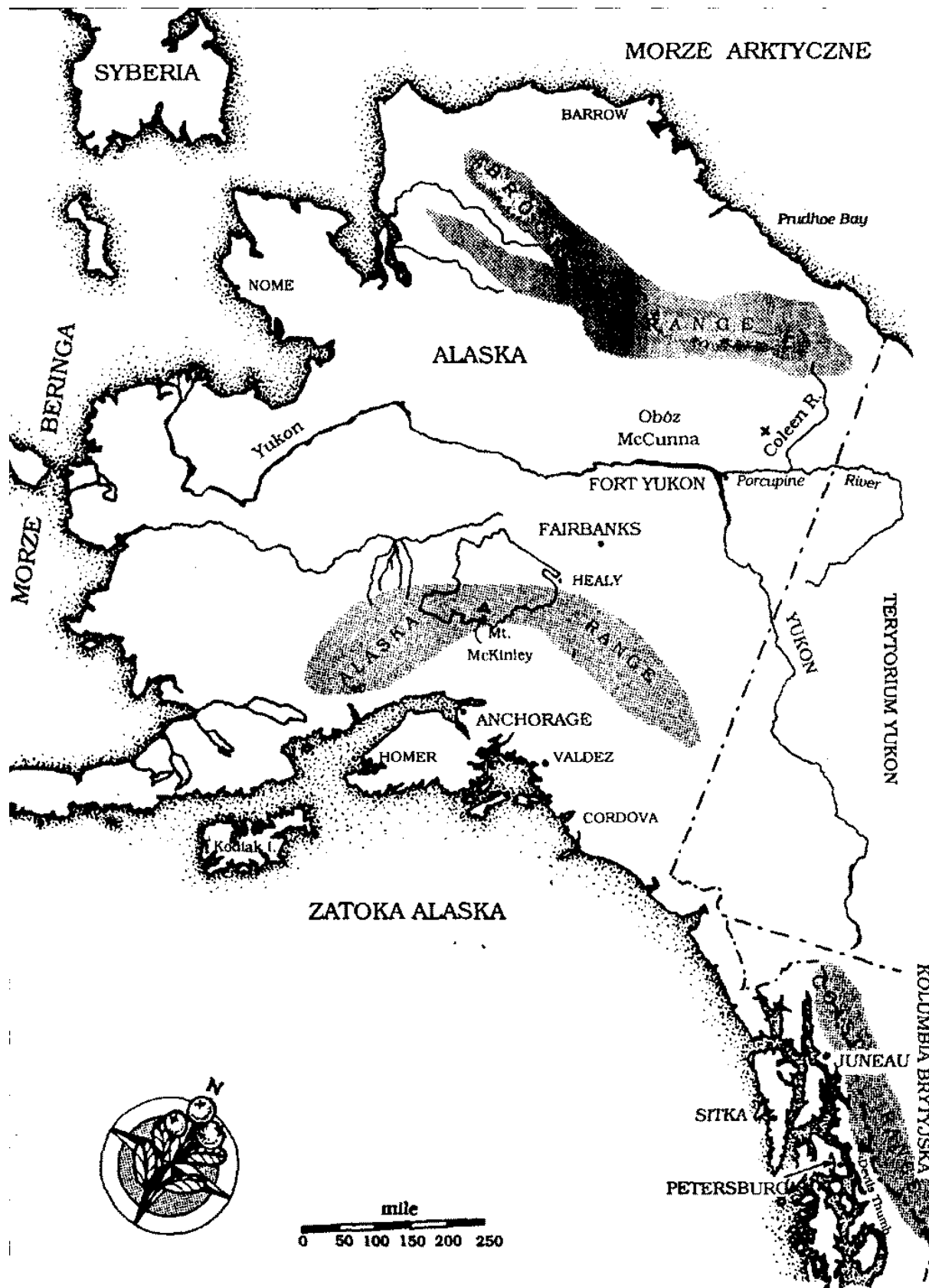
Trzeba jednak przyznać, że przez większą część czteromiesięcznych zmagania McCandless trzymał się nieźle. Gdyby nie jeden czy dwa pozornie nieistotne błędy, wyszedłby z lasów w sierpniu 1992 roku równie anonimowo, jak wkroczył w nie w kwietniu. Niestety, niewinne pomyłki przyniosły nieodwracalne skutki, jego nazwisko pojawiło się w tytułach kolorowych magazynów, a oszołomiona rodzina pozostała ze strzępami bolesnej miłości.

Zdumiewająco wielu ludzi przejęło się historią życia i śmierci Chrisa McCandlessa. W ciągu tygodni i miesięcy po opublikowaniu artykułu w „Outside” napłynęło więcej listów niż po jakimkolwiek innym artykule w historii magazynu. Korespondencja ta, jak należało się domyślać, odzwierciedlała diametralnie różne poglądy: niektórzy czytelnicy podziwiali chłopaka za jego odwagę i ideały, inni grzmieli, że był nieodpowiedzialnym idiotą, wariatem, który zginął z powodu własnej arogancji i głupoty i nie zasługiwał na tyle uwagi ze strony mediów. Moje poglądy wkrótce się ujawnią, ale chciałbym, aby czytelnik mógł mieć własną opinię o Chrisie McCandlessie.

Jon Krakauer

Seattle

kwiecień, 1995



mapa

Rozdział 1 W GŁĘBI ALASKI

27 kwietnia, 1992

Pozdrowienia z Fairbanks! To moja ostatnia wiadomość dla ciebie, Wayne. Przyjechałem tu dwa dni temu. Trudno było złapać okazję w Yukonie. Ale w końcu dotarłem. Całą pocztę do mnie odsyłaj, proszę, do nadawców. To może bardzo długo potrwać, nim wrócę na południe. Jeśli ta przygoda okaże się tragiczna i nigdy już nie dostaniesz listu ode mnie, chcę, żebyś wiedział, że jesteś wspomniałym człowiekiem. A teraz wkraczam w busz.

Alex

Kartka, którą dostał Wayne Westerberg
w Carthage, Dakota Południowa

Jim Gallien znajdował się sześć kilometrów za Fairbanks, kiedy zauważył stojącego w śniegu autostopowicza z uniesionym kciukiem, drżącego z zimna o szarym świcie Alaski. Mógł mieć osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście lat. Wyglądał bardzo przyjaźnie, choć z jego plecaka wystawał karabin. Autostopowicz z półautomatycznym remingtonem to nie była postać, dla której zatrzymują się kierowcy w czterdziestym dziewiątym stanie. Gallien jednak zjechał na pobocze i kazał chłopakowi wsiadać. Autostopowicz wrzucił plecak na tył forda i przedstawił się jako Alex.

- Alex? - powtórzył kierowca, czekając na uzupełnienie.

- Po prostu Alex - odpowiedział młody człowiek, świadomie przemilczając nazwisko.

Miał nie więcej jak metr siedemdziesiąt wzrostu, był szczupły, ale umięśniony, twierdził, że ma dwadzieścia cztery lata i pochodzi z Dakoty Południowej. Chciał, żeby go podwieźć na skraj Parku Narodowego Denali, a tam wejdzie w głąsę, żeby "przez parę miesięcy żyć darami natury".

Gallien, który był elektrykiem, jechał do Anchorage, jakieś 380 kilometrów za Denali autostradą George Parks. Powiedział Aleksowi, że może go podrzucić, dokąd zechce. Plecak pasażera wydawał się ważyć zaledwie dwanaście czy trzynaście kilogramów, co uderzyło Galliena jako wytrawnego myśliwego, człowieka lasu. Był niezwykle lekki, jak na kilkumiesięczny pobyt w dzikich ostępach, zwłaszcza wczesną wiosną.

- Nie mógł tam mieć tyle jedzenia i sprzętu, ile powinien facet zabrać na taką wyprawę - wspomina Gallien.

Wstało słońce. Gdy wyjechali z zalesionych terenów powyżej rzeki Tanana, Alex popatrzył na rozpościerające się ku południowi torfowiska. Gallien zaczął się zastanawiać, czy ma do czynienia z jednym z tych nawiedzonych z położonych bardziej na południe od Alaski stanów, którzy przyjeżdżają na północ, żeby przeżyć tajemnicze przygody, jak z Jacka Londona. Alaska stanowi od dawna magnes dla marzycieli i nieudaczników, którym się wydaje, że nietknięte przez człowieka połacie pogranicza zapełnią pustkę w ich życiu. Busz jednak nie zna litości dla tęsknot i nadziei.

- Ludzie z zewnątrz - opowiada Gallien powoli, przeciągając samogłoski - łapią pierwszy lepszy numer magazynu „Alaska”, przejrzą i myślą sobie: pojedę tam, będę żył darami natury i nareszcie znajdę swoje miejsce w życiu. Ale kiedy już się tu znajdą i naprawdę wejdą w dzikość, okazuje się, że nie jest dokładnie tak, jak pisano w magazynie. Rzeki są szerokie i rwące, komary zżerają żywca. W wielu miejscach nie ma zbyt dużo zwierzyny, na którą można polować. Życie na pustkowiu to nie piknik.

Z Fairbanks na skraj Parku Denali jechali dwie godziny. Im więcej rozmawiali, tym Alex wydawał się mniej stuknięty. Był bardzo sympatyczny i wykształcony. Zasypywał Galliena przemyślanymi pytaniami dotyczącymi drobnej zwierzyny, żyjącej w okolicy, i gatunków jagód, jakimi mógłby się żywić.

Mimo wszystko Gallien martwił się o niego. Alex przyznał, że jedynym pożywieniem, jakie zabrał, jest pięciokilogramowa torba ryżu. Jego wyposażenie było nadzwyczaj skąpe, jak na ciężkie warunki leśnej głuszy, pokrytej jeszcze w kwietniu śniegiem. Miał tanie turystyczne buty, ani ocieplane, ani nieprzemakalne. Jego strzelba kaliber .22 nie wystarczyłaby do zabicia większego zwierzęcia, takiego jak łosć czy karibu, które musiałby jeść, jeśli planował spędzić w terenie dłuższy czas. Nie miał siekiery, środków owadobójczych, butów na śnieg ani kompasu. W nawigacji jedyną pomoc stanowić mogła postrzępiona mapa drogowa stanu, którą świsnął ze stacji benzynowej. Sto pięćdziesiąt kilometrów za Fairbanks szosa zaczyna się wspinać na podnóże Alaski Range. Gdy ciężarówka przejeżdżała most na rzece Nenana, Alex spojrzął na bystry prąd i wyznał, że boi się wody.

- Rok temu w Meksyku - powiedział kierowcy - byłem na oceanie na kanoe i omal nie utonąłem, kiedy nadszedł sztorm.

Nieco później Alex wyciągnął swą nędzną mapę i wskazał na przerywaną czerwoną linię, przecinającą drogę w pobliżu górniczego miasteczka Healy. Była to trasa zwana Szlakiem Stampede; rzadko używana, na większości map drogowych Alaski nawet nie zaznaczona. Na mapie Aleksa przerywana linia wiała się na zachód od szosy Parks przez sześćdziesiąt parę kilometrów, potem zniknęła w środku dzikiego pustkowia na północ od góry McKinley. Właśnie tam, jak oświadczył Alex swemu przewoźnikowi, miał zamiar dojść.

Gallien uważał, że pomysł autostopowicza jest fatalny, i wciąż na nowo starał się go odwozić od tego planu.

- Mówiłem mu, że tam, dokąd się wybiera, trudno jest coś upolować, że może wędrować całymi dniami, nim coś znajdzie. Kiedy to nie skutkowało, zacząłem go straszyć opowieściami o niedźwiedziach. Mówiłem mu, że dwudziestka dwójka niedźwiedzia grizzly może najwyżej rozwścieczyć. Alex się tym nie przejmował.

- Wejdę na drzewo - powiedział.

Wyjaśniałem więc, że w tej części stanu drzewa wcale nie są takie duże i niedźwiedź mógłby taki mały świerczek zwalić bez trudu, ale on nie rezygnował. Miał odpowiedź na wszystko, co mu przedstawiałem jako wątpliwość.

Gallien zaproponował, że go podwiezie do Anchorage, kupi mu przyzwoity sprzęt i odwiezie z powrotem tam, gdzie Alex będzie chciał pójść.

- Nie, dziękuję - odpowiedział. - Poradzę sobie z tym, co mam. Gallien spytał, czy ma pozwolenie na polowanie.

- A na diabła - oburzył się. - Co to obchodzi rząd, czym ja się żywię. Pieprzę ich głupie przepisy.

Kiedy Gallien zapytał jeszcze, czyjego rodzice - albo ktoś z przyjaciół - wiedzą, co planuje, i czy ktoś podniesie alarm, jeśli nie wróci w umówionym terminie, Alex odpowiedział spokojnie, że nie i że nie rozmawiał z nikim z rodziny od dwóch lat.

- Jestem absolutnie przekonany - zapewniał Galliena - że nie przydarzy mi się nic, z czym nie poradziłbym sobie sam.

- Nie dawało się faceta przekonać - wspomina Gallien. - Był tak zdecydowany, naprawdę napalony; chciałoby się powiedzieć, oszalały. Nie mógł się doczekać, żeby tam dotrzeć i już ruszyć.

Trzy godziny drogi za Fairbanks zjechał z szosy i skierował swój pojazd z napędem na cztery koła w ośnieżoną boczną drogę. Przez pierwszych kilka kilometrów Szlak Stampede był dość wyraźny i prowadził między chatami rozrzuconymi wśród świerków i osik. Za ostatnią chatką z drewnianych belek droga nagle stała się rozmyta, zarośnięta olchami, zmieniła się w szlak ledwie widoczny.

Latem taka droga byłaby niewyraźna, ale przejezdna, teraz uniemożliwiała to gruba na pół metra warstwa rozmiękłego, wiosennego śniegu. Piętnaście kilometrów od szosy, w obawie, że utknie, jeśli pojedzie dalej, Gallien zatrzymał ciężarówkę na grzbiecie małego wzniesienia. Na horyzoncie od południowo-zachodniej strony pobłyskiwały oblodzone szczyty najwyższego pasma gór w Ameryce Północnej.

Alex upierał się, żeby dać Gallienowi zegarek, grzebień i wszystkie swoje pieniądze: osiemdziesiąt pięć centów drobiazgu.

- Nie chcę twoich pieniędzy - protestował kierowca - a zegarek już mam.

- Jeżeli nie weźmiesz, to go wyrzucę - radośnie odpowiedział Alex. - Nie chcę wiedzieć, która godzina, jaki dzień ani gdzie jestem. To wszystko nie ma znaczenia.

Nim chłopak wysiadł z pick-upa, Gallien sięgnął pod siedzenie, wyciągnął stare robocze gumowce i namówił go, żeby je wziął.

- Były na niego za duże - wspomina Gallien - ale powiedziałem, żeby założył dwie pary skarpet, to będzie mu przynajmniej trochę cieplej i bardziej sucho.

- Ile jestem panu winien?

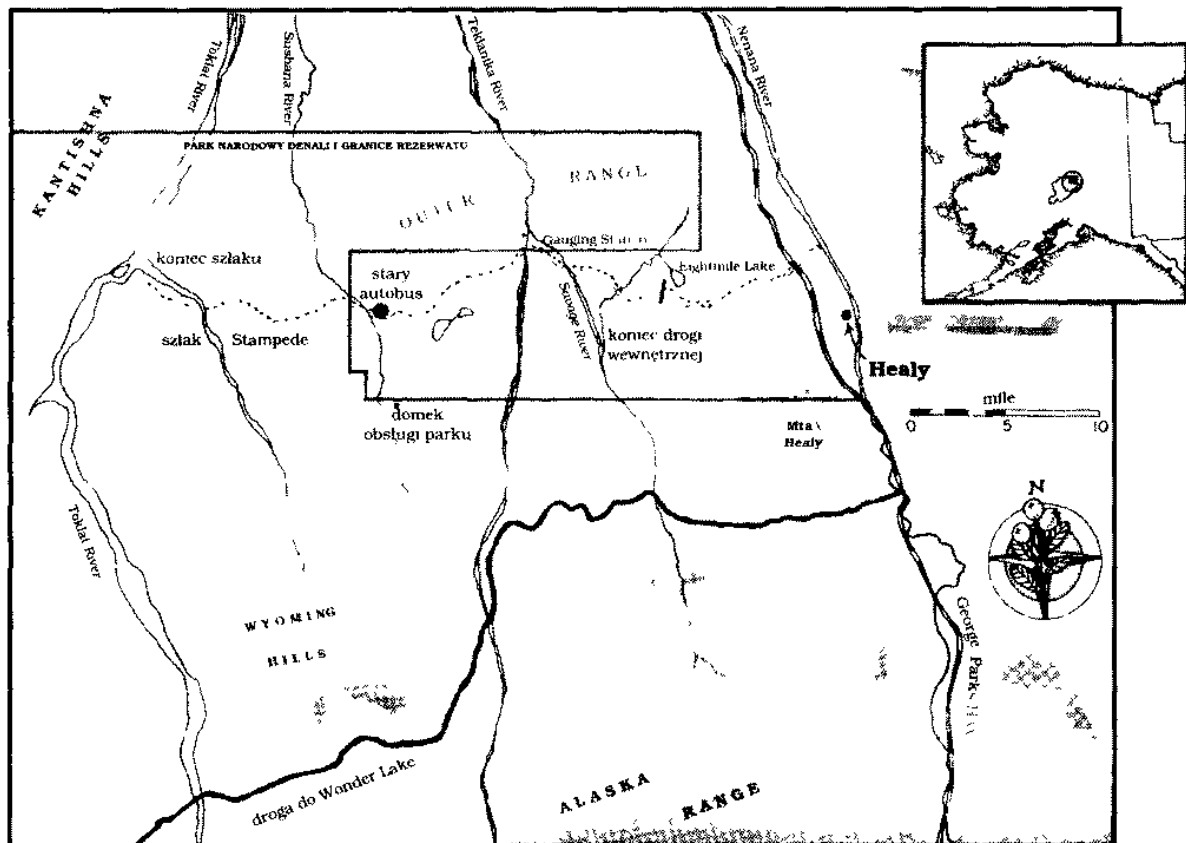
- Nie przejmuj się tym - odpowiedział kierowca i dał mu karteczkę ze swoim numerem telefonu, którą Alex schował starannie do nylonowego portfela. - Jeżeli wyjdiesz z tego żywy, zadzwoń do mnie, to powiem ci, jak je oddać.

Żona Galliena dała mu na drugie śniadanie dwie zapiekanki z serem i tuńczykiem i paczkę chrupków, więc namówił młodego autostopowicza, żeby przyjął również jedzenie. Alex wyciągnął z plecaka aparat fotograficzny i poprosił Galliena, żeby mu zrobił zdjęcie ze strzelbą na ramieniu na początku trasy. Następnie, uśmiechając się

szeroko, znikł na pokrytym śniegiem szlaku. Działo się to we wtorek, 28 kwietnia 1992 roku.

Gallien wrócił na szosę Parks i pojechał w stronę Anchorage. Kilka kilometrów dalej znajdowała się mała osada Healy, gdzie mieścił się posterunek Stanowej Policji Konnej. Chciał się zatrzymać i opowiedzieć o Aleksie, ale rozmyślił się.

- Wydało mi się, że wszystko będzie w porządku - wyjaśnia. - Pomyślałem, że szybko zgłodnieje i wyjdzie na szosę. Tak zrobiłby każdy normalny człowiek.



Rozdział 2 SZLAK STAMPEDE

Jack London jest królem.

Alexander Supertramp

maj 1992

Napis na kawałku drewna, znalezionym w miejscu śmierci Chnsa McCandlessa

Ciemna puszcza jodłowa z obu stron okalała zastygły potok. Wiatr otrzepał ze śnieżnego puchu drzewa czarne i widmowe w zmierzchu dnia. Głęboka cisza zaścieliła kraj. Ziemia wydawała się nieruchoma, półżywa jak rozpacz, opuszczona i zastygła. Nie był to już nawet wyraz smutku. Włóczył się ponad nią jak gdyby śmiech dziwaczny, stokroć bardziej niż smutek ponury; śmiech gorzki niby skrzywienie ust sfinksa, przenikliwy jak mróz, nasiąkły okrucieństwem niewinnej obojętności. Zwycięski, stłumiony uśmiech wszystkich wieków nad przemijaniem i wysiłkiem życia. Dzikość. Brutalna dzikość Północy o sercu zastygłym.

Jack London,

„Biały Kieł”

„K Ta północnym skraju Alaska Range, nim nieforemne zwały szczytu J.N McKinley i otaczających go gór zetkną się z równiną Kantishna, rozciągają się niższe zbocza, zwane Outer Range, które wyglądają jak skotłowany koc na niepościelonym łóżku. Między kamiennymi graniami dwóch najbardziej odsuniętych na zewnątrz szczytów Outer Range, ze wschodu na zachód przebiega szeroka na kilka kilometrów niecka, wyścielona mieszanką błotnistej torfu, gąszczem olch i cherlawymi świerczkami. Dnem tej doliny wije się Szlak Stampede; droga, którą Chris McCandless szedł w puszcę.

Szlak został oznakowany w latach trzydziestych przez legendarnego na Alasce górnik nazwiskiem Earl Pilgrim, który w związku z tym uważał, że trasa należy do niego. W roku 1961 spółka z Fairbanks, Yutan Construction ze stanu Alaska wygrała kontrakt na budowę na tym szlaku drogi, którą ciężarówki mogłyby wozic kruszec przez cały rok. Aby zapewnić swoim robotnikom mieszkanie, firma Yutan zakupiła trzy zdezelowane autobusy, wyposażyła je w polowe łóżka i proste piecyki i ustawiła w głuszy za traktorem na gąsienicach Caterpillar D-9.

Realizację projektu wstrzymano w 1963 roku. Zbudowano ostatecznie około osiemdziesięciu kilometrów drogi, ale nie wzniesiono mostów na rzekach, które przecinała, i wkrótce trasa stała się nieprzejezdna z powodu topniejących śniegów i okresowych powodzi. Yutan ściągnął dwa autobusy z powrotem na autostradę. Trzeci pozostał mniej więcej w połowie szlaku jako schronienie dla myśliwych i traperów. W ciągu trzydziestu lat od zakończenia budowy większość drogi została zniszczona przez powódzie, wichury i żeremie bobrów, ale autobus wciąż stoi. Rozklekotany pojazd z lat czterdziestych zasłużonej marki International Harvester stoi czterdzieści kilometrów na zachód od Healy drogą powietrzną, rdzewiejąc na pogorzelisku obok Szlaku Stampede, tuż za granicą Parku Narodowego Denali. Brakuje mu silnika, kilka okien jest pękniętych, kilku nie ma wcale, a na podłodze walają się potłuczone

butelki po whisky. Zniszczony napis informuje, że wehikuł był niegdyś własnością systemu Transportu Miejskiego Fairbanks, autobusem numer 142. W dzisiejszych czasach nie jest niczym niezwykłym, że nikt nie pojawia się w autobusie przez sześć czy siedem miesięcy, tymczasem na początku września 1992 roku sześć osób z trzech niezależnych grup znalazło się tego samego popołudnia w opuszczonym pojeździe.

W roku 1980 Park Narodowy Denali poszerzono, aby pomieściły się w jego granicach Wzgórza Kantishna i wysunięte na północ kordyliery Outer Range, ale pominięto część niskiego terenu zwanego Wolf Townships, który obejmuje początek Szlaku Stampede. Ponieważ ten pas o wymiarach jedenaście na trzydzieści metrów otacza z trzech stron chroniony obszar parku narodowego, żyje w nim niesłychana obfitość wilków, niedźwiedzi, karibu, łosi i innej dzikiej zwierzyny, co stanowi sekret starannie strzeżony przez miejscowych myśliwych i traperów, świadomych niezwykłości tej sytuacji. Gdy tylko rozpoczynają się jesienią polowania na łosie, grupka myśliwych wybiera się zwykle do starego autobusu obok rzeki Sushana, w odległości trzech kilometrów od granic parku.

Ken Thompson, właściciel warsztatu samochodowego w Anchorage, Gordon Samel, jego pracownik, i ich przyjaciel Ferdie Swanson, robotnik budowlany, wyruszyli w kierunku autobusu 6 września 1992 roku, aby podejść łosia. Niełatwo tam dotrzeć. Kilkanaście kilometrów za ulepszoną drogą Szlak Stampede krzyżuje się z Teklaniką, bystrym, lodowatym strumieniem, mętym od polodowcowej glinki. Szlak schodzi na brzeg rzeki tuż nad przełomem, przez który Teklaniką wypływa, kipiąc białą pianą. Perspektywa przeprawy przez ten mleczny nurt odstrasza wielu ludzi od dalszej podróży.

Ale Thompson, Samel i Swanson, jako niepokorni Alaskańczycy, rozmiłowani są w jeżdżeniu pojazdami mechanicznymi tam, gdzie jeździć nimi nie należy. Gdy dotarli do Teklaniki, przebadali brzeg, aż wypatrzyli fragment z dość płytkimi kanałami i skierowali pojazdy wprost do wody.

- Pojechałem pierwszy - mówi Thompson. - Rzeka była szeroka, miała jakieś dwadzieścia trzy metry, i bardzo szybka. Mój dodge ma wysokie zawieszenie i napęd na cztery koła, wysokie prawie na metr, a woda sięgała mu pod maskę. W pewnej chwili myślałem już, że nie przejadę. Gordon z przodu swojej ciężarowy ma wciągarkę, która może udźwignąć cztery tony, więc jechał tuż za mną, żeby mnie wyciągnąć, jakbym mu znikł z oczu.

Thompson przeprawił się szczęśliwie na drugą stronę, a za nim Samel i Swanson. W przyczepach dwóch ciężarówek znajdowały się lekkie pojazdy terenowe, jeden trzy-, a drugi czterokołowy. Zaparkowali ciężarówki na żuźlowym pasie, wyładowali lżejsze, terenowe pojazdy i wyruszyli w kierunku autobusu. Po kilkuset metrach szlak zmienił się w serię sięgających im do piersi sadzawek bobrów. Trzej Alaskańczycy, niezrażeni, wysadzili tamy bobrów dynamitem i osuszyli sadzawki. Pojechali dalej skalistym dnem potoku przez gęstwinę olch. Było już późne popołudnie, kiedy w końcu dotarli do autobusu. Kiedy się tam znaleźli, zobaczyli, jak to określił Thompson, „faceta i dziewczynę z Anchorage stojących jakieś piętnaście metrów od autobusu, mocno przerażonych”. Żadne z nich nie było w środku autobusu, ale podchodzili wystarczająco blisko, żeby poczuć „okropny zapach dochodzący stamtąd”. Przy tylnym wejściu, na gałęzi olchy, w zastępstwie ostrzegawczej

chorągiewki wisiał czerwony, robiony na drutach ocieplacz na łydkę. Drzwi były uchylone i wisiała na nich kartka, wyrwana z powieści Gogola, na której starannymi, drukowanymi literami napisano notatkę bardzo niepokojącej treści:

SOS. Potrzebuję pomocy. Jestem ranny, bliski śmierci i za słaby, żeby się stąd wydostać. Jestem zupełnie sam, to nie są żarty. Na miłość boską, pozostaniecie tutaj, żeby mnie ratować. Wyszedłem zbierać jagody w pobliżu i wrócę wieczorem. Dziękuję, Chris McCandless. Sierpień?

Para z Anchorage była tak przejęta listem i odorem dochodzącym z wnętrza autobusu, że bała się wejść, więc Samel zmusił się do zajrzenia przez okno. Zobaczył strzelbę Remingtona, plastikowe pudełko nabojów, osiem czy dziewięć książek w tanich wydaniach, podarte dżinsy, naczynia kuchenne i drogi plecak. Z tyłu pojazdu, na koślawym łóżku leżał niebieski śpiwór, w którym znajdowało się coś lub ktoś, chociaż Samel, jak opowiadał, nie miał pewności.

- Stałem na pieńku - mówi dalej Samel - wsunąłem rękę przez tylne okienko i potrząsnąłem śpiworem. Coś w nim było, ale ważyło niewiele. Dopiero jak podszedłem z drugiej strony i zobaczyłem wystającą głowę, wiedziałem już na pewno, co to jest.

Chris McCandless nie żył od dwóch i pół tygodnia. Samel, człowiek zdecydowany, postanowił natychmiast ewakuować ciało. Jednakże ani na ich małych pojazdach, ani na terenowym motorze pary z Anchorage nie było miejsca, by je ułożyć. Wkrótce na scenie pojawiła się szóstą osobą, myśliwy z Healy, nazwiskiem Butch Killian. Ponieważ przyjechał argo, ośmiokołowym pojazdem w rodzaju amfibii, poproszono go, żeby przewiózł szczątki, ale odmówił, twierdząc, że jest to zadanie dla Stanowej Policji Konnej Alaski.

Killian, górnik, który pracował również jako technik medyczny w Ochotniczej Straży Pożarnej Healy, miał przy sobie krótkofalówkę. Kiedy nie udawało mu się porozumieć z miejsca, w którym się znajdowali, cofnął się kilka kilometrów w kierunku szosy i tuż przed zapadnięciem zmroku zdołał nawiązać kontakt z operatorem w elektrowni w Healy.

- Nadaję komunikat - zameldował. - Tu Butch. Zawołaj policjantów. Tu w autobusie koło rzeki Sushana leży człowiek. Wygląda, że od jakiegoś czasu nie żyje.

Następnego ranka o wpół do dziewiątej helikopter policyjny wylądował z hałasem tuż obok autobusu, wznosząc tumany kurzu i liści osiki. Policjanci pobieżnie przejrzeni pojazd i okolice w poszukiwaniu śladów przestępstwa i odjechali, zabierając ze sobą szczątki McCandlessa, aparat z pięcioma rolkami wykorzystanych filmów, list z SOS i dziennik spisany w 113 enigmatycznych hasłach na ostatnich dwóch stronach przewodnika do roślin jadalnych, a dotyczący końcowych tygodni życia młodego człowieka.

Ciało odwieziono do Anchorage, gdzie przeprowadzono sekcję zwłok w Naukowym Laboratorium Wykrywania Zbrodni. Szczątki były w takim stanie rozkładu, że sprawiało trudność dokładne określenie, kiedy McCandless zmarł, ale nie znaleziono śladów poważniejszych obrażeń wewnętrznych lub złamanych kości. Na ciele nie pozostało ani odrobiny tłuszczu, a mięśnie prawie zanikły w ciągu kilku dni czy tygodni, poprzedzających śmierć. Podczas sekcji szczątki McCandlessa ważyły nieco powyżej trzydziestu kilogramów. Jako najbardziej prawdopodobną

przyczynę śmierci podano zagłodzenie.

Pod notatką SOS widniał odręczny podpis McCandlessa, a na zdjęciach, gdy je wywołano, było wiele autoportretów. Ponieważ jednak zmarły nie miał żadnych dowodów tożsamości, władze nie wiedziały, kim był, skąd pochodził i dlaczego znalazł się w autobusie, w środku Alaski.

Rozdział 3 CARTHAGE

Pragnąłem ruchu, a nie spokojnie toczącej się egzystencji. Pragnąłem podniety i niebezpieczeństwa, i okazji do poświęcenia się dla miłości. Czulem w sobie nadmiar energii, która nie miała ujścia w naszym spokojnym życiu.

Lew Tołstoj,

„Szczęście rodzinne”

Fragment zaznaczony w jednej z ksiązek znalezionych przy szczątkach Chrisa McCandlessa

Nie można zaprzeczyć, że zawsze nas uskrzydla stan, w którym nie jesteśmy niczym skrzepowani. Kojarzy nam się z ucieczką od historii, uciemżenia, prawa i przykrych zobowiązań, z absolutną wolnością, a droga do tego zawsze prowadziła na zachód.

Wallace Stegner

„The American West as Living Space”

Carthage w Dakocie Południowej ma 274 mieszkańców i jest ospałą osadą domków pokrytych szalówką, małych ogródeczków i zniszczonych ceglanych magazynów, wznoszących się nieśmiało na olbrzymich północnych równinach. Rzędy majestatycznych topoli ocieniają sieć uliczek, rzadko nawiedzanych przez pojazdy. W miasteczku jest jeden sklep spożywczy, jeden bank, stacja benzynowa i samotny bar Cabaret, gdzie siedzi Wayne Westerberg, popijając koktajl, żując słodkie cygaro i wspominając dziwnego młodego człowieka, którego znał jako Aleksa.

Na wyłożonych boazerią ścianach Cabaretu wiszą rogi jelenie, reklamy piwa Old Milwaukee i ckiwe obrazki, przedstawiające odlot dzikiego ptactwa. Nad grupkami farmerów w roboczych kombinezonach i zakurzonych czapkach, o twarzach równie znużonych jak twarze górników, unoszą się smużki dymu papierosowego. Mówią krótkimi, rzeczowymi zdaniem, wyrażają niepokój z powodu zmiennej pogody i zbyt mokrych do ścinania słoneczników, a ponad ich głowami bezgłośnie miga na ekranie telewizora szydercze oblicze Rossa Perota. Za osiem dni naród wybierze na

prezydenta Billa Clintona. Minęły prawie dwa miesiące od znalezienia na Alasce ciała Chrisa McCandlessa.

- Alex to pijal - mówi Westerberg, marszcząc się i grzechocząc lodem w szklance z white russian. - Siadał tutaj, przy końcu baru, i opowiadał nam te zdumiewające historie ze swoich podróży. Mógł tak gadać godzinami. Sporo ludzi z miasteczka polubiło Aleksa. Szkoda, że tak głupio skończył.

Westerberg, energiczny mężczyzna o szerokich barach, z czarną kozią bródką, jest właścicielem jednego elewatora zbożowego w Carthage i drugiego kilka kilometrów za osadą; co roku zbiera załogę, która obsługuje żniwa na północ od Teksasu, aż po granicę kanadyjską. Jesienią 1990 roku kończył sezon w północno-środkowej Montanie, zbierając jęczmień dla Coors and Anheuser-Busch. Po południu 10 września, po zakupie części do uszkodzonego kombajnu, zatrzymał się, żeby zabrać autostopowicza, miłego dzieciaka, który powiedział, że nazywa się Alex McCandless. Był niewysoki, żylasty, o typowej sylwetce wędrownego robotnika. Coś niezwykle wyzierało z jego oczu, żywych i ciemnych, nasuwających przypuszczenie, że miał jakichś egzotycznych przodków; może greckich, może indiańskich. Był też w nich wyraz takiej dziecięcej ufności, że Westerberg natychmiast zapragnął wziąć go pod swoje skrzydła. „Wygląda na wrażliwca, którym kobiety bardzo się przejmują”, pomyślał Westerberg. Miał niezwykle elastyczną twarz: mogła być zgaszona i bez wyrazu, a za moment rozpromienić się w szerokim uśmiechu, przy którym obnażały się nieco końskie zęby. Był krótkowidzem i nosił okulary w metalowej oprawce. Wyglądał na głodnego.

Dziesięć minut po zabraniu Aleksa Westerberg zatrzymał się w miasteczku Ethridge, żeby oddać paczkę znajomemu.

- Kolega poczęstował nas obu piwem - wspomina Westerberg - i zapytał chłopaka, od jak dawna nie jadł. Alex przyznał się, że od dwóch dni, bo jakoś skończyły mu się pieniądze. Słyszając to, żona mojego przyjaciela przygotowała mu obfity obiad, który natychmiast pochłonął, po czym zasnął z głową na stole.

McCandless powiedział Westerbergowi, że chce się dostać do Saco Hot Springs, trzysta osiemdziesiąt kilometrów na wschód autostradą U.S. Highway 2, bo słyszał o tej miejscowości od jakichś napotkanych po drodze „gumowych trampów” (to znaczy podróżnych posiadających środek lokomocji, w odróżnieniu od „skórzanych trampów”, którzy musieli korzystać z autostopu lub wędrować pieszo).

Westerberg odparł, że może go podwieźć tylko kilkanaście kilometrów, bo potem skręca na północ w kierunku Sunburst, gdzie ma przyczepę w pobliżu pól, na których prowadzi żniwa. Nim zjechał na pobocze, żeby wysadzić McCandlessa, zrobiło się wpół do jedenastej wieczorem i lało.

- Jezu - powiedział kierowca - nie chciałbym cię tu zostawiać w tym cholernym deszczu. Masz śpiwór, więc może byś tak pojechał ze mną do Sunburst i przenocował w przyczepie?

McCandless został z Westerbergiem przez trzy dni, wyjeżdżając codziennie z jego pracownikami w pole, po którym jeździli ciężkimi kombajnami wśród oceanu złocistych, dojrzałych kłosów. Nim Westerberg i McCandless się rozstali, przedsiębiorca powiedział chłopakowi, że może się do niego zgłosić w Carthage, jeśli kiedykolwiek będzie szukał pracy.

- Minęły najwyżej dwa tygodnie i Alex pojawił się w mieście - wspomina Westerberg. Zatrudnił go przy elewatorze i wynajął mu tani pokój w jednym z dwóch domów, których był właścicielem. - Dawałem robotę różnym autostopowiczom - ciągnie Westerberg. - Większość z nich nie nadawała się do tego, nie chciało im się pracować. Z Alekssem była zupełnie inna historia. To najlepszy pracownik, jakiego widziałem. Jakakolwiek by była praca, on ją wykonał. Czy to była ciężka fizyczna robota, czy wybieranie zgniłego ziarna i zdechłych szczurów z dna dołu, najbrudniejsze zajęcie, po którym nikt by cię nie poznał. I nigdy nie przerwał w połowie. Jeżeli jakąś pracę zaczął, to ją skończył. Traktował to jak nakaz moralny. Narzucał sobie bardzo wysokie standardy etyczne.

- Od razu było widać, że Alex jest inteligentny - wspomina Westerberg, sącząc trzecią szklaneczkę. - Dużo czytał. Używał mądrych słów. Może dlatego wpędził się w to wszystko, że za dużo myślał. Czasami za bardzo chciał zrozumieć ten świat, zastanawiał się, dlaczego ludzie często są dla siebie tacy źli. Parę razy próbowałem mu powiedzieć, że to błąd - tak głęboko w to wszystko włączyć - ale on był uparty. Alex musiał mieć absolutnie właściwą odpowiedź, zanim przeszedł do następnej sprawy.

W którymś momencie Westerberg odkrył z formularzy podatkowych, że prawdziwe imię McCandlessa brzmiało Chris, a nie Alex.

- Nigdy mi nie wyjaśnił, dlaczego zmienił imię - mówi dalej Westerberg. - Z tego, co powiedział, można było się domyślić, że coś się nie układało między nim a rodziną, ale nie lubię mieszać się do czyichś spraw, więc nie pytałem.

Jeśli McCandless czuł się obco z rodzicami i rodzeństwem, to znalazł wspólnotę zastępczą w osobach Westerberga i jego pracowników, z których większość mieszkała wraz z nim w domu Westerberga w Carthage; w prostym, dwukondygnacyjnym budynku w stylu królowej Anny, położonym kilka przecznic od centrum, z górującą nad wszystkim topolą, która rosła przed domem. Panował tam swobodny, towarzyski styl życia. Czterech lub pięciu mieszkańców gotowało po kolei dla wszystkich, razem chodzili pić i razem, choć bez większego sukcesu, uganiali się za dziewczynami.

McCandless szybko pokochał Carthage. Podobał mu się panujący w osadzie zastój, plebejskie obyczaje, bezpretensjonalny wygląd. Odpowiadało mu to, że położona jest na uboczu, z dala od głównych traktów. Tej jesieni nawiązał trwałą przyjaźń z miasteczkiem i Wayne'em Westerbergiem. Gospodarz, liczący trzydzieści parę lat, został jako chłopiec przywieziony do Carthage przez swych przybranych rodziców. Jest człowiekiem renesansowym: farmerem, spawaczem, biznesmenem, maszynistą, mechanikiem, licencjonowanym pilotem, programistą komputerowym, specem od elektroniki i naprawy gier telewizyjnych. Krótco przed poznaniem McCandlessa jeden z jego talentów przysporzył mu kłopotów z prawem.

Westerberg został wciągnięty w sprzedaż i produkcję „czarnych skrzynek”, które nielegalnie odkodowały programy telewizji satelitarnej, co pozwalało ludziom na oglądanie ich bez opłat. FBI coś wywęszyła, zastawiła pułapkę i aresztowano go. Skazano i jakieś dwa tygodnie po przybyciu McCandlessa do Carthage, 10 października 1990 roku, Wayne zaczął odsiadywać w Sioux Falls czteromiesięczny wyrok. Bez Westerberga zabrakło dla McCandlessa pracy w elewatorze, więc 23

października, wcześniej, niż zapewne planowałby w innych okolicznościach, chłopak wyjechał z miasteczka i powrócił do swego koczowniczego trybu życia.

Ale jego przywiązanie do Carthage pozostało bardzo silne. Przed wyjazdem podarował Westerbergowi cenne wydanie „Wojny i pokoju” z 1942 roku. Na stronie tytułowej napisał dedykację: *Przekazane Wayne’owi Westerbergowi od Alexandra. Październik, 1990. Słuchaj Pierre’a.* (Chodzi o protagonistę i *alter ego* Tolstoja, Pierre’a Bezuchowa, wąpiącego altruistę z nieprawego łoża). McCandless był w kontakcie z Westerbergiem; przemierzając Zachód, dzwonił lub pisał do Carthage co miesiąc czy dwa. Poczty przesyłano mu na adres Westerberga, a wszystkim spotkanym ludziom mówił, że pochodzi z Dakoty Południowej.

W rzeczywistości wychowywał się w bardzo dobrych warunkach w Annandale, w stanie Wirginia. Jego ojciec, Walt, jest znanym inżynierem; pracował dla NASA i Hughes Aircraft w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych; projektował między innymi systemy radarowe dla promów kosmicznych. W roku 1978 Walt założył własną małą, ale dobrze prosperującą, firmę konsultingową User Systems, Incorporated. Partnerem w tym przedsięwzięciu była matka Chrisa, Billie. W rodzinie wychowało się ośmioro dzieci: młodsza siostra Carine, z którą Chris odczuwał silne więzi, i sześcioro przyrodniego rodzeństwa z pierwszego małżeństwa Walta.

W maju 1990 roku Chris ukończył z bardzo wysoką średnią Uniwersytet Emory w Atlancie, gdzie wydawał studenckie pismo „The Emory Wheel”, w którym również pisał. Specjalizował się w historii i antropologii. Proponowano mu członkostwo prestiżowej organizacji studenckiej Phi Beta Kappa, lecz odmówił, twierdząc, że tytuły i *zaszczyty* nie mają znaczenia. Ostatnie dwa lata jego studiów opłacano z funduszu czterdziestu tysięcy dolarów, jakie zostawił mu przyjaciel rodziny. Kiedy kończył, pozostały jeszcze dwadzieścia cztery tysiące dolarów i rodzice sądzili, że wykorzysta je na studia prawnicze. „Myliliśmy się” - przyznaje ojciec.

Kiedy Walt, Billie i Carine pojechali do Atlanty na uroczyste wręczenie dyplomów, nie wiedzieli, że wkrótce Chris ofiaruje wszystkie swoje pieniądze na OXFAM, organizację charytatywną zajmującą się walką z głodem. Uroczysta ceremonia odbyła się w sobotę, 12 maja. Rodzina wysłuchała długiego przemówienia, wygłoszonego przez panią sekretarz pracy, Elizabeth Dole, a następnie Billie zrobił zdjęcia uśmiechniętemu Chrisowi, idącemu przez estradę, aby odebrać swój dyplom.

Nazajutrz obchodzono Dzień Matki. Chris dał mamie czekoladki, kwiaty i sentymentalną pocztówkę. Zdumiała się i bardzo wzruszyła, gdyż był to pierwszy prezent od syna od ponad dwóch lat. Oznajmił wtedy rodzicom, że dla zasady nie będzie odtąd przyjmował ani dawał prezentów. Tuż przed dyplomem zrobił im wymówkę, że wystąpili z propozycją zakupu nowego samochodu jako nagrody i chcieli dołożyć pieniędzy na jego studia prawnicze, gdyby jego fundusz okazał się niewystarczający. Uznał, że ma przecież bardzo dobry samochód, swojego ukochanego datsuna B210 z 1982 roku, nieco przerdzewiałego, ale technicznie sprawnego, z przebiegiem 205 000 kilometrów.

Nie mogę uwierzyć, że chcą mi kupić samochód - skarżył się w liście do Carine - i sądzą, że im pozwolę zapłacić za moją szkołę prawniczą, jeżeli miałbym tam pójść... Mówiłem im milion razy, że mam najlepszy samochód na świecie, samochód, którym

zjeździłem cały kontynent od Miami do Alaski, samochód, z którym na tych tysiącach kilometrów nigdy nie miałem najmniejszego problemu, samochód, którego bym nigdy nie sprzedał, samochód, do którego jestem bardzo przywiązany – a do nich nie dociera to, co mówię, i myślę, że przyjmę od nich nowe auto! Muszę bardzo uważać, żeby w przyszłości nie akceptować żadnych prezentów od nich, bo pomyślą, że kupili sobie mój szacunek.

Chris nabył używanego żółtego datsuna pod koniec ogólniaka i od tego czasu, kiedy tylko były jakieś wolne dni w szkole, wybierał się samotnie na długie wyprawy; również w weekend, kiedy rodzice przyjechali na jego uroczyste odebranie dyplomu, wspomniał coś, że to lato też spędzi w drodze. Dokładniej powiedział to tak:

- Myślę, że na jakiś czas zniknę.

Wtedy żadne z rodziców nie potraktowało tego jako zapowiedzi zdarzeń, chociaż Walt delikatnie upomniął syna, mówiąc:

- Hej, tylko pamiętaj się z nami zobaczyć, nim wyruszysz.

Chris uśmiechnął się i jakby kiwnął głową, a Walt i Billie potraktowali to jak obietnicę, że odwiedzi ich w Annandale, i pożegnali się.

Pod koniec czerwca Chris przysłał im z Atlanty kopię swego ostatniego świadectwa: piątki z „Apartheidu i społeczeństwa południowoafrykańskiego” oraz „Historii myśli antropologicznej” i piątka minus ze „Współczesnej polityki afrykańskiej i kryzysu żywnościowego w Afryce”. Dołączył krótki liścik:

Przesyłam kopię mojego ostatniego świadectwa. Ze stopniami wszystko poszło dobrze i wylądowałem z bardzo wysoką ogólną średnią. Dzięki za zdjęcia, maszynkę do golenia i pocztówkę z Paryża. Chyba wam się tam rzeczywiście podobało. Musiało być bardzo fajnie.

Dałem Lloydowi (najbliższy przyjaciel z Emory) jego zdjęcie; był bardzo wdzięczny, bo nie miał żadnej fotografii z wręczenia dyplomu.

Nic specjalnego się nie dzieje, ale zaczyna być tu naprawdę gorąco i wilgotno. Pozdrówcie wszystkich ode mnie.

Była to ostatnia wiadomość, jaką ktokolwiek z rodziny Chrisa od niego dostał.

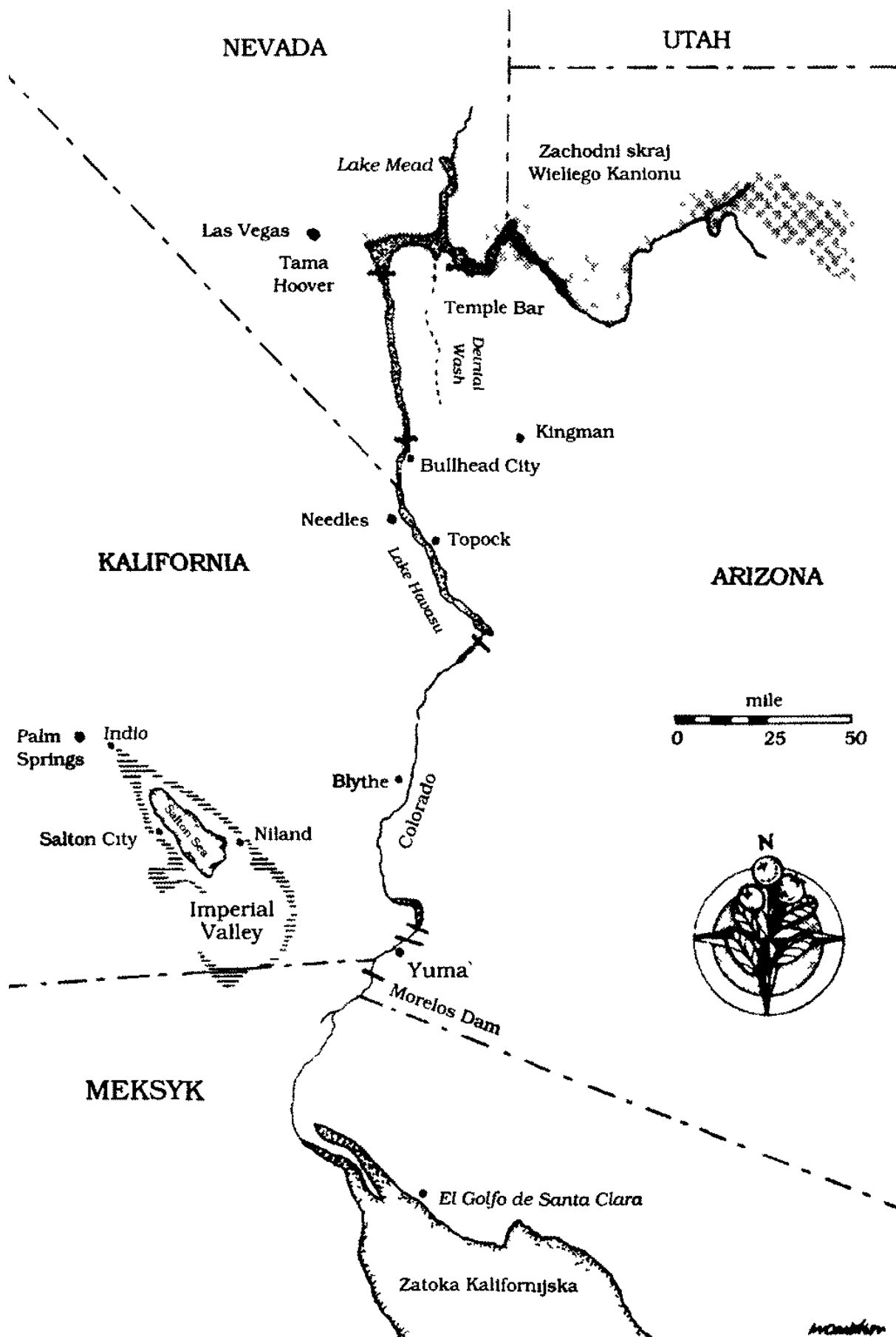
Podczas swego ostatniego roku w Atlancie Chris mieszkał poza terenami uniwersytetu, jak mnich, w małym pokoju wyposażonym w zasadzie tylko w cienki materac na podłodze, skrzynki po butelkach i stół. Utrzymywał tam nienaganny porządek, jak w koszarach. I nie miał telefonu, więc rodzice nie mogli do niego zadzwonić.

Ponieważ na początku sierpnia wciąż nie mieli od niego wiadomości, od czasu tego liściku ze stopniami, zdecydowali wsiąść do samochodu i pojechać do Atlanty odwiedzić go. Kiedy znaleźli się pod jego mieszkaniem, było puste, a na oknie przyklejono napis *Do wynajęcia*. Administrator powiedział, że Chris wyprowadził się pod koniec czerwca. Kiedy Walt i Billie wrócili do domu, dostali cały stos listów, które wysłali tego lata do syna.

- Najwidoczniej Chris poinstruował pocztę, żeby przechowała je do 1 sierpnia, byśmy się nie zorientowali, że coś jest nie w porządku -opowiada Billie. - Byliśmy bardzo, bardzo zmartwieni.

Chrisa już wtedy dawno nie było w Atlancie. Pięć tygodni wcześniej załadował cały dobytek do swego małego samochodu i ruszył na zachód, bez żadnego planu. Wyprawa miała być odyseją, w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, podróżą z eposu, która zmienia wszystko. Wydawało mu się, że ostatnie cztery lata spędził na wypełnianiu absurdalnego i uciążliwego obowiązku - ukończeniu uczelni. Nareszcie poczuł się niczym nieskrępowany, wyzwolony od ciasnego świata rodziców i rówieśników, świata abstrakcji, bezpieczeństwa i dóbr materialnych, świata, w którym czuł się odcięty od pulsującego nurtu czystej egzystencji.

Wyjeżdżając z Atlanty na Zachód, miał zamiar znaleźć dla siebie zupełnie nowy styl życia, który pozwoliłby się zanurzyć w niedostępnych mu dotąd doświadczeniach. Aby symbolicznie podkreślić pełne zerwanie z dotychczasowym życiem, postanowił, że nie nazywa się odtąd Chris McCandless, ale Alexander Supertramp, pan swego losu.



Rozdział 4
DERITAL WASH

Pustynia jest miejscem objawienia, genetycznie i fizjologicznie człowiekowi obcym, uczuciowo surowym, estetycznie abstrakcyjnym, historycznie wrogim... Jej formy są odważne i sugestywne. Umysł jest atakowany światłem i przestrzenią, obezwładniany suszą, gorącem, wiatrem. Pustynne niebo jest wszechobejmujące, majestatyczne, straszne. Winnych krajobrazach horyzont bywa poszarpany lub zamglony. Tutaj, wraz z częścią, którą mamy nad głową, widnokrąg jest obszerniejszy niż na pofałdowanych czy zalesionych terenach... Na nieosłoniętym niebie chmury wydają się potężniejsze, odzwierciedlają rzeźbę ziemi wklęsniętym spodem. Kanciastość form pustynnych stwarza z chmur i ładu monumentalną architekturę...

Na pustynię wędrują prorocy i pustelnicy; przez pustynię idą pielgrzymi i wygnańcy. Tu właśnie przywódcy wielkich religii szukali terapeutycznych i duchowych wartości. Samotni; nie, aby uciec, lecz by odnaleźć rzeczywistość.

Paul Shepard,

„Man in the Landscape:

A Historic View of the Esthetics of Nature”

Mak niedźwiedzia łąpa, *Arctomecon californica*, jest dzikim kwiatem spotykanym w samotnym zakątku pustyni Mojave i nigdzie indziej na świecie. Późną wiosną rozkwita delikatnym, złocistym kwieciem, lecz przez większość roku roślina zwija się niepozornie na wysuszonej ziemi. *Arctomecon californica* jest rośliną na tyle rzadką, że zaliczono ją do zagrożonych gatunków. W październiku 1990 roku, ponad trzy miesiące od wyjazdu Chrisa McCandlessa z Atlanty, pracownik parku narodowego nazwiskiem Bud Walsh został wysłany na tereny rekreacyjne w okolicy jeziora Mead, aby zliczyć maki niedźwiedzie łąpy i przekonać rząd federalny, jakie to rzadkie rośliny.

Arctomecon californica rośnie tylko na gipsowej glebie, jakiej jest sporo na południowym brzegu jeziora Mead, więc tam zaprowadził Walsh grupę strażników parku dla przeprowadzenia botanicznego remanentu. Zjechali z Temple Bar Road, przedarli się trzy kilometry bezdrożem wzdłuż koryta Derital Wash, zaparkowali na brzegu jeziora i zaczęli się wspinać stromą krawędzią koryta po kruchej gipsowej ścianie.

Po kilku minutach, gdy byli już prawie na górze, jeden ze strażników zatrzymaj się, żeby odetchnąć, i spojrzał w dół.

- Hej! Spójrzcie no tam na dół! - zawołał. - Co to jest, do diabła? Na skraju wysuszonego koryta rzeki, w gąszczu, nieopodal miejsca, w którym zaparkowali, pod ciemnobrązową plandeką znajdował się jakiś duży przedmiot. Kiedy strażnicy zdjęli płachtę, zobaczyli starego, żółtego datsuna bez tablic rejestracyjnych. Na przedniej szybie przyklejono kartkę: *To gównno jest porzucone. Komu się udaje wydostać, może sobie wziąć.*

Drzwiczki nie były zamknięte na klucz; podłogi pokryte błotem, zapewne po ostatnim wezbraniu wód. Walsh zajrzał do środka i znalazł tam gitarę Gianiniego,

rondel, w którym pozostawiono 4,93 dolara w drobniakach, piłkę nożną, torbę na śmieci pełną używanych ubrań, wędkę z kołowrotkiem, nową elektryczną golarkę, harmonijkę, kabelki do akumulatora, ponad dziesięć kilogramów ryżu, a w schowku na rękawiczki - kluczyki od stacyjki.

Strażnicy przeszukali otoczenie, „czy nie ma czegoś podejrzanego”, jak to ujął Walsh, i odjechali. Po pięciu dniach do porzuconego pojazdu przyjechał inny strażnik parku, bez trudu uruchomił silnik z pomocą swojego akumulatora i oddalił się do stacji obsługi technicznej parku narodowego w Tempie Bar.

- Pędził nim prawie sto na godzinę - wspomina Walsh. - Mówił, że jechało się jak rajdowym.

Starając się odnaleźć właściciela samochodu, strażnicy wysłali wiadomość do odpowiednich agencji organów ścigania i prowadzili badanie danych komputerowych w stanach południowo-wschodnich, żeby sprawdzić, czy datsun o tym numerze identyfikacyjnym nie był notowany w związku z jakimś przestępstwem. Nic nie znaleziono.

Krok za krokiem udało im się, po odczytaniu seryjnego numeru podwozia, trafić do Korporacji Hertz, pierwotnego właściciela pojazdu. Dowiedzieli się, że został on sprzedany wiele lat temu, jako samochód używany, i nie są obecnie zainteresowani jego odzyskaniem.

Och, wspaniale, pomyślał sobie Walsh. Prezent od bogów szosy -taki samochód będzie świetną przykrywką przy obławach na handlarzy narkotyków. I tak się rzeczywiście stało. Przez następne trzy lata służba parkowa używała datsuna do kontrolowanych zakupów narkotyków, co doprowadziło do licznych aresztowań w tej - znanej z przestępstw - okolicy wypoczynkowej, łącznie z zatrzymaniem dealera raetamfetaminy handlującego na wielką skalę z przyczepy, zaparkowanej w pobliżu Bullhead City.

- Jeszcze teraz dużo jeździmy tym starym samochodem - z dumą oświadcza Walsh w dwa i pół roku po znalezieniu datsuna. - Wystarczy dolać do niego benzyny za parę dolarów i będzie jeździł cały dzień. Niezawodny. Tak się zastanawiałem, dlaczego nigdy nikt się po niego nie zgłosił.

Datsun należał oczywiście do Chrisa McCandlessa. Po wyjeździe z Atlanty w kierunku zachodnim dotarł 6 lipca do Narodowego Terenu Rekreacyjnego nad jeziorem Mead, jadąc ostro kręconą drogą. Nie zważając na ostrzeżenia, że zjeżdżanie z głównej drogi jest surowo zabronione, skierował datsuna w szerokie, piaszczyste koryto wyschniętego strumienia. Przejechał nim około trzech kilometrów na południowy brzeg jeziora. Temperatura dochodziła do 50 stopni Celsjusza. Przed nim rozciągała się połyskująca w upale pustynia. Wśród szałwi, rzepów i komicznie rozbiegających się jaszczurek Mccandless rozłożył namiot w wątlym cieniu tamaryszka i upajał się nowo odkrytą wolnością. Derital Wash ciągnie się jakieś osiemdziesiąt kilometrów od jeziora Mead aż do gór na północ od Kingman. Większą część roku potok jest suchy jak kamień. Ale podczas upalnych letnich miesięcy potwornie rozgrzane powietrze unosi się ze spalonej ziemi, jak pęcherzyki gotującej się w czajniku wody, i pędzi w niebo prądem konwekcyjnym. Często powstają wtedy cumulonimbusy, kłębiaste, deszczowe chmury, które potrafią unosić się dziesięć kilometrów ponad Mojave. Dwa dni po tym, jak Mccandless rozłożył obóz nad

jeziorem Mead, na popołudniowym niebie pojawiła się ściana gęstych chmur burzowych i nad doliną Derital zaczęło lać.

McCandless biwakował na brzegu strumienia, kilka metrów powyżej głównego nurtu, więc kiedy z wyżej położonych terenów zaczęła spływać brązowa woda, zdążył zwinąć namiot i zebrać swój dobytek, aby go uratować przed porwaniem przez prąd. Nie miał jednak gdzie usunąć samochodu, bo jedyny wyjazd prowadził teraz przez spienioną rzekę. Okazało się, że spływająca woda nie miała dość siły, by porwać samochód albo trwale go uszkodzić, ale zamókł silnik, więc kiedy Chris próbował później z niecierpliwością go uruchomić, wyładował akumulator. Wtedy już absolutnie nie udało się datsuna ruszyć. Gdyby chciał wyprowadzić samochód na szosę, musiałby pójść do strażników, którzy zadaliby mu niewygodne pytania: przede wszystkim, dlaczego zignorował zakaz i wjechał w koryto strumienia? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że rejestracja samochodu przestała być ważna ponad dwa lata temu? Czy wie, że również jego prawo jazdy straciło już ważność, a samochód jest nieubezpieczony?

Prawdziwe odpowiedzi na te pytania nie byłyby dobrze przyjęte przez strażników parku. McCandless mógłby próbować wyjaśnić, że kieruje się przepisami wyższego rzędu, że jako świeży wyznawca Henry'ego Davida Thoreau traktuje jak Biblię jego esej „On the Duty of Civil Disobedience” („O obowiązku nieposłuszeństwa społecznego”) i uznaje za swój nakaz moralny lekceważyć prawa stanowe. Było jednak nieprawdopodobne, by przedstawiciele rządu federalnego podzielali jego punkt widzenia. Będzie musiał wyklócać się z biurokratami, spisywać przeróżne dokumenty i płacić kary. Z pewnością skontaktują się z jego rodzicami. Może jednak tego wszystkiego uniknąć. Może po prostu zostawić datsuna i kontynuować swą odyseję pieszo. I tak właśnie postąpił.

Zamiast czuć się przygnębiony takim obrotem sprawy, McCandless był uszczęśliwiony. Zalanie stało się okazją do pozbycia się niepotrzebnego bagażu. Ukrył samochód najlepiej, jak potrafił, pod brązową plandeką, zdjął tablice rejestracyjne Wirginii i schował je. Swojego winchestera do polowania na sarny zakopał wraz z innymi rzeczami, które może kiedyś będzie chciał odzyskać. Wtedy w geście, z którego zarówno Thoreau jak i Tołstoj mogliby być dumni, ułożył w stosik na piasku wszystkie swoje papierowe pieniądze - jedynki, piątki i dwudziestki - i przyłożył zapalną. Sto dwadzieścia trzy dolary w legalnej walucie zmieniły się błyskawicznie w popiół i dym.

Wiemy o tym wszystkim stąd, że McCandless udokumentował fotograficznie spalenie pieniędzy i dalsze wydarzenia, a pamiętnik-album ze zdjęciami zostawił na przechowanie u Wayne'a Westerberga. Chociaż ton dziennika, pisanego w trzeciej osobie, jest trochę napuszony i nienaturalny, oscylujący w kierunku melodramatu, dostępne dowody wskazują, że nie przeinaczał faktów; prawdomówność stanowiła jego credo, do którego podchodził bardzo poważnie.

Po załadowaniu reszty swego dobytku do plecaka Chris wyruszył 10 lipca na pieszą wędrówkę wokół jeziora Mead. Okazało się to, jak pisze w dzienniku, *kolosalną pomyłką... Lipcowa temperatura może doprowadzić do delirium*. Dostał udaru słonecznego i cudem, z pomocą jakiejś flagi, udało mu się zatrzymać kogoś pływającego łodzią po jeziorze, kto dowiózł go do przystani Callville Bay; stąd udało

mu się zabrać autostopem do autostrady.

Przez następne dwa miesiące McCandless przemierzał Zachód, oczarowany rozmiarami i siłą tego krajobrazu, podniecony drobnymi przewinieniami wobec prawa, ceniąc sobie towarzystwo innych wagabundów, których napotykał po drodze. Pozwalając kierować się przypadkowi, pojechał nad jezioro Tahoe, wędrował po Sierra Nevada i spędził tydzień, wspinając się po Pacific North Crest, aż znudziły mu się góry i wrócił na asfalt.

Pod koniec lipca dał się podwieźć człowiekowi, który nazwał się Szalony Ernie i zaoferował Chrisowi pracę na swoim ranchu w północnej Kalifornii. Fotografie stamtąd ukazują nieodmalowany, rozpadający się dom w otoczeniu kóz, kur, starych sprężynowych materacy, zepsutych telewizorów, wózków na zakupy, innego sprzętu i góry śmieci. Tam po jedenastu dniach pracy wraz z innymi włóczęgami McCandless zorientował się, że Ernie nie ma najmniejszego zamiaru mu płacić, więc ukradł czerwony dziesięciobiegowy rower, pojechał do Chico, gdzie zostawił rower na parkingu centrum sklepowego. Następnie powrócił do życia w ciągłym ruchu, jeżdżąc autostopem na północ, na zachód, przez Red Bluff, Wearville i Willow Creek.

W Arcata, w Kalifornii, wśród lasów sekwoi, McCandless skręcił w prawo na autostradę 101, prowadzącą wprost w kierunku wybrzeża Pacyfiku. Niecałe sto kilometrów na południe od linii Oregonu, w pobliżu miasteczka Orick, para „gumowych trampów” w mikrobusie zatrzymała się, żeby skonsultować mapę, kiedy zauważyli skulonego w zaroślach chłopaka.

- Ubrany był w długie szorty i idiotyczny kapelusz - opowiada czterdziestojednoletnia Jan Burres, która podróżowała po Zachodzie wraz ze swym przyjacielem Bobem, sprzedając różne ozdóbki i drobiażdżki na pchlich targach. - Miał ze sobą książkę o roślinach i według niej zbierał różne jagody do pojemnika po mleku. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie, więc zawołałam: „Hej, podwieźć cię gdzieś?” Pomyślałam, że może damy mu coś do zjedzenia. Zaczęliśmy rozmawiać. Miły był z niego chłopak. Był potwornie głodny. Głodny, głodny, głodny. Ale szczęśliwy. Mówił z dumą, że żyje, jedząc tylko te jagody. Opowiadał, że wędruje jako tramp po kraju i jest to prawdziwa przygoda. Powiedział nam o pozostawieniu samochodu i spaleniu pieniędzy. Spytałam, dlaczego to zrobił, a on na to, że nie potrzebuje pieniędzy. Mam syna w jego wieku, ale od kilku lat trochę się oddaliliśmy, więc powiedziałam do Boba: „Słuchaj, musimy wziąć z sobą tego dzieciaka i trochę go podszkolić”. Alex pojechał z nami do Orick Beach i biwakowaliśmy razem na kempingu przez tydzień. Bardzo go polubiliśmy. Kiedy nas opuścił, nie spodziewaliśmy się żadnego kontaktu, ale przez następne dwa lata przysyłał nam kartki co miesiąc lub dwa.

Z Orick McCandless udał się wzdłuż wybrzeża na północ. Przejechał przez Pistol River, Coos Bay, Seal Rock, Manzanita, Astoria, Hoquiam, Humptulips, Queets, Forks, Port Angeles, Port Townsend, Seattle. *Był samotny*, jak pisał James Joyce o Stephenie Dedalusie, swym artyście w czasach młodości.

Był niezauważony, szczęśliwy i bliski prawie dzikiego życia. Był sam, młody, uparty i szalony, samotny wśród rozległych polaci dzikości, powietrza i słonawej wody, obfitości muszelek, wszelkiej płataniny i zamglonego szarego słońca.

Krótko przed spotkaniem Jan Burres i Boba, 10 sierpnia, McCandless dostał mandat za autostop w pobliżu Willow Creek, w krainie kopalń złota, na wschód od Eureka. Przez nieuwagę podał adres swych rodziców w Annandale, gdy policjant chciał znać jego stałe miejsce zamieszkania. Niezapłacony mandat pojawił się w skrzynce na listy Walta i Billie pod koniec sierpnia. Walt i Billie, przerażeni zniknięciem Chrisa, skontaktowali się już wcześniej z lokalną policją, jednak bez skutku. Kiedy nadszedł mandat z Kalifornii, oszaleli. Jeden z sąsiadów był dyrektorem Obronnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, i Walt zgłosił się do generała po radę. Ten skontaktował go z prywatnym detektywem nazwiskiem Peter Kalitka, który wykonywał różne zadania dla DIA i CIA. Generał zapewnił Walta, że Kalitka jest najlepszy i Chrisa odnajdzie. Rozpoczynając od mandatu z Willow Creek, Kalitka przeprowadził dokładne poszukiwania, idąc nawet po śladach, prowadzących do Europy i południowej Afryki. Jego wysiłki jednak nie przyniosły rezultatu aż do grudnia, kiedy dowiedział się, badając dokumenty w urzędach skarbowych, że Chris oddał do OXFAM cały swój fundusz przeznaczony na studia prawnicze.

- To nas naprawdę przeraziło - mówi Walt. - W tym momencie nie mieliśmy już pojęcia, do czego syn zmierza. Mandat za autostop był dla nas zupełnie niezrozumiały. On tak kochał swojego datsuna, że w głowie mi się nie mieściło, żeby mógł go zostawić i wędrować pieszo. Chociaż teraz, jak patrzę na to z perspektywy, uważam, że nie powinienem był czuć się taki zaskoczony. Chris wyznawał pogląd, że nie należy posiadać więcej, niż się udźwignie na plecach.

Kiedy Kalitka usiłował wpaść na jakiś ślad Chrisa w Kalifornii, on był już daleko, kierując się na wschód, przez Cascada Range, przez porośnięte bylicą wzgórza i łożyska rzeki Kolumbia, przez podłużną enklawę Idaho do Montany. Tam właśnie, w okolicy Cut Bank, skrzyżowały się jego drogi ze szlakiem Wayne'a Westerberga i pod koniec września pracował dla niego w Carthage. Kiedy Westerberg poszedł do więzienia, praca się skończyła; zbliżała się zima, więc McCandless skierował się w cieplejsze strony.

28 października udało mu się złapać okazję olbrzymią ciężarówką, jadącą do Needles, w Kalifornii. *Uradowany dotarciem do rzeki Kolorado* - napisał w swym dzienniku McCandless. Zostawił autostradę i ruszył j pieszo na południe przez pustynię, idąc wzdłuż rzeki. Po prawie dwudziestu kilometrach dotarł do Topock w Arizonie, gdzie autostrada krzyżuje się z granicą stanu Kalifornia. W miasteczku zobaczył używane aluminiowe kanoe na sprzedaż; pod wpływem impulsu postanowił je kupić i popłynąć rzeką Kolorado do Zatoki Kalifornijskiej, ponad sześćset kilometrów na południe, za granicę z Meksykiem. Ten dolny odcinek rzeki, od Tamy Hoovera do zatoki, ma niewiele wspólnego z nieokiełznanym potokiem, który eksploduje w Wielkim Kanionie, jakieś i czterysta kilometrów powyżej Topock. Utemperowane przez tamy i kanały, dolne Kolorado bulgoce leniwie od zbiornika do zbiornika przez najgorętsze, najbardziej nagie krainy kontynentu. McCandless był poruszony surowością krajobrazu, jego urodą.

Z Topock Chris popłynął na południe do jeziora Havasu, później zrobił krótką wycieczkę rzeką Bili Williams, dopływem Kolorado, następnie głównym szlakiem przez Rezerwat Indiański Kolorado, Narodowy Rezerwat Imperial. Dryfował wśród

porośniętych olbrzymimi kaktusami alkalicznych równin, biwakował pod skarpami prekambryjskich kamieni. Pozostawiwszy na jeden dzień rzekę, aby iść śladem dzikich koni, natrafił na tablicę ostrzegającą, że nieprawnie znajduje się na ściśle strzeżonych terenach armii amerykańskiej w Yumie. Zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Pod koniec listopada, gdy przepłynął przez Yumę, zatrzymał się na dłużej, by uzupełnić zapasy i wysłać kartę do Westerberga na adres Glory House, Sioux Falls, gdzie Westerberg odsiadywał wyrok w więzieniu, z którego wypuszczano go do pracy. Kartka była następującej treści:

Cześć Wayne!

Jak leci? Mam nadzieję, że twoja sytuacja poprawiła się od czasu, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Wędruję po Arizonie już od miesiąca. Dobry stan! Są najróżniejsze krajobrazy, a klimat cudowny. Ale piszę, żeby prócz pozdrowień przesłać ci jeszcze raz podziękowanie za gościnność. Bardzo rzadko zdarza się spotkać człowieka tak hojnego i o takim dobrym sercu jak ty. Czasami jednak żałuję, że cię poznałem. Bycie trampem z pieniędzmi jest za łatwe. Bardziej podnieca podróżowanie bez grosza, kiedy musiałem niezłe kombinować, żeby znaleźć następny posiłek. Teraz jednak nie dałbym rady bez pieniędzy, bo w okolicy prawie nie uprawiają owoców.

Podziękuj, proszę, jeszcze raz Kevinowi za ubrania, które mi dał, bo zamarzlbym bez nich na śmierć. Mam nadzieję, że przekazał ci tę książkę. Wayne, naprawdę powinieneś przeczytać „Wojnę i pokój”. Rzeczywiście uważam, jak ci mówiłem, że masz chyba najlepszy charakter - z ludzi, jakich znam. To bardzo ważna i symboliczna książka. Są w niej sprawy, które, jak myślę, ty zrozumiesz. Sprawy, które większości ludzi umykają. Jeśli o mnie idzie, postanowiłem jeszcze długo prowadzić taki tryb życia. Jego prostota

I wolność są zbyt piękne, by je porzucić. Któregoś dnia przyjadę do ciebie, Wayne, żeby odwdziżyć się za twoją dobroć. Może skrzyneczką Jacka Danielsa? Będę zawsze myślał o tobie jako o przyjacielu.

*Niech Bóg cię błogosławi,
Alexander*

2 grudnia dotarł do Tamy Morelos i granicy meksykańskiej. Obawiał się, że nie będzie mógł przekroczyć granicy, nie posiadając żadnego dowodu tożsamości; przekradł się więc do Meksyku na kajaku przez otwory przepływowe w tamie. *Alex rozgląda się, szukając gdzieś oznak zaniepokojenia - czytamy w jego dzienniku - ale jego wjazd do Meksyku został albo niezauważony, albo zignorowany.* Alexander jest uradowany! Radość jednak krótko trwała. Poniżej Tamy Morelos rzeka zmienia się w labirynt kanałów irygacyjnych, bagien i ślepych kanałów, wśród których McCandless wciąż się gubił.

Kanały odchodzą w przeróżnych kierunkach. Alex zgłupiał. Spotyka jakichś pracowników kanału, którzy znają trochę angielski. Mówią mu, że nie płynął na południe, ale na zachód, w kierunku półwyspu Baja. Jest załamany. Upiera się, że musi gdzieś być droga wodna do Zatoki Kalifornijskiej. Gapią się na Aleksa i myślą,

że oszalał. Potem rozpoczynają między sobą gorączkową rozmowę, której towarzyszy wertowanie map i miganie ołówków. Po dziesięciu minutach rysują Aleksowi drogę, która ma go doprowadzić do oceanu. Nie posiada się z radości i nadzieja powraca w jego serce. Kierując się mapą, cofa się do Canal de Independencia, którym płynie na wschód. Zgodnie z mapą, kanał ten powinien przeciąć Wellteco Canal, który skręci na południe i poprowadzi go do oceanu. Nadzieje jego spełniają jednak na niczym; kanał kończy się ślepo w środku pustyni. Ale rekonesans wykazuje, że wpłynął po prostu w stare, wyschnięte koryto rzeki Kolorado. Odkrywa inny kanał, około 800 metrów dalej. Postanawia przetransportować tu łódź.

Przeniesienie kajaka i sprzętu do nowego kanału zajęło mu prawie trzy dni. W dzienniku pod datą 5 grudnia notuje:

Nareszcie! Alex znajduje, jak ma nadzieję, Wellteco Canal i kieruje się na południe. Zmartwienie i obawy powracają, gdy kanał staje się coraz węższy... Miejscowa ludność pomaga przenieść kajak Przez zaporę... Alex uznaje, że Meksykanie są ludźmi ciepłymi i przyjaznymi. Znacznie gościnniejsi od Amerykanów...

6 grudnia. Kanał pełen małych, ale niebezpiecznych wodospadów.

9 grudnia. Cała nadzieja stracona! Kanał nie dochodzi do oceanu, ale zmienia się w bagnisko. Alex przeżywa zawód. Uznaje, że jest na pewno niedaleko oceanu, i postanawia przedrzeć się przez bagno do morza. Musi pchać kajak przez trzciny i ciągnąć przez błoto. Jest zrozpaczony. O zachodzie słońca znajduje suchy teren, żeby rozłożyć obóz. Następnego dnia, 10 grudnia, Alex wznawia poszukiwanie drogi do otwartego morza, ale znów się gubi, wędrując w kółko. Kompletnie załamany, kładzie się pod koniec dnia w kajaku i płacze. Ale wtedy, jakimś cudownym zbiegiem okoliczności, napotyka meksykańskich przewodników łowców kaczek, którzy mówią po angielsku. Opowiada im swoją historię i wyjawia marzenie o oceanie. Mówią, że nie ma dopływu do morza. Ale jeden z nich zgadza się zabrać Aleksa do swego obozu i zawieźć jego i kajak (na przyczepie ciężarówki) do oceanu. To prawdziwy cud.

Myśliwi podrzucili go do El Golfo de Santa Clara, wioski rybackiej nad Zatoką Kalifornijską. Stamtąd McCandless dotarł do morza, podróżując na południe wzdłuż wschodniego skraju zatoki. Osiągnąwszy cel, zwolnił tempo, nastrój jego zmienił się na bardziej kontemplacyjny. Robił zdjęcia tarantuli, smętnych zachodów słońca, wydm i pustego wybrzeża. Zapiski w dzienniku są krótkie i pobieżne. W ciągu całego miesiąca nie napisał więcej niż sto słów. 14 grudnia, zmęczony wiosłowaniem, wciągnął kanoe na plażę, wdrapał się na urwisko piaskowca i rozłożył obozowisko na skraju opustoszałego zbocza. Spędził tam dziesięć dni, póki silne wiatry nie zmusiły go do szukania schronienia w jaskini poniżej, gdzie również był dziesięć dni. Nowy Rok witał, obserwując pełnię księżyca, wstającego nad Grań Desierto. Wielka Pustynia to ponad dwadzieścia siedem tysięcy kilometrów kwadratowych wędrujących wydm, największa piaszczysta pustynia w Ameryce Północnej. Dzień później znów wiosłował wzdłuż nagiego wybrzeża.

Wpis do dziennika z 11 stycznia 1991 roku rozpoczyna się słowami: *Fatalny dzień*. Po przebyciu części drogi na południe, wyciągnął kajak na piaszczystą łacę, z dala od brzegu, żeby obserwować silny przypływ. Godzinę później od strony pustyni

zaczęło gwałtownie wiać, i wiatr oraz napływająca z przypływem woda zniosły go na morze. Kipiel białych bałwanów groziła wywróceniem małego kajaczka. Wiatr się wzmagał, bałwanki zmieniły się teraz w wysokie, załamujące się fale.

Z wielkiej rozpacz - czytamy w dzienniku - krzyczy i wali wiosłem w kajak. Wiosło się lamie. Alex ma zapasowe. Uspokaja się. Jak straci drugie, zginie. W końcu z najwyższym wysiłkiem, wśród przekleństw, udaje mu się wciągnąć kajak na nabrzeże i o zachodzie pada zmęczony na piasek. Ten wypadek skłonił Alexandra do porzucenia kajaka i powrotu na północ.

McCandless pozostawił zniszczoną metalową łódkę 16 stycznia na wydmie na południowy wschód od El Golfo de Santa Clara i zaczął iść pieszo pustą plażą na północ. Nie widział ludzkiej duszy ani nie rozmawiał z nikim przez trzydzieści sześć dni. W tym czasie jego jedynym pożywieniem było ponad dwa kilogramy ryżu i to, co udało mu się wyłowić z morza. Doświadczenie to przypomniał sobie później i uznał, że może w podobny sposób przeżyć w gęstwinach Alaski. 18 stycznia znalazł się z powrotem na granicy amerykańskiej. Władze imigracyjne przyłapały go na tym, że chce dostać się do kraju bez dowodu tożsamości; spędzał noc w areszcie, dopóki nie wymyślił jakiejś historyjki, która uratowała od zamknięcia jego, ale nie uratowała jego ręcznej broni, *pięknego colta pythona, kaliber .38, do którego był bardzo przywiązany.*

Następne sześć tygodni McCandless spędził, wędrując drogami południowego zachodu, dojeżdżając - na wschodzie - do Houston, a na zachodzie - do wybrzeża Pacyfiku. Aby uniknąć napaści podejrzanych typków, które rządzą na ulicach i objazdach autostrad, gdzie sypiał, nauczył się przed wkroczeniem do miasta zakopywać pieniądze, które jeszcze miał, a później zabierać je, kiedy opuszczał miasto. 3 lutego, według dziennika, McCandless pojechał do Los Angeles, aby *zdobyć dowód tożsamości i znaleźć pracę, ale czuje się już teraz bardzo źle w społeczeństwie i musi natychmiast wracać na drogę.*

Sześć dni później na biwaku u stóp Wielkiego Kanionu, dokąd pojechał z parą młodych Niemców, którzy go podwieźli, napisał: *Czy to jest ten sam Alex, który wyruszył w lipcu 1990 roku? Niedożywienie i życie w drodze zostawiły piętno na jego ciele. Stracił ponad 11 kilo. Ale jego duch żyje pełnią życia.*

Siedem i pół miesiąca po porzuceniu datsuna McCandless powrócił do Dental Wash. Służba parku dawno już zabrała pojazd, ale on odgrzebał teraz swoje stare tablice rejestracyjne SJF-421 Wirginia i parę swoich rzeczy, które też zakopał. Następnie pojechał autostopem do Las Vegas i znalazł pracę we włoskiej restauracji.

Alexander zakopał plecak na pustyni 27 lutego i wjechał do Las Vegas bez pieniędzy i bez dowodu tożsamości - dowiadujemy się z dziennika. Mieszkał na ulicach z trampami, włóczęgami i pijaczkami przez kilka tygodni. Vegas nie zakończy jednak tej historii. Aleksa znów zaczęły nogi swędzić do jakiejś podróży, więc 10 maja rzucił pracę w Vegas, odkopał plecak i znów ruszył w drogę, chociaż odkrył, że jeśli ktoś jest na tyle głupi, żeby zakopać aparat pod ziemią, zobaczy, że nie bardzo da się nim potem robić zdjęcia. Tak więc historia ta nie będzie ilustrowana zdjęciami ze zdarzeń od 10 maja 1991 do 7 stycznia 1992. Ale to nieważne. Chodzi o doświadczenia, wspomnienia, wielką, triumfalną radość życia w całej pełni; o

znalezienie prawdziwego znaczenia. Boże, jak wspaniale jest żyć! Dzięki. Dzięki.

Rozdział 5 BULLHEAD CITY

Cechy pierwotnej bestii przejawiały się silnie u Bucka, a w ciężkich warunkach życia na szlaku stawały się coraz bardziej dominujące. Był to jednak rozwój utajony. Nowo narodzona chytrość nakazywała mu zachować spokój i opanowanie.

Jack London,
„Zew krwi”

*Witaj, Dominująca Pierwotna Bestio!
Oraz kapitanie Ahab!
Alexander Supertramp
maj 1992*

Graffiti odnalezione wewnątrz porzuconego autobusu na Szlaku Stampede

Kiedy okazało się, że aparat fotograficzny się zniszczył i nie można robić zdjęć, McCandless przestał również prowadzić dziennik. Powrócił do niego dopiero niemalże po roku, kiedy wyruszył na Alaskę. Dlatego też niewiele wiemy, gdzie przebywał po wyjeździe z Las Vegas w maju 1991 roku. Z listu do Jan Burres wynika, że lipiec i sierpień spędził na wybrzeżu w Oregon, prawdopodobnie w pobliżu Astorii, gdzie, jak narzekał, *mgła i deszcz są często nie do zniesienia*. We wrześniu pojechał autostopem szosą 101 do Kalifornii, a następnie znów na wschód. Na początku października wylądował w Bullhead City w Arizonie. Jest to osada w stylu późnych lat dwudziestych. Nie ma wyraźnego centrum, przypadkowo rozrzucone budynki i ciągi sklepowe tworzą dziesięciokilometrowy pas wzdłuż Kolorado; po drugiej stronie rzeki wyrastają budynki hoteli i kasyn w Laughlin w Nevadzie. Charakterystyczną cechą Bullhead jest autostrada Mohave Valley, cztery pasma asfaltu ograniczone stacjami benzynowymi, punktami gastronomicznymi, kręgarzami i sklepami z wideo, z częściami samochodowymi i innymi pułapkami na turystów.

Na pierwszy rzut oka Bullhead City nie przypomina miejsca, które spodobałoby się stronnikowi Thoreau i Tołstoja, pogardzającemu burżuazyjnym blichtrzem głównego nurtu życia w Ameryce. McCandless jednak niezwykle polubił Bullhead. Może to jego słabość dla lumpów, których było tu sporo na parkingach dla przyczep, kempingach i w pralniach automatycznych, a może po prostu zakochał się w surowym krajobrazie pustyni otaczającej miasto.

W każdym razie, kiedy przybył do Bullhead City, nie ruszył się stamtąd co najmniej przez dwa miesiące. Prawdopodobnie był to jego najdłuższy pobyt w jednym miejscu od czasu, gdy opuścił Atlantę, do wyjazdu na Alaskę i wprowadzenia się do opuszczonego autobusu na Szlaku Stampede. W kartce, którą wysłał do Westerberga w *październiku*, tak pisze o Bullhead: *To dobre miejsce do spędzenia zimy, a może w końcu się ustatkuję i porzucę koczownicze życie na dobre. Zobaczę, co będzie, jak nadejdzie wiosna, bo wtedy zawsze mnie coś gna.*

Kiedy pisał te słowa, miał cały etat w McDonalddie przy głównej trasie i dojeżdżał do pracy rowerem. Postronnemu obserwatorowi wydawać się mogło, że żył zupełnie konwencjonalnie; do tego stopnia, że założył sobie konto oszczędnościowe w lokalnym banku. Co ciekawsze, gdy starał się o pracę w McDonalddie, przedstawił się jako Chris McCandless, nie Alex, i podał prawdziwy numer swojego ubezpieczenia społecznego. Był to wyłom w dotychczasowej praktyce ukrywania się i mógłby rodziców naprowadzić na jego trop; nic takiego nie wydarzyło się jednak, gdyż prywatny detektyw nie wpadł na ten ślad.

Dwa lata po tym, jak pocił się nad grillem w Bullhead, jego koledzy z McDonalda niewiele przypominają sobie na temat Chrisa McCandlessa.

- Pamiętam tylko, że miał jakiegoś fioła na punkcie skarpetek - mówi zastępca kierownika, postawny, gadatliwy człowiek nazwiskiem George Dreeszen. - Zawsze nosił buty na gołych nogach. Po prostu nie mógł znieść skarpetek. Mamy przepis, że pracownicy muszą nosić cały czas odpowiedni strój, dotyczy to również skarpetek i butów. Chris przestrzegał tych zasad, ale gdy tylko kończył zmianę, buch! - pierwsze, co robił, to zdejmował skarpetki. Naprawdę natychmiast. Tak, jakby chciał nam pokazać, że nie jest naszą własnością. Ale miły był z niego dzieciak i dobrze pracował. Można było na nim polegać.

Lori Zarza, drugi zastępca kierownika, ma trochę odmienne zdanie na temat McCandlessa.

- Szczerze mówiąc, dziwiłam się, że go w ogóle zatrudniono - mówi. - Potrafił to robić, smażył na zapleczu, ale zawsze pracował w tym samym wolnym tempie, nawet w porze obiadowej, choćby był nie wiem jaki ruch. Klienci tłoczyli się przy ladzie, a on nie rozumiał, o co im chodzi. Jakby tkwił w jakimś własnym świecie. Ale można było na nim polegać, zawsze punktualnie przychodził, więc nie odważyli się go wyrzucić. Płacili wtedy cztery dwadzieścia pięć za godzinę, a w kasynach po drugiej stronie rzeki ludzie dostawali na dzień dobry sześć dwadzieścia pięć, więc trudno było kogoś zatrzymać na dłużej. Nie sądzę, żeby gdzieś się po robocie włóczył z którymś z pracowników. Kiedy z kimś rozmawiał, to zawsze o jakichś drzewach, przyrodzie i innych dziwactwach. Wszyscy uważaliśmy, że przydałoby mu się przelecieć jakąś panienkę. W końcu odszedł - przyznaje Zarza - chyba przeze mnie. Jak zaczynał pracę, był bezdomny i przychodził do roboty cuchnący. Było sprzeczne ze standardami McDonalda tak cuchnąć, więc w końcu wydelegowano mnie, abym go poprosiła, że ma się częściej kąpać. Odkąd mu to powiedziałam, byliśmy w konflikcie. Inni pracownicy, którzy starali się być mili, pytali go, czy może potrzebuje mydła, albo coś takiego. Widać było, że robi się wtedy wściekły, ale starał się tego nie okazywać. Jakies trzy tygodnie później po prostu wyszedł i zostawił nas.

McCandless próbował ukryć fakt, że jest wędrowcem i ma cały dobytek w

plecaku. Powiedział kilku kolegom, że mieszka w Laughlin. Kiedy proponowali mu podwiezienie po pracy, wymawiał się grzecznie. Naprawdę w pierwszych tygodniach biwakował na pustyni na skraju miasta, a później przemieszkiwał w wolnej przyczepie kempingowej. W liście do Jan Burres wyjaśniał, jak to się stało.

Pewnego ranka, kiedy golilem się w toalecie, wszedł jakiś starszy mężczyzna i obserwując mnie, spytał, czy nocuję na dworze. Powiedziałem, że tak. Okazało się, że ma starą przyczepę, w której mógłbym nocować za darmo. Problem w tym, że nie jest ona zupełnie jego. Prawdziwi właściciele pozwalają mu mieszkać na swoim terenie w jego własnej, małej przyczepie. Będę musiał uważać, żeby nie rzucać się w oczy, bo nie powinien nikogo wpuszczać. Ale to i tak dobry układ, bo wewnątrz jest bardzo miłe, umeblowane, dużo tam miejsca i działają niektóre kontakty elektryczne. Jedyńm minusem jest ten stary facet, imieniem Charlie, trochę świrnięty, dlatego czasem trudno jest dojść z nim do ładu.

Charlie mieszka wciąż pod tym samym adresem w małej, zardzewiałej przyczepce kempingowej, bez kanalizacji i elektryczności, ukrytej za znacznie większą, białoniebieską przyczepą mieszkalną, w której sypiał McCandless. Na zachodzie widać gołe góry, sterczące ponad dachami. Jasnoniebieski ford torino spoczywa na bloczkach na zaniedbanym podwórku, spod kłapy jego silnika wystają jakieś zielska. Z krzewów oleandra dochodzi amoniakowa woń ludzkiego moczu.

- Chris? Chris? - warknął Charlie, poszukując w dziurawej pamięci. - A, taa. Taa, pamiętam go, jasne. - Charlie, ubrany w bluzę i robocze spodnie khaki, jest drobnym, nerwowym człowieczkiem z kaprawymi oczami i białą szczeciną na brodzie. Według niego McCandless mieszkał w przyczepie około miesiąca.

- Miły facet, taa, całkiem miły - opowiada. - Nie lubił być w dużym towarzystwie. Humorzysty. Chciał dobrze, ale chyba miał jakieś kompleksy, rozumiesz, o co mi chodzi? Lubiał czytać książki tego faceta, co pisał o Alasce, Jacka Londona. Nigdy dużo nie gadał. Miał takie humory. Nie lubił, żeby mu przeszkadzać. Wyglądał na takiego chłopaka, który szuka czegoś; szuka, ale nie wie czego. Ja też kiedyś taki byłem, ale potem zdałem sobie sprawę z tego, czego szukam: pieniędzy! Ha, ha!

O Boże. No, ale jak mówiłem, Alaska, taa, chciał jechać na Alaskę. Może żeby znaleźć to, czego szukał. Miły facet, tak w każdym razie wyglądał. Ale miał za dużo kompleksów. Okropnie. Jak wyjeżdżał, tak koło Bożego Narodzenia, dał mi pięćdziesiąt dolców i paczkę papierosów za to, że pozwoliłem mu tu mieszkać. Bardzo to było przyzwoicie z jego strony.

Pod koniec listopada McCandless posłał kartkę do Jan Burres na adres skrytki pocztowej w Niland, małym miasteczku w Imperial Valley w Kalifornii.

- Ta kartka była pierwszą wiadomością od niego ze zwrotnym adresem - wspomina pani Burres. - Więc natychmiast mu odpisałam, że przyjedziemy się z nim zobaczyć w następnym weekend w Bullhead, bo to nie tak daleko od nas.

McCandless był uszczęśliwiony odpowiedzią Jan. W liście z 9 grudnia pisze:

Bardzo dziękuję za kartkę świąteczną. Miło, że ktoś o nas myśli o tej porze roku... Jestem taki szczęśliwy, że chcecie do mnie przyjechać, oczekuję was, wpadnijcie w dowolnej chwili. Wspaniale jest pomyśleć, że prawie po półtora roku znów się spotkamy.

Na zakończenie listu narysował mapkę i podał dokładne instrukcje, jak znaleźć

przyczepę na Baseline Road w Bullhead.

Cztery dni po otrzymaniu listu, kiedy Jan i Bob przygotowywali się do wyjazdu, po powrocie do swego kempingu zauważyli duży plecak, oparty o swój wóz.

- Poznałam, że to Aleksa. Nasza suczka, Sunni, wywachała go wcześniej. Lubiła Aleksa, ale zdziwiłam się, że go poznała. Kiedy go znalazła, zupełnie oszalała.

McCandless wyjaśnił pani Burres, że znudziło mu się Bullhead, znudziło go odbijanie karty zegarowej, znudzili „plastikowi ludzie”, z którymi pracował, i postanowił wynieść się w diabły z tego miasta.

Jan i Bob mieszkali pięć kilometrów za Niland, w miejscu zwanym Slabs, w starej bazie powietrznej, dawno opuszczonej, z której pozostały tylko puste betonowe fundamenty, rozproszone po pustyni. Kiedy nadchodził listopad, a w pozostałych częściach kraju robiło się zimno, pięć tysięcy ćpunów, włóczęgów i rozmaitych wagabundów zbiera się w tym niezwykłym miejscu, żeby tanio przezimować na słońcu. Slabs funkcjonuje jako sezonowa stolica społeczności wędrujących -tolerancyjnej, przemieszczającej się złapanymi pojazdami, składającej się z emerytów oraz ludzi wygnanych, pozbawionych środków do życia, chronicznie bezrobotnych. Tworzą ją mężczyźni, kobiety i dzieci w najróżniejszym wieku, ludzie chroniący się przed wierzycielami, nieudanymi związkami, prawem, urzędem skarbowym, zimą w Ohio, jałową harową klasy średniej.

Kiedy McCandless przyjechał do Slabs, na pustyni odbywał się właśnie pchli targ, w pełnym rozkwicie o tej porze. Pani Burres, jako jedna ze sprzedawców, rozłożyła kilka turystycznych stolików z towarami na sprzedaż, przeważnie używanymi, a Chris zaferował się, że przejrzy jej bogate zapasy używanych książek.

- Bardzo mi pomógł - przyznaje Jan Burres. - Pilnował stolika, kiedy musiałam odejść, spisał wszystkie książki, wiele sprzedał. Miał chyba dobrą zabawę. Był świetny z klasyków: Dickens, Wells, Twain, London. Ten ostatni to jego ulubieniec. Próbował przekonać każdego ćpuna, że musi przeczytać „Zew krwi”.

McCandless był oczarowany Londonem od dzieciństwa. Krytyka społeczeństwa kapitalistycznego, gloryfikacja świata pierwotnych instynktów, obrona wspaniałych brudasów - wszystko to doskonale odzwierciedlało pasję Chrisa. Zafascynowany opisywanym przez Londona życiem na Alasce i Yukonie, czytał wciąż na nowo „Zew krwi”, „Biały kiel”, „Północną Odyseję”. Był pod wrażeniem tych opowieści, zapominał wręcz, że stanowiły one wytwór autorskiej fantazji, fikcję, wynikającą z romantycznej wrażliwości Londona. McCandless dziwnie nie pamiętał, że sam London spędził na północy zaledwie jedną zimę i zmarł śmiercią samobójczą w swej posiadłości w Kalifornii w wieku lat czterdziestu, jako zarozumiały pijaczyna, gruby i budzący współczucie, prowadzący osiadły tryb życia, nie mający wiele wspólnego z ideałami, głoszonymi w książkach.

Wśród mieszkańców Slabs była siedemnastolatka imieniem Tracy, która zakochała się w McCandlessie podczas jego długiego weekendu.

- To słodkie stworzenie - wspomina Jan Burres - córka pary trampów, którzy parkowali w odległości czterech samochodów od nas. Biedna Tracy zakochała się w Aleksie beznadziejnie. Cały czas, kiedy tu był, robiła do niego słodkie oczy, prosiła, żebym go nakłaniała do spacerów z nią. Alex okazywał jej sympatię, ale ona była dla niego za młoda. Nie mógł jej poważnie traktować. Miała po jego wyjeździe złamane

serce co najmniej przez tydzień.

Mimo że Alex odrzucał względy Tracy, Jan Burres twierdzi, że wcale nie był odludkiem.

- Wśród ludzi świetnie się bawił, naprawdę doskonale. Na naszym jarmarku gadał i gadał ze wszystkimi przechodzącymi. Poznał chyba kilkadziesiąt osób w Niland i odnosił się do wszystkich bardzo przyjacielsko. Czasami potrzebował samotności, ale nie był pustelnikiem. Bardzo się udzielał towarzysko. Czasem myślę, że gromadził sobie to na zapas, na czasy, kiedy nikogo wokół niego nie będzie.

McCandless jej asystował, nawet flirtował z nią.

- Lubił ze mną pożartować i powygłupiać się - wspomina. - Kiedy wychodziłam wywiesić pranie za przyczepę, przypinał na mnie klamerki. Bawił się jak dzieciak. Miałam szczeniaczki, które lubił wsadzać pod kosz od bielizny i patrzeć, jak tam skaczą i piszczą. Dopiero jak byłam zła i wrzeszczałam na niego, to je wypuszczał. Ale naprawdę był bardzo dobry dla piesków. Wszędzie za nim chodziły, płakały, chciały z nim spać. Alex umiał postępować ze zwierzętami.

Pewnego popołudnia, gdy obsługiwał stolik z książkami na targowisku Niland, ktoś przyniósł w komis syntezator.

- Alex zabawiał ludzi cały dzień - opowiada Burres. - Grał na nim i bardzo pięknie śpiewał. Zebrał się spory tłumek. Nie wiedziałam przedtem, że jest taki muzykalny.

McCandless często rozmawiał z mieszkańcami Slabs o swych planach wyprawy na Alaskę. Co rano ćwiczył *calisthenics*, żeby być w formie do tej głuszy, i omawiał strategię przetrwania z Bobem, który miał swoje własne sposoby.

- Uważałam, że zgłupiał - mówi Jan - kiedy opowiadał nam o swojej „wielkiej odysei alaskańskiej”, jak to nazywał. Ale on był tak przejęty, że wciąż o tym mówił. Pytałam go, czy rodzina wie, jakie ma zamiary. „Czy twoja mama wie, że jedziesz na Alaskę? Czy tata wie?” Ale nigdy mi na to nie odpowiadał. Przewracał oczami, irytował się i mówił, żebym przestała mu matkować. Bob dodawał, żebym mu dała spokój, bo jest dorosłym człowiekiem, a ja wracałam do tego, póki nie zmienił tematu. To z powodu tego, co wydarzyło się między mną a moim synem. Jest gdzieś daleko, a ja bym chciała, żeby ktoś się nim zajął tak, jak ja próbowałam zająć się Alekssem.

W niedzielę, przed wyjazdem z Niland, McCandless oglądał w telewizji w przyczepie Jan Burres otwarcie rozgrywek NFL, kiedy zauważyła, że kibicuje szczególnie Redskins z Waszyngtonu, więc spytała, czy może pochodzi z tamtych okolic. Odpowiedział:

- Tak, rzeczywiście.

To było wszystko, co jej kiedykolwiek zdradził na temat swego pochodzenia. W środę oznajmił, że nadszedł czas, by wyruszyć. Musi jechać na pocztę w Salton City, osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Niland, dokąd kierownik z McDonalda w Bullhead miał mu przesłać resztę pieniędzy. Przyjął ofertę pani Burres podwiezienia tam, ale kiedy próbowała dać mu jakieś pieniądze za pomoc na *bazarze*, poczuł się obrażony. Jan Burres wspomina:

- Powiedziałałam mu, człowieku, musisz mieć pieniądze, żeby funkcjonować w tym świecie, ale ich nie przyjął. W końcu zmusiłam go, by wziął parę wielofunkcyjnych scyzoryków i kilka noży. Przekonałam go, że mogą mu się przydać na Alasce, albo

może po drodze na coś je prze-handluje. - Po długich targach udało jej się namówić go na przyjęcie ciepłej bielizny i innych ciepłych ubrań, które jej zdaniem mogły mu się przydać na Alasce. - Zabrał rzeczy, żebym się wreszcie zamknęła -śmieje się - ale dzień po jego wyjeździe znalazłam większość w ciężarówce. Wyciągnął to z plecaka, kiedy nie patrzyliśmy, i schował pod siedzeniem. Alex był wspaniałym chłopakiem, ale czasem mnie wściekał. - Martwiła się o niego, ale założyła, że wyjdzie z tego cało. - Pomyślałam, że w końcu wszystko będzie dobrze - zastanawia się. - Był inteligentny. Wykombinował, jak się dostać kajakiem do Meksyku, jak wskakiwać do pociągów towarowych, jak się załapać na łóżko w misjach dobroczynnych. Do tego wszystkiego doszedł sam, więc sądziłam, że z Alaską też sobie poradzi.

Rozdział 6 ANZA-BORREGO

Nikt nigdy nie szedł za swym dobrym duchem aż do końca. Rezultatem mogła być słabość ciała, lecz chyba nikt nie mógł powiedzieć, że tego żałuje, bo zyskiwał życie w zgodzie z zasadami wyższego rzędu. Jeśli witasz dzień i noc z radością, a życie ma woń kwiatów i słodko pachnących ziół, jest bardziej płynne, gwiaździste, nieśmiertelne - to jest twój sukces. Największe zdobycze i wartości najtrudniej docenić. Łatwo wątpimy w ich istnienie. Zapominamy o nich. A one są najprawdziwszą rzeczywistością. Prawdziwym żniwem mego codziennego życia jest coś tak nieuchwytnego i nieopisanego, jak odcienie poranka czy wieczoru. To odrobina schwytanego gwiazdnego pyłu, fragment złapanej tęczy.

Henry David Thoreau, „Walden, czyli życie w lesie”

Fragment zaznaczony w jednej z książek znalezionych przy szczątkach Chrisa McCandlessa

4 stycznia 1993 roku otrzymałem niezwykle list, napisany zapewne starczą ręką. Zaczynał się słowami: *Do odpowiedniej osoby.*

Chciałbym dostać egzemplarz magazynu, w którym wydrukowano historię młodego człowieka, Aleksa McCandlessa, który zmarł na Alasce. Chciałbym napisać do tego, kto badał ten wypadek. Wiozłem go z Salton City, Kalif... w marcu 1992... do Grand Junction Co... Tam zostawiłem Aleksa, żeby jechał autostopem do S.D. Powiedział, że będzie w kontakcie. Ostatnią wiadomość od niego dostałem na początku kwietnia 1992. W naszej podróży robiliśmy zdjęcia, ja na wideo, Alex aparatem.

Jeżeli macie egzemplarz tego magazynu, proszę mi podać koszt tego magazynu...

Rozumiem, że zachorował. Jeżeli tak, chciałbym wiedzieć, na co, bo zawsze miał w plecaku dużo ryżu +arktyczne ubranie + dużo pieniędzy.

Z szacunkiem, Ronald A Franz

Proszę tych faktów nie podawać nikomu, dopóki ja nie dowiem się więcej o jego śmierci, bo to nie był zwykły wędrownik. Proszę mi wierzyć.

Magazyn, o który Franz prosił, to „Outside” ze stycznia 1993 roku, w którym

zamieszczono ogólny artykuł o śmierci Chrisa McCandlessa. List adresowany był do redakcji „Outside” w Chicago, a ponieważ byłem autorem artykułu, trafił do mnie. McCandless wywarł niezatarte wrażenie na wielu ludziach, których poznał podczas swej hidzry, choć większość z nich spędziła w jego towarzystwie kilka dni, najwyżej tydzień czy dwa. Na nikogo jednak kontakt z tym chłopakiem nie miał aż takiego wpływu, jak na Ronalda Franza, który miał osiemdziesiąt lat, a drogi ich się zetknęły w styczniu 1992 roku.

Po pożegnaniu z Jan Burres na poczcie w Salton City McCandless podjechał autostopem na pustynię i rozłożył biwak na skraju Parku Stanowego Pustynia Anza-Borrego. Daleko na wschodzie leży jezioro Salton, ocean w miniaturce, którego powierzchnia znajduje się sześćdziesiąt metrów poniżej poziomu morza. Powstało ono w 1905 roku. Wkrótce po przekopaniu kanału z Kolorado, który miał nawodnić bogate ziemie uprawne, rzeka wystąpiła z brzegów podczas serii powodzi, wyłobiła nowe koryto i zaczęła wpływać z niesłabnącą siłą do kanału Imperial Valley. Przez ponad dwa lata kanał kierował olbrzymi prąd rzeki do basenu Salton. Woda, wpływając na niegdyś suche podłoże, zalała farmy i osiedla, zatopiła sześćset kilometrów kwadratowych pustyni i stworzyła otoczone lądem morze.

Zachodni brzeg jeziora Salton Sea, oddalony zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od świeżych, zielonych terenów, ekskluzywnych klubów tenisowych i wytwornych limuzyn Palm Springs, był swego czasu przedmiotem intensywnej spekulacji w handlu nieruchomościami. Planowano tam wspaniałe kurorty, wyznaczano działki. Niewiele jednak wyszło z tych planów, większość terenów stoi pusta i systematycznie zabiera je pustynia. Opuszczone bulwary Salton City porośnięte są chwastami, z niezamieszkanymi budynkami schodzi farba, a wzdłuż chodników stoją wyblakłe od słońca tablice z napisem *Na sprzedaż*. Tabliczka w oknie Spółki do spraw Nieruchomości i Rozbudowy „Salton Sea” informuje, że jest *Closed! Cerrado*. Ciszę przerywa tylko świst wiatru.

Z dala od brzegu jeziora ląd wznosi się najpierw łagodnie, a następnie ostro, tworząc upiorne formy poszarpanych wzgórz Anza-Borrego. Poniżej rozciąga się *bajada*, otwarty teren, poprzecinany stromymi ścianami. Tutaj, na wypalonym słońcem wzgórzu, upstrzonym indygowcami i wysokimi łodygami *ocotillo*, McCandless spał na piasku pod plandeką zwisającą z gałęzi.

Kiedy musiał odnowić zapasy, łapał jakiś samochód lub szedł sześć kilometrów do miasteczka, gdzie kupował ryż i napełniał wodą plastikowy kanister w beżowym, pokrytym sztukaterią budynku, który służył jako bazar, sklep monopolowy, poczta i salon kulturalny centrum Salton City.

Pewnego czwartku, w środku stycznia, McCandless wracał do *bajada* po napełnieniu pojemnika wodą, kiedy zatrzymał się starszy człowiek, nazwiskiem Ron Franz, żeby go podwieźć.

- Gdzie masz obóz? - spytał Franz.

- Za O-Mój-Boże Gorącymi Źródłami.

- Mieszkam w tej okolicy sześć lat, ale nigdy nie słyszałem takiej nazwy. Pokaż mi, jak się tam dostać.

Jechali kilka minut nadmorską drogą Borrego-Salton, a następnie McCandless kazał mu skręcić w lewo, w pustynię, i solidna ciężarówka z napędem na cztery koła

wiła się wąskim korytem strumienia. Po przejechaniu około półtora kilometra dotarli do przedziwnego obozowiska. Zebrało się tu około dwustu osób, aby przezimować w swych pojazdach. Było to towarzystwo z marginesu, wizja Ameryki po apokalipsie; rodziny, wegetujące w tanich samochodach z namiotowymi przyczepami, podstarzali hipisi w półciężarówkach, sobowtóry Charlesa Mansona sypiający w przerdzewiałych studebackerach, które nie nadawały się już do sprzedaży od czasu, gdy Eisenhower zasiadł w Białym Domu. Wielu obecnych w obozie spacerowało zupełnie nago. W środku obozowiska znajdowało się ujęcie wody z gorącego źródła, rozprowadzanej do dwóch płytkich stawów, okolonych kamieniami i ocienionych palmami: O-mój-Boże Gorące Źródła.

McCandless nie mieszkał właściwie w obozie przy źródłach, tylko niecały kilometr dalej. Franz zawiózł go tam, pogadał chwilę i wrócił do miasta, gdzie mieszkał sam, za darmo, zarządzając w zamian walącym się blokiem mieszkalnym. Franz, zagorzały chrześcijanin, spędził większość swego dorosłego życia w wojsku, stacjonując w Szanghaju i na Okinawie. W sylwestra 1957 roku, kiedy znów był za granicą, jego żona i jedyny syn zginęli w wypadku samochodowym, spowodowanym przez pijanego kierowcę. Syn Franza miał za rok skończyć akademię medyczną. Franz zaczął ostro pić.

Pół roku później przestał, wziął się w garść, ale nigdy do końca nie przebolewał swej straty. Aby zabić samotność w następnych latach, zaczął nieoficjalnie adoptować ubogie dzieci z Okinawy, wziął czternaścioro z nich pod swe skrzydła, płacąc jednemu za studia medyczne w Filadelfii, a innemu w Japonii.

Kiedy Franz poznał McCandlessa, jego dawno uśpione instynkty ojcowskie odżyły. Nie mógł o tym młodzieńcu zapomnieć. Chłopak powiedział, że na imię mu Alex, nazwiska nie chciał podać, i że pochodzi z zachodniej Wirginii. Był uprzejmy, przyjacielski, dobrze wychowany.

- Wydawał się niebywale inteligentny - opowiada Franz z niezwykłym akcentem, który brzmi jak mieszanka szkockiego, pensylwańskiego holenderskiego i zaciągania rodem z Karoliny. - Uważałem, że szkoda go do życia w gorących źródłach z tymi nudystami, pijakami i narkomanami. - Tej niedzieli, po wyjściu z kościoła, Franz postanowił porozmawiać z Aleksem. - Chciałem pogadać o tym, jak żyje. Ktoś go powinien przekonać, że musi zdobyć wykształcenie, znaleźć pracę i zrobić coś ze swoim życiem.

Kiedy pojechał do obozu McCandlessa i zaczął opowiadać o poprawie życia, chłopak przerwał mu nagle.

- Panie Franz - oświadczył - nie musi pan się o mnie martwić. Mam wykształcenie, nie jestem nędzarzem, żyję tak z wyboru.

Później, mimo początkowej szorstkości, chłopak zrobił się sympatyczny dla starszka i długo rozmawiali. Nim minął dzień, zdążyli pojechać ciężarówką Franza do Palm Springs do dobrej restauracji, a później tramwajem - na szczyt San Jacinto Peak, u którego stóp McCandless zatrzymał się, by odkopać meksykański koc i inne swoje rzeczy, które tu ukrył rok temu. W ciągu następnych kilku tygodni McCandless i Franz wiele czasu spędzili razem. Młody człowiek regularnie przyjeżdżał do Salton City, żeby u Franza zrobić pranie i smażyć steki. Wyznał, że czeka do wiosny, kiedy ma zamiar wyjechać na Alaskę ku „ostatecznej przygodzie”. Odwrócił role i zaczął

pouczać człowieka, który mógłby być jego dziadkiem, o wadach osiadłego trybu życia i namawiał osiemdziesięciolatka do sprzedania wszystkiego, wyprowadzenia się ze swego mieszkania i życia w drodze. Franz przyjmował te przemówienia spokojnie, zachwycony towarzystwem chłopaka. Jako doświadczony kaletnik, uczył Aleksa sekretów swego rzemiosła. Pierwszym dziełem ucznia był skórzany pasek, na którym stworzył obrazkową kronikę swych wędrówek. Po lewej stronie wypisał ALEX, następnie inicjały C.J.M. (Christopher Johnson McCandless) otoczone trupa czaszką i pieszczelami. Na kawałku skóry wołowej widać czarną dwupasmówkę, znak: zakaz nawrotu, burzę i powódź, zalewającą samochód, kciuk autostopowicza, orła, Sierra Nevada, łososa figlującego w Pacyfiku, szosę prowadzącą do Oceanu Spokojnego, od Oregon do Waszyngtonu, Góry Skaliste, pola Montany, grzechotnika z Dakoty Południowej, dom Westerberga w Carthage, rzekę Kolorado, wicher w Zatoce Kalifornijskiej, kanoe na plaży obok namiotu, Las Vegas, inicjały T.C.D., Zatokę Morro, Astorię i na końcu, tuż przy klamrze, literę N (prawdopodobnie oznaczającą północ). Wykonany z niezwykłą precyzją i artyzmem, pasek ten jest równie zdumiewający, jak inne przedmioty, pozostawione przez Chrisa.

Franz coraz bardziej przywiązywał się do Chrisa.

- Boże, jaki to był bystry dzieciak - chrypi staruszek ledwo słyszalnym głosem. Mówiąc to, patrzy na skrawek piasku między swoimi stopami, po czym przestaje się odzywać. Nachylając się sztywno, strzepuje jakiś wyimaginowany pyłek z nogawki spodni. W nienaturalnej ciszy brzmią głośno jego skrzypiące stawy. Minie ponad pięć minut, nim Franz znowu się odezwie. Zerkając w niebo, wspomina czas, który spędził w towarzystwie młodego człowieka. Często podczas wizyt twarz Aleksa ciemniała z gniewu i grzmiał wtedy na swoich rodziców, polityków lub idiotyzm oficjalnego życia w Ameryce. Bojąc się, żeby chłopak nie poczuł się zupełnie wyalienowany, Franz w takich wypadkach niewiele się odzywał i pozwalał mu się wykrzyczeć.

Pewnego dnia, na początku lutego, McCandless oznajmił, że rusza do San Diego, żeby zarobić więcej pieniędzy na swoją wyprawę na Alaskę.

- Nie musisz jechać do San Diego - zaprotestował Franz. - Ja ci dam pieniądze, jeżeli potrzebujesz.

- Nie, nie rozumiesz. Jadę do San Diego. Wyjeżdżam w poniedziałek.

- Dobra, zawiozę cię tam.

- Nie bądź śmieszny - zadrwił McCandless.

- I tak muszę jechać - skłamał Franz - po jakąś skórę. McCandless ustąpił. Zwinął obóz, zostawił większość rzeczy

w mieszkaniu Franza, bo nie chciał taszczyć po mieście śpiwora czy plecaka, i pojechał ze staruszką przez góry na wybrzeże. Padało, kiedy Franz wysadził go przy nadbrzeżu w San Diego.

- Było mi bardzo trudno to zrobić - mówi Franz. - Zostawiając go, czułem smutek.

19 lutego McCandless zadzwonił do Franza, na „erkę”, żeby złożyć mu życzenia z okazji osiemdziesiątych pierwszych urodzin. Pamiętał datę, bo sam obchodził urodziny tydzień wcześniej: 12 lutego skończył dwadzieścia cztery lata. Podczas rozmowy wyznał Franzowi, że ma kłopoty ze znalezieniem pracy.

28 lutego posłał kartkę do Jan Burres następującej treści:

Cześć!

Przez ostatni tydzień mieszkam na ulicach San Diego. Pierwszego dnia, gdy tu dotarłem, lalo jak diabli. Tutejsze misje są zaborcze i wysłuchuję tylu kazań, że można się zanudzić na śmierć. W kwestii roboty nic ciekawego, więc jutro na północ.

Postanowiłem wyruszyć na Alaskę nie później niż 1 maja, ale muszę zebrać trochę kasy, żeby się wyposażyć. Może wrócę popracować u przyjaciela, w Dakocie Południowej, jeżeli mu się przydam. Nie wiem, dokąd teraz się udam, ale napiszę, jak dotrę. Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku.

Trzymaj się, Alex

Następne kartki do pani Burres i do Franza wysłał 5 marca. Do Jan napisał:

Pozdrowienia z Seattle!

Jestem teraz włóczęgą! Tak, jeżdżę sobie pociągami. Co za zabawa, żałuję, że nie robiłem tego wcześniej. Ma ona jednak pewne wady. Pierwszą - że człowiek się staje całkowicie brudny. Drugą - że musi się stykać z tymi głupimi strażnikami. Siedziałem sobie koło wagonu w Los Angeles, kiedy ochroniarz oświetlił mnie latarką około 10 wieczorem. „Wynocha stąd, nim cię zabiję!” - wrzasnął. Wstałem i zobaczyłem, że wyciągnął rewolwer. Przesłuchiwał mnie, mierząc do mnie, po czym warknął: „Jak cię jeszcze kiedyś zobaczę koło tego pociągu, to zabiję. Spadaj na ulicę!” Co za krety! To ja się śmiałem ostatni, kiedy pięć minut później wskoczyłem do tego samego pociągu i pojechałem nim do Oakland.

Będę w kontakcie, Alex

Tydzień później zadzwonił telefon u Franza i telefonistka spytała, czy przyjmie rozmowę od kogoś, kto przedstawił się jako Alex.

- Jego głos był dla mnie jak słońce po miesiącu deszczu - opowiada Ronald Franz.

- Czy przyjedziesz po mnie? - spytał McCandless.

- Tak. A gdzie w Seattle jesteś?

- Ron - zaśmiał się McCandless - nie jestem w Seattle, jestem w Kalifornii, niedaleko ciebie, w Coachella.

Ponieważ nie mógł znaleźć pracy na deszczowym północnym zachodzie, wskoczył do kilku po kolei pociągów towarowych i znalazł się z powrotem na pustyni. W Colton, w Kalifornii, znalazł go kolejny policjant i wsadził do więzienia. Po uwolnieniu pojechał autostopem do Coachella, na południowy wschód od Palm Springs, i zadzwonił do Franza, który ruszył po niego natychmiast po odłożeniu słuchawki.

- Pojechaliśmy do knajpy Sizzlera, gdzie go napchałem stekiem i homarem - przypomina sobie Franz - i dopiero wtedy skierowaliśmy się do Salton City.

McCandless powiedział, że zostanie tylko jeden dzień, żeby wyprać rzeczy i spakować plecak. Miał wiadomość od Wayne'a Westerberga, że czeka na niego praca w elewatorze w Carthage, i bardzo się tam śpieszył. Była środa, 11 marca. Franz zaoferował, że odwiezie go do Grand Junction, w Kolorado. Najdalej tam mógł go zawieźć, nie spóźniając się na umówione spotkanie w Salton City w poniedziałek. Ku jego zdziwieniu i uldze McCandless zgodził się bez sprzeczenia.

Przed wyjazdem Franz dai mu maczetę, arktyczną kurtkę, składaną wędkę i inny

sprzęt na wyprawę po Alasce. W czwartek o świcie wyjechali z Salton City ciężarówką Franza. Zatrzymali się w Bullhead City, żeby zlikwidować konto bankowe McCandlessa i odwiedzić Charliego w jego przyczepie, gdzie Alex zostawił trochę książek i innych rzeczy, zwłaszcza album ze zdjęciami z wyprawy kanoe po rzece Kolorado. Następnie uparł się, żeby zaprosić Franza na obiad w Golden Nugget Casino w Laughlin. Kelnerka, która go rozpoznała, zawołała:

- Alex! Alex! Wróciłeś!

Przed wyprawą Ronald Franz kupił kamerę wideo i teraz zatrzymywał się czasami po drodze, żeby filmować ciekawsze widoki. Chociaż młody człowiek zwykle gdzieś umykał, kiedy Franz kierował na niego obiektyw, zachowało się kilka ujęć z nim, stojącym niecierpliwie na śniegu nad Bryce Canion.

- Dobra, jedźmy już - protestuje do kamery i dodaje po chwili: - Dalej jest też ciekawie. - Ubrany w dżinsy i wełniany sweter, McCandless jest opalony, wygląda tego i zdrowo.

Franz opowiada, że była to bardzo przyjemna, choć zbyt pośpieszna podróż.

- Czasem jechaliśmy godzinami, nie mówiąc nic - wspomina. - Nawet kiedy spał, byłem szczęśliwy, że po prostu jest. - W którymś momencie odważył się wystąpić do McCandlessa ze śmiałą propozycją. - Moja matka była jedynaczką - wyjaśnia - mój ojciec też, a ja ich jedynym dzieckiem. Skoro mój syn nie żyje, na mnie wygasa linia. Kiedy umrę, moja rodzina przestanie istnieć, zniknie na zawsze. Więc spytałem Aleksa, czy mógłbym go zaadoptować, żeby był moim wnukiem. McCandless czuł się zakłopotany, więc zwlekał z odpowiedzią: - Porozmawiamy o tym, jak wrócę z Alaski, Ron. 14 marca Franz zostawił go na poboczu autostrady Interstate 70, przed Grand Junction i wrócił do południowej Kalifornii. McCandless był zachwycony, że jedzie na północ, i odczuwał również pewną ulgę. Znowu udało mu się uniknąć ludzkiej przyjaźni, intymności i całego związanego z tym bagażu emocjonalnego. Uciekł od klaustrofobicznego zamknięcia we własnej rodzinie. Szczęśliwie utrzymał Jan Burres i Wayne'a Westerberga na odległość wyciągniętej ręki, uciekając z ich życia, nim zaczęli czegokolwiek od niego oczekiwać. A teraz udało mu się również bezboleśnie wycofać z życia Ronalda Franza.

Było to bezbolesne z perspektywy jego, ale nie staruszka. Możemy jedynie spekulować, dlaczego Ron Franz tak szybko przywiązał się do McCandlessa, ale jego uczucie było silne, prawdziwe i czyste. Przez wiele lat żył samotnie. Pozbawiony rodziny, miał niewielu przyjaciół. Był bardzo zdyscyplinowany, samowystarczalny, doskonale sobie radził, zważywszy na jego wiek i samotność. Pojawienie się w jego świecie tego chłopaka zburzyło starannie skonstruowany mur obronny. Franz cenił sobie przebywanie z McCandlessiem, ale ich rozkwitająca przyjaźń uświadomiła mu równocześnie, jak bardzo był samotny. Chris zdemaskował brakujące ogniwo w życiu Rona, chociaż jednocześnie pomagał je stworzyć. Kiedy wyjechał równie nagle, jak przybył, Franz poczuł się niespodziewanie głęboko zraniony.

Na początku kwietnia nadszedł do Franza list ze znaczkiem z Dakoty Południowej.

Cześć Ron - było w nim napisane - tu Alex. Pracuję tutaj w Carthage już prawie dwa tygodnie. Dotarłem tu trzy dni po tym, jak rozstaliśmy się w Grand Junction, w Kolorado. Mam nadzieję, że dojechałeś z powrotem do Salton City bez specjalnych problemów. Podoba mi się tutaj i wszystko idzie dobrze. Pogoda nie jest zła i

niektóre dni nawet całkiem przyjemne. Wielu rolników nawet wyszło już w pole. W południowej Kalifornii pewnie robi się gorąco. Zastanawiam się, czy miałeś okazję zobaczyć, ilu ludzi zebrało się 20 marca na Święcie Tęczy przy gorących źródłach. Myślę, że mogło być tam bardzo fajnie, ale nie jestem pewien, czy zrozumiałbyś tych ludzi. Nie będę siedział zbyt długo w Dakocie. Mój przyjaciel Wayne chce, żebym pracował przy elewatorze przez cały maj, a potem jeździł z nim i pracował całe lato na kombajnie, ale jestem już całą duszą przy mojej Alaskańskiej Odysei i mam nadzieję wyruszyć nie później niż 15 kwietnia. Oznacza to, że bardzo niedługo stąd wyjadę, więc chciałbym, żebyś ewentualną korespondencję do mnie wysłał na adres, jaki podałem poniżej.

Ron, ogromnie cenię twoją pomoc i czas, jaki spędziliśmy razem. Mam nadzieję, że nie będziesz za bardzo przeżywał naszego rozstania. Może minąć wiele czasu, nim się znów zobaczymy. Ale jeśli wyjdę z tej przygody alaskańskiej cało, odezwę się do ciebie. Chciałem powtórzyć radę, jaką ci już dawałem. Moim zdaniem, powinieneś radykalnie zmienić swój sposób życia i zacząć odważnie robić rzeczy, o których przedtem nawet nie myślałeś; albo wahałeś się, czy spróbować. Tak wielu ludzi jest nieszczęśliwych, a jednak nie podejmują żadnej próby, by to zmienić, ponieważ przywykli do życia w pewności, konformizmie i konserwatyzmie, co może dawać poczucie spokoju umysłu, ale w rzeczywistości nie ma rzeczy bardziej niszczącej dla niespokojnego ducha niż pewna przyszłość. Podstawą życia ducha ludzkiego jest jego pasja przygody. Radość życia przychodzi z nowymi doświadczeniami, a zatem nie ma większej radości niż mieć wciąż zmieniający się horyzont, każdego dnia inny, i nowe słońce. Jeśli chcesz więcej dostać od życia, Ron, musisz zrezygnować z zamilowania do bezpieczeństwa i żyć na łapu-capu, co z początku wyda ci się wariactwem. Ale kiedy przywykniesz do takiego stylu, zrozumiesz jego znaczenie i niezwykle piękno. A więc krótko mówiąc, Ron, zostaw Salton City i ruszaj w drogę. Gwarantuję ci, że będziesz z tego bardzo zadowolony. Obawiam się jednak, że zignorujesz moją radę. Uważasz, że jestem uparty, ale ty jesteś jeszcze bardziej. Miałeś doskonałą okazję, wracając, żeby obejrzeć jeden z najwspanialszych widoków na świecie, Wielki Kanion, coś, co każdy Amerykanin powinien choć raz w życiu zobaczyć. Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów chciałeś jak najszybciej pędzić do domu, do tej samej sytuacji, którą masz dzień po dniu. Obawiam się, że będziesz ulegał tym skłonnościom w przyszłości i wobec tego nie uda ci się odkryć wszystkich cudownych rzeczy, które Bóg nam zostawił. Nie siedź w jednym miejscu. Ruszaj się, bądź nomadem, oglądaj codziennie inny horyzont. Będziesz jeszcze długo żył, Ron, i szkoda byłoby, żebyś nie skorzystał z okazji zrewolucjonizowania swego życia i poddania się zupełnie nowym doświadczeniom.

Mylisz się, sądząc, że Radość rodzi się tylko - lub głównie - ze stosunków międzyludzkich. Bóg umieścił ją wokół nas. Jest we wszystkim, w czymkolwiek, czego możemy doznawać. Musimy tylko mieć odwagę zwrócić się przeciwko przyzwyczajeniom i oddać się życiu niekonwencjonalnemu.

Chodzi mi o to, że nie potrzebujesz mnie ani nikogo innego, aby wnieść nowe światło w swoje życie. Ono czeka, żebyś je wziął, a ty musisz tylko po nie sięgnąć. Jedyłą osobą, z którą musisz walczyć, jesteś ty i twój opór przed angażowaniem się w coś nowego.

Ron, naprawdę mam nadzieję, że najszybciej, jak zdołasz, wyjedziesz z Salton City, postawisz sobie budkę kempingową na skrzyni swojego pick-upa i zaczniesz oglądać te cudowności, jakie Bóg stworzył tu, na amerykańskim Zachodzie. Zobaczysz różne rzeczy, poznasz różnych ludzi i wiele się od nich nauczysz. Musisz to robić oszczędnie; żadne motele, gotuj sam, wydawaj jak najmniej i będzie cię to znacznie bardziej cieszyło. Mam nadzieję, że następnym razem, kiedy się spotkamy, będziesz innym człowiekiem, który przeżył różnorakie przygody i ma za sobą wiele nowych doświadczeń. Nie wahaj się i nie wynajduj żadnych wymówek. Po prostu wyjeźdź i zrób to. Po prostu wyjeźdź. Będziesz bardzo zadowolony, że tak zrobiłeś.

*Trzymaj się, Ron,
Alex*

*Proszę, odpisz na adres:
Alex McCandless
Madison, SD 57042*

Stała się rzecz zdumiewająca: osiemdziesięcioletni mężczyzna wziął sobie do serca rady dwudziestoczteroletniego wagabundy. Franz umieścił meble i większość swoich rzeczy w zamkniętym schowku, kupił duravan, wyposażył go w koje i sprzęt turystyczny, a następnie wyprowadził się ze swego mieszkania i rozłożył obóz na *bajada*. Zajął dawne miejsce McCandlessa za gorącymi źródłami. Poukładał kamienie tak, żeby stworzyć parking dla swojej półciężarówki, poprzysadzał jakieś grusze kolczaste i krzewy indygo - „dla krajobrazu”. A później siedział na pustyni, dzień po dniu, czekając na powrót swego młodego przyjaciela.

Ronald Franz (zmieniłem nazwisko, spełniając jego prośbę) wygląda doskonale jak na swój dziewiąty krzyżyk i przeżyte dwa ataki serca. Ma około metra osiemdziesięciu, szerokie bary i mocną pierś; jest wyprostowany, nie przygarbiony. Ma wyjątkowo duże uszy i pokręcone, mięsiste dłonie. Kiedy podchodzę do jego obozowiska na pustyni i przedstawiam się, ubrany jest w stare dzinsy, śnieżnobiałą koszulkę, ozdobny skórzany pas własnej roboty, białe skarpetki i zdarte czarne mokasyny. Jego wiek zdradzają tylko zmarszczki nad brwiami i głębokie pory na nosie, ozdobionym, jak tatuażem, siateczką fioletowych żyłek. Nieco ponad rok po śmierci McCandlessa ogląda świat rozważnymi, niebieskimi oczyma. Aby rozwiać jego wątpliwości, wręczam mu plik zdjęć, które zrobiłem podczas podróży na Alaskę ostatniego lata, starając się odtworzyć trasę ostatniej podróży McCandlessa na Szlaku Stampede. Kilka pierwszych to krajobrazy, krzewy, zarośnięty trakt, odległe góry, rzeka Sushana. Franz studiuje je w milczeniu, od czasu do czasu kiwa głową, gdy wyjaśniam, co przedstawiają. Jest chyba wdzięczny, że może je zobaczyć. Kiedy jednak trafia na zdjęcie autobusu, w którym chłopak umarł, nagle sztywnieje. Kilka fotografii przedstawia rzeczy osobiste McCandlessa w rozbitym pojeździe i gdy tylko Franz orientuje się, co to jest, rzuca nimi we mnie, nie oglądając dalszych, a następnie odchodzi, by się uspokoić, podczas gdy ja mruczę jakieś niewyraźne usprawiedliwienie.

Franz nie mieszka już na miejscu obozowiska McCandlessa. Rwący potok zmył prowizoryczną drogę, więc przeniósł się trzydzieści kilometrów dalej, w kierunku

Borrego, gdzie koczuje koło samotnych topoli. O-Mój-Boże-Gorące Źródła też już zniknęły, rozjechane przez buldożery i wybetonowane, zgodnie z zarządzeniem komisji zdrowia Imperial Valley. Władze hrabstwa mówią, że zlikwidowano źródła w trosce o kąpiących się, którzy mogli poważnie zachorować z powodu mikrobów, które podobno znajdowały się w jeziorkach.

- Może to i prawda - mówi ekspedientka ze sklepu w Salton City -ale większość ludzi myśli, że zasypali je dlatego, że źródła przyciągały za dużo hipisów, włóczęgów i innych takich. Krzyżyk na drogę, jeśli o mnie chodzi.

Ponad osiem miesięcy po pożegnaniu z McCandlessem Franz przebywał w jego obozowisku, wypatrując na drodze młodego człowieka z dużym plecakiem. Pod koniec 1992 roku, dzień po Bożym Narodzeniu, wracając z Salton City, zabrał dwóch autostopowiczów.

- Jeden facet był chyba z Missisipi, a drugi Indianin – wspomina Franz. - Po drodze do źródeł zacząłem im opowiadać o moim przyjacielu Aleksie i o przygodzie, którą chciał przeżyć na Alasce. Nagle młody Indianin mi przerwał:

- Czy on się nazywał Alex McCandles?

- Tak. A co, poznaliście go...

- Przykro mi to mówić, proszę pana, ale pana przyjaciel nie żyje. Zamarzył na śmierć w tundrze. Właśnie czytałem o tym w magazynie „Outdoor”.

Zszokowany Franz wypytywał autostopowicza o szczegóły. Wszystko się zgadzało. Stało się coś strasznego. McCandles nigdy nie wróci.

- Kiedy Alex wyjechał na Alaskę - wspomina Franz - modliłem się. Prosiłem Boga, żeby szczególnie miał w opiece jego, bo ten chłopak jest niezwykły. Ale pozwolił Aleksowi umrzeć. Więc 26 grudnia, kiedy dowiedziałem się, co się stało, wyrzekłem się Pana. Przestałem być członkiem Kościoła i zostałem ateistą. Uznałem, że nie mogę wierzyć w Boga, który pozwolił, żeby coś tak strasznego stało się komuś takiemu jak Alex. Kiedy wysadziłem tych chłopaków - ciągnie Franz -zawróciłem, pojechałem z powrotem do sklepu i kupiłem butelkę whisky. A później poszedłem na pustynię i wypłem ją. Nie byłem przyzwyczajony do alkoholu, więc się rozchorowałem. Miałem nadzieję, że mnie to zabije, ale nie. Byłem tylko bardzo chory.

Rozdział 7

CARTHAGE

Byli tam jakieś książki... Jedna to „Pilgrim’s Progress”, o człowieku, który zostawił rodzinę, ale nie pisali dlaczego. Od czasu do czasu dobierałem się do niej. Nawet były interesujące stwierdzenia, ale ciężkie.

Mark Twain,
„Huck Finn”

Prawdą jest, że wielu twórczym ludziom nie udaje się wejść w dojrzałe związki

osobiste i są bardzo wyizolowani. Jest również prawdą, że w niektórych wypadkach traumatyczne wydarzenia, jak opuszczenie przez rodziców czy wczesne osierocenie, u potencjalnie twórczej osoby rozwijają takie aspekty osobowości, które mogą się zrealizować w izolacji. Nie oznacza to jednak, że samotne, twórcze cele są patologiczne.

Zachowanie unikające jest reakcją, mającą na celu ochronę dziecka przed behawioralną dezorganizacją. Jeśli odniesiemy to do życia dorosłych, możemy zaobserwować, że unikające bliskich kontaktów dziecko może wyrosnąć na osobę, której zasadniczą potrzebą jest znalezienie w życiu jakiegoś sensu i porządku, niekoniecznie opartego na stosunkach międzyludzkich.

Anthony Storr, „Samotność: Powrót do siebie”

Duży kombajn John Deere 8020 przycupnął spokojnie w skąym wieczornym świetle z dala od wszystkiego, okrążony skoszonym częściowo zbożem w Dakocie Południowej. Z kabiny wystają obłocone tenisówki Wayne’a Westerberga, jak gdyby machina, przerośnięty metalowy gad, połykała go całego i trawiła ofiarę.

- Podaj mi ten cholerny klucz, dobra? - słycać przytłumiony, zdenerwowany głos, dochodzący z wnętrza. - A może jesteście tak cholernie zajęci stanem i trzymaniem rąk w kieszeniach, że nawet tego nie możecie zrobić?

Kombajn zepsuł się po raz trzeci w ciągu trzech dni i Westerberg nerwowo próbuje wymienić trudno dostępną tuleję przed zapadnięciem nocy. Pojawia się po godzinie, wybrudzony smarem, ale zadowolony.

- Przepraszam, że tak na początku warknąłem - zaczął. - Przez zbyt wiele dni pracowaliśmy po osiemnaście godzin na dobę. Robię się trochę gderliwy, bo sezon w pełni, a my mamy w dodatku za mało ludzi. Liczyliśmy na to, że Alex wróci.

Minęło pięćdziesiąt dni od znalezienia ciała McCandlessa na Alasce na Szlaku Stampede. Siedem miesięcy temu, w mroźne marcowe popołudnie, McCandless wpadł do biura przy elewatorze zbożowym w Carthage i oznajmił, że jest gotów do pracy.

- Byliśmy tam, odbijaliśmy poranne karty - wspomina Westerberg - a tu wkracza Alex, ze swoim wielkim, starym plecakiem, przewieszonym przez ramię.

Powiedział Wayne’owi, że planuje zostać do 15 kwietnia, tyle tylko, żeby zarobić jakiś szmal. Musi kupić trochę nowego sprzętu, wyjaśnił, bo jedzie na Alaskę. Obiecał wrócić wczesną jesienią, żeby pomóc przy żniwach, ale chciał być w Fairbanks przed końcem kwietnia, aby mieć jak najwięcej czasu na północy.

W czasie tych czterech tygodni w Carthage McCandless ciężko pracował, wykonując brudną, nudną robotę, której nikt nie chciał wziąć: wyrzucanie gnoju, niszczenie szkodników, malowanie, koszenie chwastów. W którymś momencie, aby usatysfakcjonować Aleksa nieco ambitniejszym zadaniem, Westerberg próbował go nauczyć obsługi ładowarki.

- Alex rzadko bywał przy maszynach - mówi, kręcąc głową, Westerberg. - Wyglądało komicznie, jak usiłował posługiwać się sprzęgiem i tymi wszystkimi dźwigniami. Zupełnie nie był uzdolniony technicznie.

Nie grzeszył również nadmiarem zdrowego rozsądku. Ci, którzy go znali, opowiadają, że nie potrafił na przykład widzieć drzew zwyczajnie, jako części lasu.

- Nie był kompletną ofertą, niech mnie pan źle nie zrozumie - wyjaśnia Westerberg. - Ale miał jakieś luki w rozumowaniu. Pamiętam, jak wszedłem kiedyś do jego kuchni i poczułem okropny smród. Otworzyłem mikrofalówkę, a tam całe dno pokryte zjełczalym tłuszczem. Alex piekł kiedyś kurczaka, ale nie przyszło mu do głowy, że tłuszcz musi gdzieś skapywać. Nie dlatego, żeby był za leniwy i nie chciało mu się sprzątać, zawsze wszędzie miał bardzo porządknie, tylko po prostu nie zauważył tłuszczu.

Wkrótce po jego powrocie do Carthage tej wiosny Westerberg przedstawił McCandlessa swej przyjaciółce, z którą utrzymywał kontakty długoletnie, choć z przerwami. Gail Borah była filigranową kobietą o smutnych oczach i długich blond włosach. Miała trzydzieści pięć lat i dwoje kilkunastoletnich dzieci; była rozwiedziona. Wkrótce zaprzyjaźniła się z McCandlessem.

- Na początku zdradzał jakąś nieśmiałość - mówi Borah. - Zachowywał się, jakby trudno mu było przebywać z ludźmi. To chyba dlatego, że tyle czasu spędzał sam. Prawie codziennie zapraszałam go na kolację - ciągnie Borah. - Lubił jeść. Nigdy nie zostawił niczego na talerzu. Nigdy. Był też dobrym kucharzem. Czasem zapraszał mnie do Wayne'a i robił kolację dla wszystkich. Gotował często ryż. Myślałam, że mu się to znudzi, ale nie. Mówił, że mógłby przeżyć cały miesiąc, mając dziesięć kilogramów ryżu. Kiedy byliśmy razem, Alex dużo mówił. Takie poważne teksty, coś o odkrywaniu duszy. Uznał, że mnie może powiedzieć rzeczy, których nie mówi innym. Było widać, że coś go gryzie. Zrozumiałam, że nie bardzo się dogadywał z rodziną, chociaż niewiele o nich opowiadał, poza Carine, jego młodszą siostrą. Twierdził, że są bardzo zżyci. Jest piękna i kiedy idzie ulicą, wszyscy faceci odwracają się i gapią na nią.

Westerberg natomiast nie interesował się rodzinnymi sprawami McCandlessa.

- Jeżeli miał jakiś powód, żeby spieprzać, widocznie uważał, że tak będzie dobrze. Teraz, jak nie żyje, nic już nie rozumiem. Jakby Alex tu był, obym nim dobrze potrząsnął i powiedział: „Co ty sobie, do cholery, myślisz? Nie odzywać się do rodziny tyle czasu, traktować ich jak śmieci?” Jeden z chłopaków, który tu u mnie pracuje, w ogóle, cholera, nie ma żadnych rodziców, ale nie świruje. Co tam było między Alekssem a jego rodziną, nie wiem, ale głowę dam, że u innych jest znacznie gorzej. Znając Aleksa, podejrzewam, że przyczepił się do czegoś, co wydarzyło się między nim a ojcem, i nie chciał zapomnieć.

To ostatnie przypuszczenie Westerberga, jak się okazało, stanowiło dość wnikliwą analizę stosunków między Chrisem a Waltem McCandlessem. I ojciec, i syn byli uparci i nieugięci. Biorąc pod uwagę skłonność Walta do kontrolowania i absolutnie niezależną naturę Chrisa, trzeba uznać, że konflikt był nieunikniony. Chris poddawał się władzy ojca w okresie szkolnym i studenckim w zdumiewająco wysokim stopniu, ale wewnątrz siebie buntował. Rozwodził się długo nad tym, co dla niego było moralnymi wadami ojca, hipokryzją stylu życia rodziców, tyranią ich uzależniającej miłości. W końcu Chris się zbuntował, a kiedy to zrobił, postąpił z charakterystycznym dla siebie brakiem umiaru.

Wkrótce przed swym zniknięciem narzekał w liście do siostry, że zachowanie rodziców jest... *tak irracjonalne, deprymujące, lekceważące i obraźliwe, że w końcu przekroczyłem próg wytrzymałości. Ponieważ nigdy nie będą mnie traktowali*

poważnie, niech przez kilka miesięcy po ukończeniu studiów myślą, że mają rację, że zaczynam widzieć sprawy od ich strony i nasze stosunki się stabilizują. A później, kiedy nadejdzie czas, jednym szybkim, zdecydowanym ruchem wymiotę ich kompletnie ze swego życia. Zerwę z nimi jako rodzicami raz na zawsze i nigdy, do końca życia nie odezwę się do żadnego z tych idiotów. Skończę z nimi raz na zawsze.

Chłód, jaki Westerberg wyczuł między Alekssem a jego rodzicami, był wyraźnym kontrastem do ciepła, jakie przejawiał w Carthage. Otwarty i bardzo osobisty, kiedy go coś poruszyło, oczarował wiele osób. Kiedy powrócił do Dakoty Południowej, czekała na niego poczta, korespondencja od ludzi, których poznał po drodze, łącznie z - jak mówił Westerberg - „listami od dziewczyny, która miała na niego oko, a którą poznał w jakimś Timbuktu, chyba na kempingu”. Ale McCandless nigdy nie zwierzał się z żadnych romantycznych przygód ani Westerbergowi, ani Borah.

- Nie pamiętam, żeby Alex opowiadał kiedykolwiek o jakiejś swojej przyjaciółce - mówi Westerberg. - Chociaż parę razy wspominał, że chciałby się ożenić i mieć rodzinę. Dało się spostrzec, że nie traktuje tych spraw lekko. Nie był facetem, który sobie poderwie dziewczynę tylko po to, żeby się z nią przespać.

Dla Borah też było jasne, że McCandless nie spędzał czasu w knajpach dla samotnych.

- Któregoś dnia całą paczką poszliśmy do baru w Madison - mówi Borah. - Trudno było wyciągnąć go na parkiet, ale jak się już tam znalazł, nie mógł przestać tańczyć. Wpadliśmy w trans. Jak Alex umarł, Carine mi powiedziała, że o ile wie, należałam do nielicznych dziewczyn, z którymi zatańczył.

W liceum McCandless miał jakieś bliskie związki z dwiema czy trzema przedstawicielkami płci przeciwnej i Carine przypomniała sobie, że kiedyś Chris się upił i nocą usiłował wprowadzić dziewczynę do swego pokoju. (Robili taki hałas na schodach, że mama się obudziła i odesłała panienkę do domu). Niewiele jest dowodów jego aktywności seksualnej jako nastolatka, a jeszcze mniej podejrzeń, że spał z jakąś kobietą po ukończeniu liceum. (Nie ma również żadnego dowodu, żeby miał stosunki intymne z jakimś mężczyzną). Wydaje się, że pociągały go kobiety, ale żył przeważnie, a może wyłącznie, w celibacie, jak mnich.

Cnotliwość i czystość moralna były cechami, nad którymi McCandless wiele i często rozmyślał. Jedną z książek znalezionych w autobusie wraz z jego szczątkami był zbiór opowiadań, a wśród nich „Sonata Kreutzerowska” Tołstoja, w której ten arystokrata zmieniony w ascetę wypowiada się przeciwko „żądaniom ciała”. Kilka takich fragmentów jest zaznaczonych w książce, która ma już ośle uszy, a na marginesie pełno tam tajemniczych notatek, napisanych wyraźnym pismem McCandlessa. W rozdziale o „Wyższych prawach” z „Waldena” Thoreau, również znalezione w autobusie, McCandless zakreślił: *Czystość jest największym rozkwitem człowieka, a to, co nazywamy Geniuszem, Heroizmem, Świętością i tak dalej, to zaledwie owoce, następujące po niej.*

My, Amerykanie, jesteśmy podnieceni seksem, opętani przez seks, przerażeni nim. Kiedy zdrowa osoba, a zwłaszcza zdrowy młody człowiek odrzuca potrzeby ciała, szokuje nas to i patrzymy z zaciekawieniem. Rodzą się podejrzenia.

Wyrażna niewinność McCandlessa w sferze seksualnej jest charakterystyczna dla pewnego typu osobowości, który nasza kultura rzekomo podziwia, w każdym razie u

jego najsłynniejszych przedstawicieli. Ambiwalentne traktowanie spraw płci przypomina tych spośród nich, którzy do natury podchodzili z pasją, jak Thoreau (przez całe życie pozostał czysty) i naturalista John Muir, nie mówiąc o licznych mniej znanych pielgrzymach, poszukiwaczach i nieudacznikach. Podobnie jak inni, uwiedzeni przez dziką przyrodę, McCandless wydawał się kierowany inną namiętnością, zastępującą pożądanie seksualne. W pewnym sensie ta pasja była zbyt silna, żeby można ją było zaspokoić w kontaktach międzyludzkich. Być może kusilo go to, co oferowały kobiety, ale bladło wobec perspektywy związku z samym kosmosem. I dlatego ciągnęło go na północ, na Alaskę.

McCandless zapewniał i Westerberga, i Borah, że kiedy tylko zakończy swój pobyt na północy, wróci do Dakoty Południowej co najmniej na jesień; a co potem, zobaczy.

- Miałem wrażenie, że ta eskapada na Alaskę miała być jego ostatnią wielką przygodą - opowiada Westerberg - i że się potem gdzieś osiedli. Mówił, że chce napisać książkę o swoich podróżach. Lubił Carthage. Nikt nie przypuszczał, że z takim wykształceniem będzie do końca życia pracował przy pieprzonym elewatorze. Ale na pewno miał zamiar do nas wrócić na jakiś czas, trochę pomóc i zastanowić się, co robić dalej.

Tej wiosny w każdym razie wzrok McCandlessa utkwiony był w Alaskę. Rozmawiał o tej wyprawie przy każdej okazji. Wyszukiwał w mieście doświadczonych myśliwych i wypytywał o podchodzenie dzikich zwierząt, patroszenie i konserwowanie mięsa. Borah zawiozła go do sklepu K-mart w Mitchell po resztę wyposażenia. W połowie kwietnia Westerberg był bardzo zajęty i brakowało mu rąk do pracy, więc poprosił Aleksa, żeby wstrzymał się z wyjazdem na tydzień lub dwa, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Kiedy sobie coś wymyślił, nie było mowy o tym, żeby zmienić plany - lamentuje Westerberg. - Proponowałem nawet, że kupię mu bilet lotniczy do Fairbanks, żeby mógł pracować jeszcze dziesięć dni i dotrzeć na Alaskę pod koniec kwietnia, ale powiedział: „Nie, muszę pojechać autostopem. Samolotem to byłoby oszustwo. Zepsułoby całą wyprawę”.

Dwa dni przed planowanym wyjazdem matka Wayne'a, Mary Westerberg, zaprosiła go na kolację.

- Mama na ogół nie lubi moich pomocników i nie paliła się do kontaktu z Alekssem, ale wciąż ją męczyłem, że musi poznać tego chłopaka, więc w końcu zaprosiła go na kolację. Polubili się natychmiast i gadali non stop przez pięć godzin.

- Było w nim coś fascynującego - wyjaśnia pani Westerberg, siedząc przy wypolerowanym orzechowym stole, przy którym wtedy McCandless jadł kolację. - Wyglądał na więcej niż dwadzieścia cztery lata. Cokolwiek powiedziałam, chciał wiedzieć dokładniej, co miałam na myśli, dlaczego tak uważam. Miał głód wiedzy. W odróżnieniu od większości z nas był człowiekiem, który pragnie żyć zgodnie ze swymi przekonaniem.

- Rozmawialiśmy wiele godzin o książkach. W Carthage nie ma nadmiaru ludzi, z którymi można pogadać na ten temat. Wciąż wracał do Marka Twaina. Boże, był świetny jako gość, nie chciało się, by kończył się ten wieczór. Pragnęłam zobaczyć się z nim jesienią. Nie mogę przestać o nim myśleć. Wciąż pamiętam jego twarz, jak

siedział tu, gdzie pan teraz. Jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że spędziłam w towarzystwie Aleksa tylko kilka godzin, aż dziwne się wydaje, że tak się przejęłam jego śmiercią.

W ostatni wieczór McCandlessa w Carthage żegnał się wylewnie z pracownikami Westerberga w Cabaret. Whisky Jack Daniels lała się obfitym strumieniem. Ku zdumieniu wszystkich, McCandless usiadł przy pianinie, chociaż nigdy nie mówił, że umie grać, i popłynęły jakieś kawałki w stylu country, potem ragtime'y, wreszcie numery Tony Benetta. A nie były to produkcje pijaczka, popisującego się wyimaginowanym talentem przed publicznością.

- Alex - mówi Gail Borah - naprawdę umiał grać. Był rzeczywiście dobry. Pozostaliśmy wszyscy pod wrażeniem.

Rankiem 15 kwietnia wszyscy zebrali się pod elewatozem, żeby go pożegnać. Miał ciężki plecak, w bucie zaś schowane tysiąc dolarów. Swoją dziennik i album ze zdjęciami zostawił na przechowanie u Westerberga i podarował mu pasek, który zrobił na pustyni.

- Alex siadał przy barze w Cabaret i czytał nam z niego godzinami - mówi Westerberg - jakby tłumaczył hieroglify. Każdy obrazek, który wyrzył w skórze, miał swoją długą historię.

Borah opowiada, jak ją objął, kiedy się z nią żegnał:

- Zauważyłam, że płakał. Przestraszyłam się. Przecież nie planował wyjazdu na długo. Zrozumiałam, że nie płakałby, gdyby nie miał zamiaru podjąć wielkiego ryzyka i nie wiedział, że może nie wrócić. Wtedy przeczuwałam już, że możemy go więcej nie zobaczyć.

Pojawił się przed nimi wielki traktor z przyczepą. Rod Wolf, jeden z pracowników Westerberga, musiał przewieźć ziarno słonecznika do Enderlin, w Dakocie Północnej i zgodził się podrzucić McCandlessa do Drogi Międzystanowej 94.

- Kiedy go zostawiłem, wielka maczeta zwisała mu z ramienia - mówi Wolf. - Pomyślałem sobie: Jezu, nikt go nie zabierze, jak to zobaczy, ale nic nie powiedziałem, podałem mu rękę, życzyłem powodzenia, poprosiłem, żeby pisał.

Tydzień później Westerberg dostał kartkę o zwięzłej treści, ze znaczkiem z Montany:

18 kwietnia. Dotarłem dzisiaj rano pociągami towarowym do Whitefish. Utrzymuję się w dobrym czasie. Dzisiaj przekroczę granicę i kieruję się na północ do Alaski. Ukłony dla wszystkich. Trzymaj się.

Alex

Później, na początku maja, Westerberg dostał jeszcze jedną kartkę, tym razem z Alaski, ze zdjęciem niedźwiedzia polarnego. Na znaczku był stempel 27 kwietnia, 1992 roku.

Pozdrowienia z Fairbanks. To moja ostatnia wiadomość do ciebie, Wayne. Przyjechałem 2 dni temu. Bardzo było trudno coś złapać w Yukon Territory. Ale w końcu tu dotarłem. Proszę, wszystkie listy do mnie odsyłaj do nadawców. Może minie wiele czasu, nim wrócę na południe. Jeśli ta przygoda okaże się fatalna i nigdy już nie dam znaku życia, chcę, żebyś wiedział, że jesteś wspaniałym człowiekiem. A teraz wkraczam w dziki żywioł.

Alex

Tego samego dnia podobnej treści kartkę wysłał do Jan Burres i Boba:

Cześć wam!

To ostatnia wiadomość, jaką ode mnie dostajecie. Zaczynam teraz żyć w dzikim żywiole. Trzymajcie się, wspaniale było was poznać.

Alexander

Rozdział 8

ALASKA

Może być i tak, że jest złym zwyczajem twórczych talentów angażowanie się w patologiczne ekstrema, pozwalające na niezwykle ogląd spraw. Ale nie daje to trwałego sposobu ma życie tym, którzy swych ran nie potrafią przełożyć na znaczące dzieło sztuki lub myśli.

Theodore Roszak,

„In search of the miraculous”

Mamy w Ameryce tradycję „wielkiej rzeki o dwóch sercach „: wyjeżdżanie ze swymi ranami do głuszy, żeby się uleczyć, przemienić, odpocząć. I tak, jeśli rany nie są zbyt głębokie -jak w wypadku Hemingwaya - to działa. Ale tu nie jest Michigan (ani Wielkie Lasy w Missisipi - wypadek Faulknera). Tu jest Alaska.

Edward Hoagland,

„Up the black to Chalkyitsik”

Kiedy odnaleziono martwego McCandlessa na Alasce i niejasne okoliczności jego zgonu opisywano w mediach, wiele osób wyciągnęło wnioski, że był niezrównoważony psychicznie. Artykuł o nim w „Outside” spowodował lawinę listów, w których wielu czytelników uznało za hańbę McCandlessa oraz moją, jako autora artykułu, gloryfikowanie głupiej, bezsensownej śmierci. Większość tych negatywnych opinii pochodziła z Alaski.

Alex według mnie to świr - pisał mieszkaniec Healy, przyczółka na początku Szlaku Stampede. - Autor opisuje człowieka, który rozdał niemalą sumkę, porzucił kochającą rodzinę, zostawił samochód, zegarek, mapę i spalił resztę swych pieniędzy, nim wszedł w głuszę, na zachód od Healy.

Osobiście nie widzę nic pozytywnego w stylu życia i doktrynie Chrisa

McCandlessa - upomina mnie następny korespondent. - Wkraczanie w taką głuszę, świadomie nieprzygotowanym i przeżycie bliskości śmierci nie czyni z nas lepszego człowieka, a najwyżej cholernego szczęściarza.

Jeden z czytelników artykułu w „Outside” zastanawia się: *Dlaczego ktoś, kto miał zamiar żyć przez kilka miesięcy z tego, co daje ziemia, zapomniał o najważniejszej zasadzie harcerza: bądź przygotowany? Dlaczego syn mógł sprawić rodzicom i rodzinie taki wieczny i nieukojonny ból?*

Krakauer jest świr, jeżeli uważa, że Chris „Alexander Super-tramp” McCandless nie był świrem - wyraża swą opinię mężczyzna z Alaski, z Bieguna Północnego. McCandless już wcześniej przekroczył granice, a na Alasce sięgnął dna. Najostrzejsza krytyka nadeszła w formie wielostronicowej epistoły z Ambler, maleńkiej wioski nad rzeką Kobuk, na północ od Kręgu Polarnego. Autorem był biały pisarz i nauczyciel, niegdyś z Waszyngtonu, nazwiskiem Nick Jans. Ostrzegając, że jest pierwsza w nocy i opróżnił już sporą część butelki seagrama, Jans pisze:

Przez ostatnich piętnaście lat spotkałem wielu typów z rodzaju McCandlessa. Zawsze ta sama historia: idealisci, pełni energii faceci, którzy przeceniają siebie, nie doceniają przyrody, i kończą się kłopotami.

McCandless nie był wyjątkowy; kręci się po tym stanie sporo facetów tak podobnych, że tworzą właściwie zespołowy banalny portret. Jedyne różnica jest taka, że McCandless skończył śmiercią, a historię jego głupoty rozgłosiły media...(Jack London dobrze to ujął w „Rozniecić ogień „. McCandless jest koniec końców bladym dwudziestowiecznym odbiciem bohaterów Londona; zamarza, bo nie słuchał rad, lecz głosu hybris, jak w greckiej tragedii)...

Zabiła go jego własna ignorancja, której mógłby zaradzić kwadrant Urzędu Geologii Stanów Zjednoczonych i podręcznik harcerski. I choć współczuję jego rodzicom, do niego nie czuję sympatii. Taka świadoma ignorancja... oznacza brak szacunku dla ziemi i - paradoksalnie - jest tym samym rodzajem arogancji, jaki zaobserwowaliśmy w wypadku wycieku przy pracach firmy Exxon Valdez - kolejny ponury finał nieprzygotowanych, zbyt pewnych siebie ludzi, pałających się tutaj, którzy spieszyli sprawę, bo mieli za mało nieodzownej pokory. To tylko kwestia stopnia. Wymyślny ascetyzm i pseudoliterackie motywacje McCandlessa wzmacniają raczej, niż redukują, jego winę... Jego pocztówki, notatki, dzienniki, czyta się jak prace ponadprzeciętnego, nieco zgrywającego się licealisty. Czy coś przeoczyłem?

Zbiorowa mądrość Alaski utrzymywała, że McCandless był po prostu jeszcze jednym marzycielskim żółtodziobem, który udał się na łono przyrody, żeby znaleźć rozwiązanie wszystkich swych problemów, a zamiast tego znalazł tylko komary i samotną śmierć. W ciągu wielu lat dziesiątki mniej znanych ludzi weszły w dzikie ostępy Alaski i nigdy nie wyłoniły się z nich z powrotem. Tylko nieliczni z nich pozostali w zbiorowej pamięci mieszkańców stanu.

Pewien idealista, przedstawiciel kontrkultury, przewinał się we wczesnych latach siedemdziesiątych przez wioskę Tanana, ogłaszając, że ma zamiar spędzić resztę życia „w zespoleniu z naturą”. W środku zimy przeprowadzający badania biolog odnalazł jego rzeczy - dwie strzelby, sprzęt kempingowy, pamiętnik z niespójnymi dywagacjami na temat prawdy, piękna i zawiłymi teoriami ekologicznymi - w pustej

chatce zawianej śniegiem, w okolicy Tofty. Innych śladów młodego człowieka nie znaleziono.

Kilka lat później weterynarz, który był niegdyś w Wietnamie, wybudował chatkę nad Black River, na wschód od Chalkyitsik, aby „żyć z dala od ludzi”. Od lutego nie miał już jedzenia i nie podjął żadnego wysiłku, aby się ocalić, mimo że pięć kilometrów dalej znajdowała się inna chatka, zaopatrzona w mięso. Pisząc o jego śmierci Edward Hoagland zauważył, że Alaska *nie jest najlepszym miejscem na świecie na doświadczenia pustelnicze lub występy miłośników pokoju*.

Był też przewrotny geniusz, na którego natknąłem się na wybrzeżu Księcia Williama w 1981. Biwakowałem w lesie, pod Cordova na Alasce, starając się bezskutecznie znaleźć robotę na pokładzie łodzi rybackiej, czekając, aż Departament Rybołówstwa i Łowiectwa ogłosi sezon na łososia. Pewnego deszczowego popołudnia, wędrując do miasta, napotkałem rozkudłanego, nerwowego mężczyznę około czterdziestki. Miał gęstą, czarną brodę i włosy do ramion, które przepasywał brudnym, nylonowym rzemykiem. Szedł w moją stronę żwawym krokiem, pochylony pod ciężarem prawie dwumetrowej kłody drewna, umieszczonej na jednym ramieniu.

Powiedziałem mu cześć, on wymamrotał coś w odpowiedzi i przystanęliśmy, aby pogadać mimo kropiącego deszczu. Nie spytałem, dlaczego targał tę kłodę do lasu, w którym zapewne było takich sporo. Po kilku minutach rozmowy o niczym rozstaliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Z naszej krótkiej wymiany zdań wywnioskowałem, że właśnie poznałem słynnego ekscentryka, którego miejscowi nazywali Burmistrzem Zatoki Hipisów. Chodziło o zatoczkę na północ od miasta, która była magnesem dla różnych długowłosych przyjezdnych, a w której to pobliżu od paru lat zamieszkiwał Burmistrz. Większość mieszkańców Zatoki Hipisów była, podobnie jak ja, sezonowymi najemnikami, którzy przyjechali do Cordovy w nadziei na znalezienie dobrze płatnych zajęć przy połowach ryb lub w przetwórnich łososia.

Burmistrz jednak był inny. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Gene Rosellini. Był najstarszym pasierbem Victora Roselliniego, bogatego restauratora z Seattle i kuzynem Alberta Roselliniego, popularnego gubernatora stanu Waszyngton w latach 1957-1965. Jako młody człowiek Gene był dobrym sportowcem i świetnym studentem. Namiętnie czytał, ćwiczył jogę, stał się ekspertem w sztukach walki. Miał doskonałą średnią przez cały ogólniak i studia. Na uniwersytecie w Waszyngtonie, a później w Seattle pograżył się całkowicie w antropologii, historii, filozofii i językoznawstwie. Miał zaliczone dziesiątki godzin bez żadnych stopni, a potem tytułu. Nie widział takiej potrzeby. Poszukiwanie wiedzy, twierdził, jest samo w sobie tak ważnym celem, że nie wymaga zewnętrznych uzasadnień. W końcu Rosellini rozstał się ze studiami, opuścił Seattle i pociągnął, przez Kolumbię Brytyjską wybrzeżem na północ, na Alaskę. W 1977 roku wylądował w Cordovie. Tam w lesie, na skraju miasta, postanowił poświęcić życie ambitnemu eksperymentowi antropologicznemu.

- Chciałem sprawdzić, czy możliwe jest życie uwolnione od współczesnej technologii - powiedział do Debry McKinney, reporterki „Anchorage Daily News”, dziesięć lat po przyjeździe do Cordovy. Zastanawiał się, czy ludzie potrafią żyć tak, jak nasi przaprzodkowie, kiedy tereny te zamieszkiwały mamuty i tygrysy

szablastożębne, czy też nasz gatunek odszedł już zbyt daleko od swych korzeni, aby przeżyć bez prochu, stali i innych wynalazków cywilizacji. Z uwagą obsesyjnie zwróconą ku szczegółom, co jest charakterystyczne dla tego rodzaju zawziętych geniuszy, Rosellini wyrugował ze swego życia wszystkie narzędzia, poza najbardziej prymitywnymi, które sam zrobił z miejscowych materiałów.

- Wydawało mu się, że gatunek ludzki stacza się do rzędu coraz niższych istot - wyjaśnia McKinney - a jego zadaniem jest powrót do naturalnego stylu życia. Wciąż eksperymentował z różnymi epokami: czasy rzymskie, epoka żelaza, epoka brązu. Pod koniec w jego bytowaniu pojawiły się elementy neolitu.

Żywił się korzonkami, jagodami, wodorostami, polował na dziką zwierzynę włócznią lub zakładając pułapki, ubierał się w szmaty; przeżył ciężkie zimy. Jego domem nad Zatoką Hipisów była szopa bez okien, którą zbudował bez pomocy piły czy siekiery.

- Spędzał całe dnie - mówi McKinney - obrabiając belkę za pomocą ostrego kamienia.

Jakby samo przeżycie zgodnie z narzuconymi sobie regułami nie było wystarczająco trudne, Rosellini obowiązkowo ćwiczył, jeśli nie był zajęty zdobywaniem pożywienia. Wypełniał sobie dni ćwiczeniem *calisthenics*, podnoszeniem ciężarów i bieganiem, często dźwigając na plecach kamienie. W lecie pokonywał przeciętnie trzydzieści dwa kilometry dziennie. Rosellini eksperymentował ponad dziesięć lat, aż w końcu poczuł, że znalazł odpowiedź na pytanie, które go inspirowało. Tak pisze o tym w liście do przyjaciela:

Rozpocząłem swe dorosłe życie hipotezą, że można stać się rówieśnikiem epoki kamiennej. Ponad trzydzieści lat nastawiałem się na zrealizowanie tego. W ciągu ostatnich dziesięciu z tych lat praktycznie doświadczyłem fizycznej, umysłowej i emocjonalnej rzeczywistości epoki kamiennej. Ale - cytując powiedzenie buddystów - w końcu nastąpiło zetknięcie twarzą w twarz z czystą rzeczywistością. Przekonałem się, że nie jest możliwe, aby istoty ludzkie, jakimi je obecnie znamy, wyżyły z darów natury. Rosellini przyjął obalenie swej hipotezy ze spokojem. W wieku czterdziestu dziewięciu lat radośnie oznajmił, że „przemodelował” swój cel i teraz ma zamiar przejść pieszo dookoła świata, żyjąc tylko tym, co będzie miał w plecaku. „Chcę robić od 28 do 43 kilometrów dziennie, przez siedem dni w tygodniu, 365 dni w roku”.

Podróży nigdy nie rozpoczął. W listopadzie 1991 roku znaleziono go leżącego twarzą do ziemi w swym szałasie, z nożem w sercu. Koroner stwierdził, że Rosellini sam sobie zadał śmiertelną ranę. Nie znaleziono żadnego listu samobójczego. Nie zostawił żadnej informacji, dlaczego postanowił zakończyć życie właśnie wtedy i właśnie tak. Prawdopodobnie nikt się tego nigdy nie dowie.

Śmierć Roselliniego i historię jego niezwyklej egzystencji opisano na pierwszej stronie „Anchorage Daily News”. Prace Johna Mallona Watermana zwróciły mniejszą uwagę.

Urodził się w roku 1952 i wychowywał się w tej samej podmiejskiej części Waszyngtonu, co Chris McCandless. Jego ojciec, Guy Waterman, jest muzykiem i pisarzem, który, prócz innych powodów do chwały, znany jest jako autor przemówień byłych prezydentów i innych prominentnych polityków z Waszyngtonu.

Waterman ojciec był również wykwalifikowanym górskim turystą, który nauczył swych trzech synów wspinaczki bardzo wcześnie. John, średni syn, robił to w wieku trzynastu lat. Skłonności miał wrodzone. Kiedy tylko mógł, wyrwał się na jakieś skałki, a gdy nie mógł się wspinać, trenował. Potrafił zrobić czterysta pompek dziennie i chodził pieszo do szkoły, szybkim krokiem cztery kilometry, a następnie dotykał drzwi wejściowych i wracał, żeby powtórzyć trasę.

Mając szesnaście lat, w roku 1969, John wspiął się na McKinley (nazywał go Denali, jak większość Alaskańczyków) i stał się trzecim z kolei najmłodszym człowiekiem, który stanął na najwyższym wzniesieniu kontynentu. W ciągu następnych lat zaliczył jeszcze bardziej imponujące wejścia na Alasce, w Kanadzie i w Europie. Nim wstąpił na uniwersytet w Fairbanks na Alasce w 1973 roku, Waterman miał opinię jednego z najbardziej obiecujących młodych alpinistów w Ameryce Północnej. Był niewysoki, miał zaledwie 160 cm wzrostu, twarzyczkę elfa i muskularną sylwetkę gimnastyka. Znajomi pamiętają go jako dziwną osobę, mężczyznę-dziecko z szokującym poczuciem humoru i prawie maniakalno-depresyjną osobowością.

- Kiedy poznałem Johna - mówi James Brady, kolega z uczelni i od wspinaczki - włączył się po kampusie w długiej czarnej pelerynie i niebieskich okularkach w stylu Eltona Johna, z gwiazdką między szklami. Chodził z tanią gitarą sklejoną taśmą, i jak tylko udało mu się złapać słuchacza, wyśpiewywał fałszywie długie pieśni o swych przygodach. Fairbanks zawsze przyciągało dziwne typki, ale on był psychol, nawet jak na te standardy. Tak, John był nie z tej planety, sporo ludzi nie wiedziało, jak się z nim dogadywać.

Nietrudno znaleźć prawdopodobne przyczyny niestabilności emocjonalnej Watermana. Jego rodzice, Guy i Emily Waterman, rozwiedli się, gdy był nastolatkiem. Świadek, bliski rodzinie, tak określa sytuację:

- Guy właściwie porzucił synów po rozwodzie. Nie chciał mieć z nimi do czynienia i to bardzo źle wpłynęło na Johna. Krótco po rozstaniu się rodziców John i jego starszy brat, Bili, pojechali odwiedzić ojca, ale on nie chciał się z nimi zobaczyć. Niedługo potem John i Bili zamieszkali w Fairbanks u wuja. Podczas ich pobytu John przeżył wielkie emocje, ponieważ usłyszał, że ojciec przyjeżdża wspinąć się na Alaskę. Kiedy dotarł, nie zadał sobie trudu, żeby zobaczyć się z synami - wrócił do domu, nie odwiedzając ich. John miał złamane serce.

Bili, z którym John był bardzo blisko, jako nastolatek stracił nogę, wskakując do pociągu towarowego. W roku 1973 Bili wysłał enigmatyczny list, przedstawiający dość ogólne plany dłuższej wyprawy, a następnie znikł bez śladu. Do dziś nikt nie wie, co się z nim stało. Ód czasu, jak John nauczył się wspinąć, ośmiu jego bliskich przyjaciół, lub partnerów od liny, zginęło w wypadkach bądź popełniło samobójstwa.

Łatwo uznać, że taki pechowy ciąg musiał wywrzeć fatalny wpływ na psychikę młodego Watermana.

W marcu 1978 roku John wyruszył w swą najbardziej zdumiewającą podróż - na samotną wspinaczkę na Hunter od strony południowo-wschodniej, trasą, której nie udało się pokonać trzem grupom wyśmienitych alpinistów. Pisząc o tym w magazynie „Climbing”, dziennikarz Glenn Randall cytuje słowa Watermana, że jego towarzyszami byli „wiatr, śnieg i śmierć”.

Gzysmy, kruche jak bezy, wystawały ponad głębokimi na półtora kilometra szczelinami. Pionowe ściany lodu rozpadały się, jak kostki w kubelku, trochę rozmrożone, a później znów zamrożone. Po obu stronach wznosiły się granie tak wąziutkie i strome, że jedynym wyjściem było chodzenie po nich okraciem. Czasem ból i samotność stawały się tak dojmujące, że się załamywał i płakał.

Po osiemdziesięciu i jednym dniu wyczerpującej, ryzykownej wspinaczki Waterman osiągnął szczyt Hunter, 4444 m, który wznosi się w Alaska Range na południe od Denali. Potrzebował jeszcze dziewięciu tygodni na odrobinę tylko mniej ryzykowne zejście. W sumie Waterman spędził sam w górach 145 dni. Kiedy powrócił do cywilizacji, kompletnie splukany, pożyczył 20 dolarów od Cliffa Hudsona, pilota, który go wywiózł z gór, i zjawił się w Fairbanks, udało mu się znaleźć jedynie pracę pomywacza. Mała społeczność wspinaczy z Fairbanks sławiła go jako bohatera. Urządził publiczny pokaz slajdów ze swej wyprawy, który Brady nazywa „niezapomnianym”.

- Przeżyliśmy niezwykle spektakl, bez żadnych zahamowań. Uzewnętrznił wszystkie swoje myśli i uczucia, swoją obawę klęski, strach przed śmiercią. Zupełnie, jakby się tam było, razem z nim.

W następnych miesiącach jednak Waterman dowiódł, że zamiast uspić demony, sukces je obudził.

- John był bardzo krytyczny wobec siebie, ciągle analizował swoje postępowanie - wspomina Brady. - Zawsze jakiś chorobliwie obowiązkowy. Nosił z sobą różnego rodzaju notesy i bloki, zapisując absolutnie wszystko, co robił w ciągu dnia. Pamiętam, że wpadłem na niego kiedyś w śródmieściu, w Fairbanks. Kiedy odchodziłem, wyjął notes, zapisał godzinę naszego spotkania i o czym rozmawialiśmy, a rozmawialiśmy niewiele. Była to już trzecia lub czwarta kartka z tego dnia. Musiał gdzieś trzymać całe stosy takich notatek, zrozumiałych tylko dla niego.

Krótko potem Waterman kandydował do rady miejscowej szkoły, propagując nieograniczenie życia seksualnego uczniów i legalizację narkotyków halucynogennych. Nikt się nie zdziwił, gdy przegrał wybory, ale on natychmiast włączył się do kolejnej kampanii politycznej, tym razem na prezydenta Stanów Zjednoczonych jako kandydat partii Nakarmić Głodujących, której głównym zadaniem miało być zlikwidowanie głodu na całej planecie. Podczas kampanii reklamowej planował wspiąć się na Denali od strony południowej, najbardziej stromej, zimą, z minimalną ilością jedzenia. Chciał skrytykować marnowanie żywności i niemoralną standardową dietę Amerykanów. Częścią jego treningów było zanurzanie się w wannie wypełnionej lodem.

Waterman poleciał do Kahiltna Glacier w grudniu 1979 roku, aby rozpocząć wejście, ale odwołał je po czternastu dniach.

- Zabierz mnie do domu - powiedział podobno do pilota. - Nie chcę umrzeć.

Dwa miesiące później przygotowywał się do kolejnej próby. Dotarł do Talkeetny, wioski na południe od Denali, która jest punktem wypadowym większości ekspedycji górskich na Alaska Range. Ale chatka, w której się zatrzymał, zapaliła się i spłonęła doszczętnie, a wraz z nią jego sprzęt i olbrzymi zbiór notatek, wierszy i dzienników, które uważał za dzieło swego życia.

Waterman był kompletnie załamany z powodu tej straty. Dzień po pożarze sam zgłosił się do Instytutu Psychiatrycznego w Anchorage, ale opuścił go po dwóch tygodniach przekonany, że istnieje spisek, aby go odsunąć na zawsze. Wtedy, zimą 1981 roku, podjął jeszcze jedną próbę samotnego wejścia na Denali.

Jakby naturalne okoliczności nie były wystarczającym wyzwaniem, postanowił je utrudnić, rozpoczynając wędrówkę od poziomu morza, co oznaczało przebycie trudnych 257 kilometrów od brzegu Cook Inlet do stóp góry. Zaczął wędrówkę w lutym, ale jego entuzjazm osłabł na niższych partiach lodowca Ruth Glacier, prawie pięćdziesiąt kilometrów od szczytu, więc porzucił tę próbę i wrócił do Talkeetny. W marcu zebrał się ponownie na odwagę i wstąpił na samotny szlak. Przed opuszczeniem wioski powiedział pilotowi Cliffowi Hudsonowi, którego uważał za przyjaciela:

- Już cię więcej nie zobaczę.

Był to wyjątkowo zimny marzec na Alaska Range. Pod koniec miesiąca Mugs Stump, inny światowej sławy alpinista, trafił na Watermana w górnych partiach Ruth Glacier. Stump, który zginął na Denali w 1992 roku, zakończył właśnie trudne, nowe przejście na pobliski szczyt, Mooses Tooth. Krótco po przypadkowym spotkaniu z Watermanem Stump odwiedził mnie w Seattle i zauważył:

- John był zupełnie duchem nieobecny. Zachowywał się jak nie z tej ziemi i wygadywał jakieś wariactwa. Niby robił swoje wielkie zimowe wejście na Denali, ale nie miał właściwie żadnego sprzętu. Ubrany w tani kombinezon na skuter śnieżny, nie miał nawet śpiwora. Do jedzenia zabrał tylko trochę mąki, trochę cukru i dużą puszkę *crisco*.

W swej książce „Breaking Point” Glen Randall pisze:

Przez kilka tygodni Waterman kręcił się w pobliżu Sheldon Mountain House, małej chatki na zboczu Ruth Glacier, w sercu gór. Kate Bull, znajoma Watermana, która wspinała się wtedy w tej okolicy, opowiadała, że był wykończony i mniej ostrożny niż zwykle. Używał radia, które pożyczył od Cliffa (Hudsona), żeby do niego dzwonić z prośbą o dostarczenie prowiantu. Następnie oddał mu radio.

- Nie będę go już potrzebował - powiedział. A byłoby jego jedyną szansą wezwania pomocy.

Wiadomo, że Waterman był na Northwest Fork na lodowcu Ruth 1 kwietnia. Jego ślady prowadziły na wschodnie ramię Denali, przez labirynt olbrzymich szczelin, co dowodzi, że nie zadał sobie trudu, aby obejść dookoła ewidentnie ryzykowne przeszkody. Więcej go nie widziano. Przypuszcza się, że złamała się pod nim cienka warstwa śniegu i wpadł na dno którejś ze szczelin. Po jego zaginięciu Służba Parku Narodowego śledziła z powietrza przez tydzień jego planowaną trasę, ale nie zauważyła żadnego śladu. Dopiero później jacyś wspinacze na pudełku z rzeczami Watermana w Sheldon Mountain House znaleźli kartkę:

13.03.81. Mój ostatni pocałunek, godz. 13.42

Zapewne nieuniknione były paralele, jakie dostrzegano między Johnem Watermanem a Chrisem McCandlessem. Porównywano również McCandlesa i Carla McCunna, grzeczniutkiego, roztargnionego Teksasńczyka, który przeprowadził się do Fairbanks w okresie boomu naftowego w latach siedemdziesiątych i znalazł lukratywne zajęcie przy konstrukcji rurociągu Trans-Alaska. Na początku marca

1981 roku, gdy Waterman odbywał ostatnią podróż na Alaska Range, McCunn wynajął pilota, żeby przewiózł go nad odległe jezioro w pobliżu Coleen River, około stu dwudziestu kilometrów na północny wschód od Fortu Yukon, na południowym skraju Brooks Range.

McCunn, trzydziestopięcioletni fotograf amator, powiedział swoim przyjaciołom, że głównym celem jego wyprawy jest robienie zdjęć dzikiej przyrody. Zabrał pięćset rolek filmów, dwie strzelby - kaliber .22 i .30 - pistolet i 630 kg żywności. Chciał zostać w głuszy do końca sierpnia. Jakoś zapomniał jednak umówić się dokładnie z pilotem, żeby przyleciał przywrócić go cywilizacji pod koniec lata, i przypłacił to życiem.

To zdumiewające przeoczenie nie stanowiło specjalnej niespodzianki dla Marka Stoppela, młodego mieszkańca Fairbanks, który dość dobrze poznał McCunna podczas dziewięciu miesięcy, kiedy pracowali razem przy rurociągu, nim Tekszańczyk wyjechał do Brooks Range.

- Carl był przyjacielski, bardzo lubiany, taki swój chłop - przypomina sobie Stoppel. - Wydawał się bystry. Ale tkwiło w nim coś z marzyciela, coś nierzeczywistego. Był bardzo żywiołowy, uwielbiał imprezy. Miał poczucie odpowiedzialności, ale czasem dawał się ponieść, działał pod wpływem impulsu. Nie, chyba mnie tak bardzo nie dziwi, że Carl pojechał tam i zapomniał się umówić co do terminu powrotu. Ale mnie niełatwo zszokować. Miałem przyjaciół, którzy się utopili albo ich zamordowano, albo zginęli w podejrzanym wypadkach. Na Alasce człowiek się przyzwyczaja do dziwnych rzeczy.

Pod koniec sierpnia, gdy dni robiły się coraz krótsze, a powietrze w Brooks Range coraz ostrzejsze i bardziej jesienne, McCunn zaczął się martwić, że nikt się po niego nie zgłaszał. *Chyba powinienem był lepiej zorganizować przyjazd po mnie* - wyznał w swym dzienniku, którego spore fragmenty opublikowano po jego śmierci w „Fairbanks Daily News-Miner” w artykułach, napisanych przez Krisa Cappsa. - *Wkrótce się przekonam.*

Tydzień po tygodniu coraz wyraźniej odczuwał nadchodzącą zimę. Gdy zapasy żywności stały się bardzo małe, McCunn zaczął żałować, że całą amunicję wyrzucił do jeziora.

Myślę o tych wszystkich nabojach, które wyrzuciłem - pisał. - *Miałem pięć pudełek i kiedy zobaczyłem, jak tu leżą, zrobiło mi się głupio, że je w ogóle przywiozłem. Jak handlarz bronią... Kto mógł przypuszczać, że przydadzą mi się, żebym nie umarł z głodu.*

Później pewnego rześkiego, wrześniowego poranka zdawało się, że ratunek był na wyciągnięcie ręki. McCunn polował na kaczki resztką amunicji, gdy ciszę przerwał szum samolotu, który wkrótce pojawił się nad jego głową. Pilot, zauważywszy obóz, zszedł niżej i okrążył go dwa razy, żeby się lepiej przyjrzeć. McCunn machał gorliwie pomarańczowym, odblaskowym pokrowcem od śpiwora. Samolot miał koła, a nie płozy, więc nie mógł wylądować, ale McCunn sądził, że pilot go zobaczył i przyśle po niego inny, pływający. Był tego pewien; pisze w dzienniku: *Po pierwszym przelocie przesłałem machać. Później zacząłem się pakować i szykować do zwijania obozu.*

Ale nie wylądował żaden samolot ani tego dnia, ani w ciągu następnych. W końcu

McCunn spojrział na okładkę swej karty łowieckiej i zrozumiał dlaczego. Na małym, papierowym prostokątku umieszczono rysunki znaków, jakimi w razie potrzeby należało porozumiewać się z ziemi z samolotami. *Pamiętam, że uniosłem wysoko prawą rękę i machałem dłonią przy drugim przelocie samolotu* - pisał McCunn. - *Było to radosne pozdrowienie, jak w wypadku punktu dla twojej drużyny albo czegoś takiego.* Niestety, dowiedział się zbyt późno, że uniesienie jednej ręki jest ogólnie uznanym sygnałem „wszystko w porządku, pomoc niepotrzebna”. Sygnałem „SOS, przyślijcie natychmiast pomoc” są dwie wyciągnięte w górę ręce¹.

Pewnie dlatego najpierw kawalek odlecieli, potem jeszcze raz zawrócili, a ja wtedy nie dałem żadnego znaku, a może nawet odwróciłem się od samolotu - rozważał filozoficznie McCunn. - *Pewnie mnie zlekceważyli, jako pomyłeńca.* Pod koniec września śnieg zbierał się w tundrze, a jezioro zamarzło. Ponieważ zapasy, jakie przywiózł, się skończyły, McCunn spróbował zebrać trochę owoców róży i zakładać sidła na króliki. Raz udało mu się odciąć trochę mięsa z padniętego karibu, który powędrował na jezioro i zdechł. Ale wzmożony metabolizm jeszcze przed październikiem sprawił, że ciało McCunna, pozbawione tkanki tłuszczowej, nie mogło się ogrzać w długie, zimne noce.

Na pewno ktoś w miasteczku się zorientuje, że coś jest nie w porządku, skoro dotąd nie wróciłem - napisał. Ale żaden samolot nie wylądował. - To zupełnie w stylu Carla: uważać, że ktoś się cudownie pojawi, żeby go wybawić - mówi Stoppel. - Był kierowcą ciężarowy, to się przyzwyczaił siedzieć na tyłku i czekać. Siedział i marzył, dlatego wymyślił tę wyprawę na Brooks Range. Spełniało się jego wielkie pragnienie: myślał nad tym większą część roku, planował, kombinował, rozmawiał ze mną w czasie przerw o tym, co zabrać. Ale przy całym tym dokładnym planowaniu zdarzały mu się też dzikie pomysły. Na przykład nie chciał do tej głuszy polecieć sam - kontynuuje Stoppel. - Jego największym marzeniem było zamieszkać tam z jakąś piękną kobietą. Zdradzał wielką chęć na parę różnych dziewczyn z pracy i poświęcił dużo trudu i energii, starając się namówić Sue, Barbarę czy jeszcze jakąś inną, żeby z nim pojechały, co było już dowodem marzycielstwa. Nie miał na to szans. Przy rurociągu, gdzie pracowaliśmy, przypadało mniej więcej czterdziestu facetów na jedną kobietę. Ale Carl był takim naiwniakiem: do samego odlotu miał nadzieję, że któraś z dziewczyn się zdecyduje i pojedzie z nim. Tylko niezyciowy facet mógł oczekiwać, że ktoś się domyśli, że on ma kłopoty i mu pomoże. Pewnie jak już prawie umierał z głodu, wyobrażał sobie, że w ostatniej chwili przyleci Duża Sue z wielkimi zapasami żarcia, a potem przeżyją szaleńczy romans. Jego świat fantazji był tak odległy od tego, co ludziom przysłoby do głowy, że nikt na to nie wpadł, i Carl odczuwał głód. Kiedy nareszcie zrozumiał, że nikt nie przyjedzie go ratować, był już w takim stanie, że stało się niemożliwe zrobienie czegokolwiek.

Gdy zapasy McCunna praktycznie się skończyły, zapisał w dzienniku: *Teraz już nie tylko się martwię. Szczerze mówiąc, jestem przerażony.*

Temperatura spadła poniżej 20 stopni Celsjusza. Na palcach rąk i nóg pojawiły mu się bolesne odmrożenia, wypełnione płynem pęcherze. W listopadzie skończyła się reszta żywności. Był słaby, miał zawroty głowy, jego wychudłym ciałem wstrząsały

¹ Ścisłe mówiąc, wyciągnięte w górę obie ręce sprawiają, że z odległości sylwetka człowieka wygląda jak „Y” (yes, czyli potrzebuję pomocy). Podniesiona jedna ręka i opuszczona druga oznacza „N” – nie, dziękuję)

dreszcze... Zapisał w dzienniku: *Ręce i nos są jeszcze gorsze od stóp... Koniuszek języka opuchnięty, z pęcherzykami. Jest to naprawdę straszna i powolna śmierć.*

Rozważał opuszczenie obozu i wędrówkę do Fortu Yukon, ale uznał, że jest za słaby, i zimno oraz zmęczenie wykończą go, nim tam dotrze.

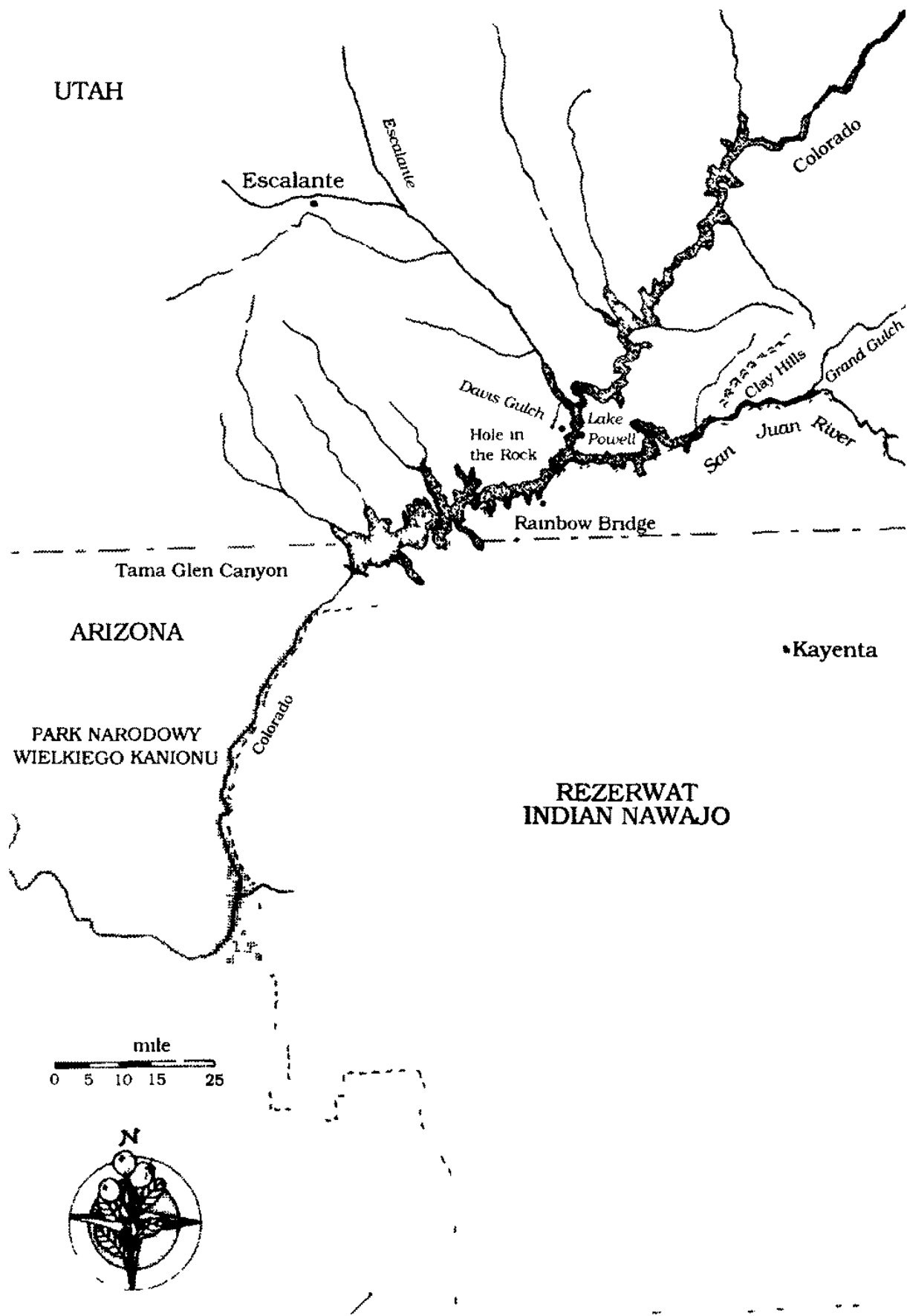
- Ta część interioru, do której wybrał się Carl, jest odległym, pustym fragmentem Alaski - tłumaczy Stoppel. - Zimą robi się tam pioruńsko zimno. Może inni ludzie w jego sytuacji wykombinowaliby, jak się wydostać albo tam przetrwać, ale do tego trzeba mieć łeb. Trzeba by być tygrysem, jakimś pieprzonym zwierzęciem. A Carl był za miękki, taki rozrywkowy chłopak.

Już dalej tak nie mogę - napisał McCunn w dzienniku, który zajmował teraz około stu luźnych kartek w niebieskie linie. - *Dobry Boże, przebacz mi moje słabości i moje grzechy. Dbaj o moją rodzinę.* Potem ułożył się w namiocie, przybliżył do głowy lufę strzelby i nacisnął kciukiem cyngiel. Dwa miesiące później, 2 lutego 1982 roku, Konna Policja Stanowa, przejeżdżając obok jego obozu, zajrzała do namiotu i znalazła zwłoki, zamrożone na kość.

Istnieją podobieństwa między Rosellinim, Watermanem, McCunmem i McCandlessem. Podobnie jak Rosellini i Waterman, McCandless był poszukiwaczem i ulegał tej niepraktycznej fascynacji brutalną stroną przyrody. Podobnie jak Waterman i McCunn objawiał zdumiewający brak zdrowego rozsądku. W odróżnieniu od Watermana nie był psychicznie chory. I w odróżnieniu od McCunna nie znikł w ostępach z nadzieją, że nie wiadomo dlaczego pojawi się ktoś, kto go uratuje.

McCandless niezupełnie przystawał do stereotypu ofiar głuszy. Chociaż pełen brawury, nieobyty z dzikością przyrody i nieostrożny tak, że graniczyło to z głupotą, nie był zupełnie niekompetentny. Inaczej nie przetrwałby 113 dni. I nie był świrem ani wyrzutkiem społeczeństwa. McCandless był jeszcze kimś innym, chociaż trudno powiedzieć kim. Może pielgrzymem.

Można zdobyć nieco informacji o jego wewnętrznych motywach, jeśli przestudiuje się losy jego poprzedników, skrojonych podług tego samego, egzotycznego wzoru. Aby tego dokonać, należy spojrzeć poza Alaskę, do skalistych kanionów Utah. Tam w roku 1934 dziwny dwudziestoletni chłopak wszedł na pustynię i nigdy już stamtąd nie wrócił. Nazywał się Everett Ruess.



DAVIS GULCH

Jeśli idzie o to, kiedy odwiedzę cywilizację, to nieprędko, jak sądzę. Nie znudziło mi się w dziczy; wciąż zachwycam się jej pięknem i ciągle na nowo cieszę się wędrownym życiem, jakie prowadzę. Wolę siodło niż tramwaj, niebo usiane gwiazdami niż dach nad głową, trudny szlak, prowadzący w nieznane niż wyasfaltowaną szosę i głęboki spokój dzikich ostępów niż rozgoryczenie, jakie wywołuje miasto. Czy wobec tego możesz mnie potępiać, że jestem tu, gdzie czuję się częścią świata? To prawda, że brak mi inteligentnego towarzystwa, ale jest tak niewiele, którzy potrafią dzielić ze mną to, co dla mnie ważne, że nauczyłem się obywatelstwa bez nich. Wystarczy, że otacza mnie piękno... Z twoich skąpych opisów wiem, że nie zniósłbym rutyny i monotonii życia, jakie jesteś zmuszony prowadzić. Chyba nigdy nie mógłbym się gdzieś na zawsze osiedlić. Poznałem już dość życie i wolałbym wszystko inne niż kolejne rozczarowania.

Ostatni list, jaki otrzymał od Everetta Ruessa jego brat, Waldo, z datą 11 listopada 1934 roku

Everettowi Ruessowi chodziło o piękno, a piękno pojmował w kategoriach romantycznych. Może jego ekstrawaganckie wyobrażenie skłaniałoby nas do śmiechu, gdyby nie było w tym olbrzymiego zaangażowania. Estetyka jako salonowa afektacja bywa absurdalna, a nawet lekko obsceniczna, natomiast jako sposób życia czasem zyskuje godność. Jeśli śmiejemy się z Everetta Ruessa, musimy też śmiać się z Joh-na Muira, ponieważ - prócz wieku - niewielka jest między nimi różnica.

Wallace Stegner, „Mormon Country”

Przez większą część roku Davis Creek jest tylko strużką, a czasem nawet i nią nie. Wytryskujący u stóp skały Fiftymile Point strumyk płynie około siedmiu kilometrów przez różowe piaskowce Utah, nim skieruje swe wątle wody do jeziora Powell, gigantycznego zbiornika, który rozpościera się na przestrzeni trzystu kilometrów nad tamą Glen Canyon. Davis Gulch jest niewielkim, ale uroczym zlewiskiem i od wieków wędrowcy, podróżujący przez tę wysuszoną krainę, zatrzymywali się w oazie, u stóp wąskiej przełęczy. Jej strome ściany ozdabiają pełne grozy, dziewięćsetletnie petroglify i piktografy. W ich zacisznych zakątkach przycupnęły rozpadające się kamienne siedziby dawno wymarłych Indian Anasazi, twórców tych skalistych arcydzieł. Starodawne naczynia Anasazi walają się w piasku wraz z zardzewiałymi puszkami, pozostawionymi przez pasterzy z końca ubiegłego wieku.

Davis Gulch jest jak głęboka, wijąca się szrama w gładkiej skale, miejscami tak wąska, że można by splunąć na drugą stronę, otoczona zwisającymi piaskowcami, tarasującymi dostęp do dna kanionu. Istnieje ukryta droga do parowu. Od miejsca, z którego Davis Creek wpływa do jeziora Powell, prowadzi zygzakiem z zachodniej ściany kanionu naturalna pochyłość i pojawiają się na niej prymitywne schody, wyrobione w miękkim piaskowcu przez mormonskich pasterzy prawie sto lat temu.

Krajobraz, otaczający parów Davis Gulch, tworzą wysuszone, nagie skały i

ceglasty piasek. Roślinność jest wątła. Nie ma praktycznie żadnego cienia, w którym można by się schronić przed palącym słońcem. Zejście do kanionu to jak zejście do innego świata. Wysokie trawy falują w delikatnym powiewie. Topole przytulają się z gracją do dzikich gruszy. Efemeryczne kwiecie wyrasta u stóp trzydziestometrowego kamiennego łuku, a wązowe strzyżyki wyśpiewują do siebie żałośnie z gęstwiny skarłowaciałych dębów.

Sześćdziesiąt lat temu w tym rozkosznym zakątku, niewiele ponad kilometr od schodów mormonów, dwudziestoletni Everett Ruess wyrył jeden swój pseudonim na ścianie kanionu, tuż pod piktografami Anasazi, a drugi przy wejściu do małego budyneczku, zbudowanego przez Anasazi do magazynowania zboża. Wyskrobał tam napis *Nemo 1934* i niewątpliwie kierował nim ten sam impuls, który kazał Chrisowi McCandlessowi wypisać na ścianie autobusu w Sushana *Alexander Supertramp, maj 1992*. Być może zresztą był to ten sam impuls, który zainspirował Anasazi do wyrycia w piaskowcu niemożliwych obecnie do odczytania symboli. W każdym razie, krótko po tym, jak wyrył w skale swój napis, Ruess opuścił Davis Gulch i znikł w tajemniczy sposób, najwidoczniej zaplanowany. Dokładne poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Znikł, jakby w całości pochłonięty przez pustynię. Po sześćdziesięciu latach w dalszym ciągu nie wiemy właściwie nic o jego losach.

Everett urodził się w Oakland, w Kalifornii w 1914 roku jako młodszy z dwóch synów Christophera i Stelli Ruess. Christopher, absolwent Uniwersytetu Harvarda, był poetą, filozofem i duchownym unitariańskim, chociaż zarabiał na życie jako urzędnik w kalifornijskim systemie karnym. Stella była zdecydowaną kobietą o ambicjach artystycznych, odpowiadał jej styl cyganerii. Wydawała sama dziennik literacki „Ruess Quartette”, na jego okładce widniała maksyma rodziny: *Sław każdą godzinę*. Ruessowie byli trzymającą się razem, zżytą rodziną, prowadzącą koczowniczy tryb życia, która przeprowadzała się - z Oakland do Fresno, następnie do Los Angeles i do Bostonu, z Brooklynu do New Jersey i do Indiany. Ostatecznie osiedli w południowej Kalifornii, kiedy Everett miał czternaście lat. W Los Angeles Everett uczęszczał do Otis Art School i szkoły Hollywood High. Jako szesnastolatek wyruszył w swą pierwszą dłuższą samotną podróż; spędził lato 1930 roku podróżując autostopem i pieszo po Yosemitech i Big Sur, a kończąc trasę w Carmelu. Dwa dni po przybyciu do osiedla odważnie zapukał do drzwi Edwarda Westona, którego tak ujął, że przez następne dwa miesiące słynny fotograf zachęcał chłopca do malowania i spędzania czasu w studio wraz z jego własnymi synami, Neilem i Colem.

Pod koniec lata Everett wrócił do domu tylko po to, żeby skończyć liceum i uzyskać dyplom, w styczniu 1931 roku. Niecały miesiąc później był już znów w drodze, wędrując samotnie przez krainy kanionów w Utah, po Arizonie i Nowym Meksyku, które wówczas były terenami równie słabo zaludnionymi i tajemniczymi, jak dzisiaj Alaska. Poza krótkim, nieudanym epizodem na Uniwersytecie Los Angeles (wyrzucono go po pierwszym semestrze ku wielkiemu strapieniu ojca), dwiema dłuższymi wizytami u rodziców i poza zimą w San Francisco (gdzie obracał się w tym samym towarzystwie co Dorothea Lange, Ansel Adams i malarz Maynard Dixon), Ruess spędzał życie w podróżach, wędrując tylko z plecakiem z bardzo małą ilością pieniędzy, śpiąc byle gdzie, czasem całymi dniami głodując.

Ruess był, zdaniem Wallace'a Stegnera, „nieopierzonym romantykiem,

młodocianym estetą, atawistycznym bywalcem pustkowi”:

W wieku osiemnastu lat zobaczył we śnie siebie, przedzierającego się przez dżunglę, wspinającego po skałach, wędrującego przez romantyczne pustkowia świata. Żaden mężczyzna, mający jeszcze w sobie chłopca, nie zapomniałby takich snów. Najdziwniejsze, że Everett Ruess robił to, o czym śnił, nie tylko przez dwa tygodnie wakacji w cywilizowanej krainie cudów, ale całymi miesiącami i latami, w samym środku cudu...

Specjalnie dręczył swe ciało, badał wytrzymałość, sprawdzał odporność na zmęczenie. Specjalnie wybierał trasy, przed którymi ostrzegali go Indianie i stare wygi. Atakował skały, z których niejednokrotnie zawisał na krawędzi... Ze swych obozowisk nad zbiornikami wodnymi, w kanionach czy w górach Nawaho pisał długie, entuzjastyczne listy do rodziny i przyjaciół, potępiając stereotypy cywilizacji i z młodzieńczym wrzaskiem śmiejąc się wprost do świata.

Ruess wysłał wiele takich listów, ostemplowanych w różnych, najbardziej odległych osadach, przez które wędrował: Kayenta, Chinle, Lukachukai, Kanion Syjon, Wielki Kanion, Mesa Verde, Escalante, Rainbow Bridge, Canyon de Chelly. Czytając tę korespondencję (zebraną w biografii „Everett Ruess: A Vagabond for Beauty” starannie napisanej przez W.I. Rusho) zdumiewamy się namiętym dążeniem Ru-essa do włączenia się w świat natury i oczarowaniem krainami, przez które wędrował. *Miałem niesamowite przeżycia w guszy od czasu, gdy do ciebie ostatnio pisałem - przytłaczające, wszechogarniające - zwierzał się przyjacielowi, Cornelowi Tengelowi. Ale mnie zawsze coś pochłania. Jest mi to potrzebne do życia.*

Korespondencja Everetta Ruessa nasuwa nieodparte skojarzenia z Chrisem McCandlesssem. Oto wyjątki z trzech listów Ruessa:

Coraz częściej myślę o tym, że powinienem na zawsze pozostać samotnym wędrowcem w dzikich krainach. Boże, jak mnie urzeka droga. Nie potrafisz zrozumieć, jak jest dla mnie fascynująca. Samotny szlak jest najlepszy... Nigdy nie przestanę wędrować. A kiedy przyjdzie pora umrzeć, znajdę najdziksze, najbardziej samotne i odosobnione miejsce.

Piękno tego kraju staje się częścią mnie. Czuję się bardziej bezstronny i jakiś łagodniejszy... Mam tu kilkoro dobrych przyjaciół, ale nikogo, kto zrozumiałby, dlaczego tu jestem i co tu robię. W ogóle nie znam nikogo, kto zrozumiałby więcej niż odrobinę; zaszedłem już za daleko w swej samotności. Nigdy nie satysfakcjonowało mnie życie, jakie prowadzi większość ludzi. Chcę żyć pełniej i bardziej intensywnie.

Tego roku w moich wędrowniach podejmowałem większe ryzyko i przeżyłem bardziej szalone przygody niż kiedykolwiek przedtem. I jakież piękne krajobrazy widziałem - dzikie, olbrzymie, jałowe połacie, zagubione, strome skały, błękitne góry wznoszące się nad czerwonymi piaskami pustyni, kaniony wąskie na kilka metrów, a głębokie na sto; nagłe ulewy nad nienazwanymi kanionami i setki jaskiń - siedzib tutejszych mieszkańców, pustych od tysiąca lat.

Pięćdziesiąt lat później McCandless bardzo przypomina Ruessa, gdy w pocztówce do Wayne'a Westerberga pisze: *Postanowiłem jeszcze przez dłuższy czas tak żyć.*

Taka wolność i proste piękno są zbyt dobre, żeby z nich zrezygnować. Echa opinii Ruessa dają się też słyszeć w ostatnim liście McCandlessa do Ronalda Franza.

Ruess był takim samym, jeśli nie większym, romantykiem jak McCandless, i równie nie zważał na osobiste bezpieczeństwo. Clayborn Lockett, archeolog, który przelotnie zatrudnił Ruessa jako kucharza podczas wykopalisk w 1934 roku, powiedział, że „był zdumiony niedbałością, z jaką Everett poruszał się po niebezpiecznych skałach”. Rzeczywiście, sam Ruess chwalił się w jednym z listów:

Setki razy powierzałem swe życie kruszącym się piaskowcom i prawie pionowym krawędziom skał w poszukiwaniu wody lub jaskiń mieszkalnych. Dwa razy omal nie zostałem przebity przez dzikiego byka, ale zawsze, jak dotąd, wychodziłem z tych opresji cało i rzucałem się w wir nowych przygód.

W ostatnich listach Ruess nonszalancko wyznaje bratu:

Parę razy ledwie uszedłem z życiem przed grzechotnikami i uratowałem się z kruchych skał. Ostatnia dramatyczna przygoda przytrafiła mi się, gdy Chocolatero (jego osiołek) rozgrzebał gniazdo dzikich pszczół. Jeszcze kilka żądleń i może nie przeżyłbym tego. Dopiero po trzech czy czterech dniach mogłem otworzyć oczy i zrobić coś rękami.

Podobnie jak McCandless, Ruess nie zważał na fizyczny dyskomfort, chyba nawet czasami chętnie go przyjmował.

Przez sześć dni cierpiałem z powodu zdarzających się co pół roku dolegliwości spowodowanych trującym bluszczem. Moje cierpienia jeszcze się nie skończyły - pisał do przyjaciela Billa Jacobsa -Przez dwa dni myślałem, że zaraz umrę. Skręcałem się i wilem w upale, roje mrówek i much laziły po mnie, a twarz, ręce i plecy piekły mnie strasznie od tej trującej rośliny. Nic nie jadłem, pozostało mi tylko filozoficznie znosić cierpienie. Dostaję tego uczulenia za każdym razem, ale nie chcę dać się wywieźć z lasu.

Podobnie jak McCandless zbliżający się do ostatniej odysei, Ruess przyjął nowe imię, a raczej serię nowych imion. W liście z 1 marca 1931 roku informuje rodzinę, że zaczął się nazywać Lan Rameau, i prosi, żeby *uszanować pseudonim... Jak to się mówi po francusku? Nomme de broushe czy jak?* Dwa miesiące później w innym liście wyjaśnia, że znów zmienił nazwisko, na Evert Rulan. *Ci, którzy mnie znali, uważali, że poprzednie było dziwaczne i sfrancuziałe.* W sierpniu tego samego roku bez żadnych wyjaśnień znów nazywa siebie Everettem Ruessem i trwa to przez trzy lata, póki nie zaczyna się wędrówka w wąwozie Davis Gulch. Tam z jakichś nieznanych powodów dwa razy wyrył nazwę Nemo (po łacinie: Nikt) na miękkim piaskowcu Nawaho, a następnie znikł. Miał dwadzieścia lat.

Ostatnie listy, otrzymane od Ruessa, wysyłane były 11 listopada 1934 roku z osady mormońskiej Escalante, położonej dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Davis Gulch. Zaadresowane były do rodziców i brata i zawierały informację, że będzie nieosiągalny przez miesiąc czy dwa. Osiem dni po wysłaniu tych listów ponad kilometr od wąwozu Ruess spotyka dwóch pasterzy i spędza w ich obozie dwie noce. Są to ostatnie dwie osoby, które widziały go żywego. Jakieś trzy miesiące po wyjeździe Ruessa z Escalante, jego rodzice otrzymali stosik nieotwartych listów z urzędu pocztowego w Marble Canon, w Arizonie, gdzie Everett bardzo dawno się

nie pokazywał. Zaniepokojeni Christopher i Stella Ruess skontaktowali się z władzami Escalante, które zorganizowały poszukiwania na początku marca 1935 roku. Poczynając od obozu pasterzy, gdzie go widziano po raz ostatni, zaczęto przeczesywać okolicę i dość szybko znaleziono jego dwa osiołki w Davis Gulch, spokojnie pasące się w prowizorycznej zagrodzie. Zamknięte były w górnej części kanionu, niedaleko miejsca, gdzie schody mormonów dochodzą do dna kanionu. Niedaleko znaleźli niewątpliwy ślad obozu Ruessa, a następnie u wejścia do spichlerza Anasazi, pod wspaniałym naturalnym łukiem natrafili na napis *Nemo 1934*, wyryty w płycie kamiennej. Na pobliskim głazie ustawiono starannie cztery naczynia Anasazi. Trzy miesiące później poszukiwacze napotkali nieco dalej jeszcze jeden napis *Nemo* (wody jeziora Powell, podwyższone po ukończeniu tamy Glen Canyon w 1963 roku, dawno już zmasały oba napisy), ale poza osiołkami i ich uprzężą nie znaleziono żadnego sprzętu turystycznego, dzienników, malowideł - niczego, co należałoby do Ruessa. Uznano, że zabił się, spadając z którejś z wysokich ścian kanionu. Jeśli się weźmie pod uwagę zdradliwą naturę tych popękanych, piaskowych skałek i skłonności Ruessa do niebezpiecznych wspinaczek, jest to bardzo prawdopodobny scenariusz. Podczas dokładnych oględzin skał, bliżej i dalej, nie natknięto się jednak na żadne szczątki ludzkie.

A jak wytłumaczyć fakt, że Ruess najwidoczniej wziął całe swoje ciężkie wyposażenie, nie zabierając osiołków do transportu? Te tajemnicze okoliczności doprowadziły niektórych do wniosku, że Ruess został zamordowany przez grasujących w okolicy złodziei bydła, którzy zabrali jego dobytek, a ciało zakopali albo wrzucili do rzeki Kolorado. Również ta teoria jest prawdopodobna, choć nie ma dowodów.

Wkrótce po zaginięciu Everetta jego ojciec zasugerował, że chłopak prawdopodobnie pomysł na imię Nemo wziął od Juliusza Verne'a z jego książki „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, którą czytał wielokrotnie. Jej nieskalany bohater ucieka od cywilizacji i wszystkich swych związków z tym światem. Biograf Everetta, W.L. Rusho, zgadza się z taką oceną, twierdząc, że „ucieczka od zorganizowanego społeczeństwa, pogarda dla uciech światowych i podpisy Nemo w wąwozie świadczą o tym, że Ruess identyfikował się z bohaterem Verne'a”. Ta interpretacja prowadziła do dalszych spekulacji, że Everett wyprowadził wszystkich w pole i po opuszczeniu Davis Gulch, żywy i cały, mieszka gdzieś sobie pod przybranym nazwiskiem. Rok temu, gdy brałem benzynę w Kingman, w Arizonie, zagadnąłem o Ruessa pracownika stacji, niewysokiego faceta z resztkami tytoniu wokół ust.

Przysięgał, że zna człowieka, który na pewno natknął się na Ruessa pod koniec lat sześćdziesiątych w odległej chatce w Rezerwacie Indian Nawaho. Twierdził, że Ruess ożenił się z Indianką i mieli co najmniej jedno dziecko. Wiarygodność tego, jak i innych zeznań na temat losów Ruessa, jest mocno wątpliwa.

Ken Sleight, który spędził wiele czasu, badając zagadkę zniknięcia Everetta Ruessa, jest przekonany, że chłopak zmarł w 1934 lub na początku 1935 roku i że wie, jak zakończył życie. Sleight, lat sześćdziesiąt pięć, jest zawodowym przewodnikiem rzeczonym, szcurem pustynnym, znanym z mormońskiego wychowania i bezczelności. Mieszkał w tej okolicy czterdzieści lat, był wszędzie

tam, gdzie zawędrował Ruess, rozmawiał z ludźmi, którzy spotykali się z Ruessem, zabrał jego starszego brata, Waldo, do Davis Gulch, żeby zobaczyć, gdzie zginął Everett.

- Waldo myśli, że brat został zamordowany - mówi Sleight - ale ja tak nie uważam. Mieszkałem przez dwa lata w Escalante, rozmawiałem z ludźmi, którym się zarzuca ten czyn, i po prostu nie chce mi się wierzyć, że to zrobili. Ale kto to wie? Nigdy nie można powiedzieć na pewno, co ktoś robi w samotności. Inni mówią, że spadł ze skały. Tak, mogło tak być, prawdopodobne w tej okolicy, tylko ja nie uważam, że tak było. Powiem ci, co myślę: sądzę, że utonął.

Wiele lat temu, wędrując z biegiem Grand Gulch, dopływu San Juan River, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na wschód od Davis Gulch, Sleight odkrył napis *Nemo* na spichrzu Anasazi. Podejrzewa, że Ruess wyrzył go wkrótce po opuszczeniu Davis Gulch.

- Kiedy zostawił osiołki w zagrodzie - mówi Sleight - schował gdzieś w pieczarze swój dobytek i wyruszył dalej, udając kapitana Nemo. Miał przyjaciół Indian w Rezerwacie Nawaho i chyba tam zmierzał.

Logicznie byłoby wobec tego przekroczyć rzekę Kolorado w Hole-in-the-Rock, następnie iść pionierskim szlakiem mormonów z 1880 roku, przez Wilson Mesa i Clay Hills, w końcu wzdłuż Grand Gulch do San Juan River, gdyż po jej drugiej stronie leży rezerwat.

- Everett wyrzył swojego Nemo na ruinach w Grand Gulch, około półtora kilometra poniżej miejsca, gdzie wpływa do niego Collins Creek, i dalej pchał się do San Juan. A kiedy próbował przepłynąć się przez nurt, utonął. Tak ja uważam.

Sleight sądzi, że nawet gdyby udało mu się przepłynąć rzekę i dotrzeć do rezerwatu, byłoby niemożliwe ukrycie swej obecności.

- Nawet gdyby wciąż bawił się w kapitana Nemo. Ten samotnik cholernie kochał ludzi i nie mógłby siedzieć sam w ukryciu do końca życia. Wielu z nas jest podobnych: ja taki jestem, Ed Abbey taki był i wydaje się, że ten mały McCandless też. Lubimy towarzystwo, ale nie możemy znieść ludzi cały czas koło siebie. Więc gdzieś się gubimy, potem wracamy i znów znikamy w diabły. To robił Everett. Był dziwny - przyznaje Sleight. - Jakiś inny. Ale i on, i McCandless przynajmniej starali się zrealizować swoje marzenia. To było w nich wspaniałe. Próbowali. Niewielu tak robi.

Usiłując zrozumieć Everetta Ruessa i Chrisa McCandlessa, należy chyba rozpatrywać ich postępowanie w kontekście. Dobrze jest popatrzeć na ich poprzedników z odległego miejsca i z poprzedniego wieku.

Na południowym wschodzie wybrzeży Islandii rozciąga się mała wysepka Papos. Skalista, nieporośnięta drzewami, wciąż szarpana wiatrami, wiejącymi z połnocnego Atlantyku. Nazwę swą wzięła od pierwszych osadników, których dawno nie ma, mnichów irlandzkich, zwanych *papar*. Spacerując pewnego letniego popołudnia tym zdeformowanym brzegiem, natknąłem się na kamienne formy niewyraźnych prostopadłościanów, wtulonych w tundrę: pozostałości starych budynków mnichów, setki lat starszych od ruin Anasazi w Davis Gulch.

Mnisi przybyli tam w V i VI wieku na łodziach z zachodnich wybrzeży Irlandii. Były to nieduże, otwarte łódki, zwane *carraghs*, zrobione ze skóry wołowej, rozpiętej

na lekkich, wiklinowych konstrukcjach. Pokonali na nich jeden z najbardziej zdradzieckich odcinków oceanu na świecie, nie wiedząc, czy i co znajdą po drugiej stronie. Ryzykowali życie i wielu z nich je straciło, nie w poszukiwaniu chwały, bogactwa czy odkrywaniu nowych lądów dla jakiegoś władcy. Jak napisał wielki badacz arktyczny i laureat Nagrody Nobla, Fridtjóf Nansen: *Te niezwykle podróże podejmowali anachoreci zwykle z chęci znalezienia odosobnionych miejsc, gdzie mogliby zamieszkać w spokoju, bez zawirowań i pokus tego świata.* Kiedy w IX wieku na wybrzeżach Islandii pojawili się pierwsi Norwegowie, *papar* uznali, że kraj jest zbyt przeludniony, chociaż stał się zaledwie zamieszkały. Zapakowali się więc na swoje łodzie i powiosłowali w kierunku Grenlandii. Szalejące na oceanie sztormy ściągnęły ich na zachód, poza skraj znanego świata, pociągnął ich głód ducha i tęsknota tak dojmująca, że nie do objęcia współczesną wyobraźnią.

Czytając o tych mnichach, człowiek czuje się wzruszony ich odwagą, ich beztrąską niewinnością i siłą ich pragnienia. Znając ich historię, nie sposób nie pomyśleć o Everecie Ruessie i Chrisie McCandlesie.

Rozdział 10 FAIRBANKS

Przypadkowy turysta odkrywa śmierć na odludziu

Anchorage, 12 września (AP) - W niedzielę znaleziono ciało młodego wędrowca, unieruchomionego przez obrażenia, w odległym obozowisku w głębi Alaski. Nie wiadomo dotąd, kim jest. Jego pamiętnik i dwie notatki przekazują nam niezwykle historię coraz bardziej beznadziejnej walki o przetrwanie.

Mężczyzna ten to prawdopodobnie Amerykanin w wieku 27-32 lat, który, jak można wnioskować z pamiętnika, mógł odnieść kontuzję przy upadku i został unieruchomiony w obozie przez ponad trzy miesiące. Dowiadujemy się, jak próbował się ratować, polując i jedząc rośliny i owoce leśne i coraz bardziej słabnąc.

Jedna z notatek jest prośbą o pomoc, zaadresowaną do ewentualnego przechodnia, pozostawioną, gdy wędrowiec oddalił się od obozu w poszukiwaniu żywności. Druga notatka jest pożegnaniem ze światem...

Sekcja zwłok przeprowadzona w urzędzie koronera w Fairbanks w tym tygodniu ustaliła, że mężczyzna zmarł z głodu, prawdopodobnie pod koniec lipca. Wśród rzeczy osobistych znaleziono wskazówkę co do nazwiska ofiary. Dotychczas nie potwierdzono jednak jego tożsamości, a dopóki to nie nastąpi, władze nie podadzą

nam tego nazwiska.

„The New York Times” 13 września, 1992

Nim „The New York Times” zamieścił notatkę o turyście, Policja Konna Stanu Alaska przez tydzień starała się dowiedzieć, kim był. Zmarły ubrany był w niebieską bluzę z logo spółki holowniczej z Santa Barbara. Właściciel firmy twierdził, że nie wie nic na jego temat ani jak mógł wejść w posiadanie bluzy. Różne krótkie, luźne notatki w pamiętniku dotyczyły fauny i flory, więc podejrzewano, że może być biologiem, ale i ten trop prowadził donikąd.

10 września, trzy dni przed opublikowaniem informacji o zmarłym turyście w „The Times”, artykuł przedrukowano na pierwszej stronie „Anchorage Daily News”. Kiedy Jim Gallien zobaczył tytuł i mapkę wskazującą, że ciało znaleziono 40 kilometrów na zachód od Healy, na Szlaku Stampede, poczuł, że włosy mu się zjeżyły: Alex. Gallien wciąż miał w oczach obraz dziwnego, sympatycznego młodzieńca, maszerującego szlakiem w butach za dużych o dwa numery, jego starych, brązowych butach, które wmusił temu chłopakowi.

- Sądząc z artykułu, mimo takich skąpych wiadomości, wydało mi się, że to ta sama osoba - mówi Gallien - więc zadzwoniłem na policję i mówię: „Hej, myślę, że podwoziłem tego faceta”. „Jasne, na pewno” - odpowiedział gliniarz z tamtej strony. - „Niby czemu tak uważasz? Jesteś szóstą osobą w ciągu ostatniej godziny, która dzwoni opowiadając, że wie, kto to był”.

Ale Gallien upierał się i im dłużej rozmawiali, tym bardziej policjant, Roger Ellis, dawał się przekonać. Gallien opisał niektóre przedmioty z jego wyposażenia, niewymienione w gazecie, które pasowały do tych, znalezionych w pobliżu ciała. Następnie Ellis zauważył, że pierwsze tajemnicze napisy w dzienniku wędrowca brzmiały: *Wyjazd Fairbanks. Siedzący Gallien. Dzień Królika.*

W tym czasie policjanci wywołali już film, znaleziony w minolcie nieszczęsnego turysty, było tam kilka jego autoportretów.

- Kiedy przynieśli mi te zdjęcia do roboty, nie miałem wątpliwości. Facet na zdjęciach to był Alex.

Ponieważ McCandless powiedział Gallienowi, że jest z Dakoty Południowej, policjanci natychmiast tam zaczęli poszukiwać najbliższej rodziny. W biuletynie zaginionych figurowała osoba nazwiskiem McCandless ze wschodniej Dakoty Południowej, przypadkowo zupełnie z małego miasteczka o trzydzieści kilometrów od Wayne’a Westerberga w Carthage, więc przez chwilę myśleli, że znaleźli, ale okazało się to fałszywym tropem.

Westerberg nie miał żadnej wiadomości od swego przyjaciela, którego znał jako Aleksa McCandlessa, od czasu pocztówki z Fairbanks, którą dostał wiosną ubiegłego roku. 13 września jechał pustą szosą w pobliżu Jamestown w Dakocie Północnej, prowadząc do domu w Carthage swą ekipę po ukończonym czteromiesięcznym sezonie żniwnym w Montanie, kiedy nagle milcząca krótkofalówka ożyła.

- Wayne! - zaskrzeczał podniecony głos z jednej z ciężarówek. -Tu Bob! Masz włączone radio?

- Taa, Bobby. Tu Wayne. Co jest grane?

- Szybko, włącz ...i posłuchaj Paula Harveya. Mówi o jakimś chłopaku, który

zagłodził się na śmierć na Alasce. Policja nie wie, kto to jest. Wygląda mi na Aleksa.

Westerberg zdążył złapać stację na czas, żeby usłyszeć zakończenie audycji Paula Harveya, i musiał się zgodzić: nieliczne szczegóły, jakie podano, niebezpiecznie wskazywały na to, że anonimowym turystą mógł być jego przyjaciel.

Gdy tylko dotarł do Carthage, zdenerwowany Westerberg zadzwonił do policji na Alasce opowiedzieć, co wie na temat McCandlessa. Już wtedy artykuły o zmarłym wędrowcu i fragmenty jego pamiętnika opublikowano w całym kraju. W efekcie policjanci byli bombardowani informacjami od ludzi, którzy utrzymywali, że znają tożsamość zmarłego, więc telefonem Westerberga zainteresowali się jeszcze mniej niż Galliena.

- Ten gliniarz mi powiedział, że mieli co najmniej sto pięćdziesiąt telefonów od ludzi, którzy utrzymywali, że Alex był ich dzieckiem, przyjacielem, bratem - mówi Westerberg. - Rzygałem już ich wymówkami, więc powiedziałem: „Słuchaj, nie robię sobie żadnych dowcipów, tylko wiem, kto to jest. Pracował u mnie. Mam nawet gdzieś tutaj jego numer ubezpieczenia społecznego”.

Westerberg przerzucił kartoteki w elewatorze, aż znalazł dwa formularze W-4, które wypełnił McCandless. Na jednym, z pierwszej wizyty w Carthage w 1990 roku, nabazgrał: *Zwolniony zwolniony zwolniony* i podał nazwisko Iris Fucyu. Adres: *Co was to cholera obchodzi*. Numer ubezpieczenia społecznego: *Zapomniałem*. Na drugim formularzu, z datą 30 marca 1992, dwa tygodnie przed wyjazdem na Alaskę, wpisał swoje prawdziwe nazwisko: Chris J. McCandless, a w rubryce na numer ubezpieczenia podał: 228-31-6704. Westerberg znów zadzwonił na Alaskę. Tym razem policjanci potraktowali go poważnie.

Numer ubezpieczenia społecznego okazał się autentyczny i wskazywał stały adres McCandlessa w północnej Wirginii. Władze Alaski skontaktowały się z odpowiednim urzędem, który zaczął wertować książki telefoniczne regionu w poszukiwaniu McCandlessów. Walt i Billie McCandless wyprowadzili się już do Maryland, ale najstarszy syn Walta z pierwszego małżeństwa mieszkał w Annandale i znaleziono jego numer. To właśnie do Sama McCandlessa 17 września zadzwonił telefon. Odezwał się detektyw z wydziału zabójstw hrabstwa Fairfax.

Sam, dziewięć lat starszy od Chrisa, widział krótki artykuł o śmierci turysty w „The Washington Post” kilka dni wcześniej.

- Do głowy mi nie przyszło - wyznał - że to mógł być Chris. Jaka to ironia losu, że kiedy czytałem ten artykuł, pomyślałem: O Boże, jaka straszna tragedia. Tak mi żal rodziny tego faceta, kimkolwiek są. Cóż za smutna historia.

Sam wychowywał się w Kalifornii i Kolorado, u matki, i przeprowadził się do Wirginii w 1987 roku, kiedy Chris wyjechał na studia do Atlanty, więc nie znał dobrze swego przyrodniego brata. Kiedy jednak detektyw zaczął pytać, czy ten turysta wydaje się znajomy, Sam powiedział:

- Byłem pewien, że to Chris. Fakt, że pojechał na Alaskę, że pojechał sam - wszystko na to wskazywało.

Na prośbę detektywa Sam pojechał do wydziału policyjnego hrabstwa Fairfax, gdzie pokazano mu zdjęcie turysty, przesłane faksem z Fairbanks.

- Było to powiększenie, 20 na 25 cm - wspomina Sam - tylko twarz. Miał długie włosy i brodę. Chris prawie zawsze strzygł się krótko i był gładko ogolony. Twarz na

zdjęciu była bardzo chuda. Ale wiedziałem od razu. Nie miałem wątpliwości. To był Chris. Pojechałem do domu, zabrałem moją żonę, Michele, i ruszyliśmy do Maryland, do ojca i Billie. Nie wiedziałem, co im powiem. Jak się mówi ludziom, że ich dziecko nie żyje?

Rozdział 11

CHESAPEAKE BEACH

Nagle wszystko się zmieniło, ton, powietrze, nie wiadomo, co myśleć i kogo słuchać. Jak gdyby przez całe życie prowadzono człowieka za rękę, jak dziecko, a teraz puszczono -ucz się chodzić sam. I wokół pustka - ani kogoś bliskiego, ani żadnego autorytetu. W takiej chwili chce się zaufać czemuś ważnemu, sile życia albo pięknu, albo prawdzie, żeby kierowały człowiekiem właśnie one, a nie obalone przez ludzi dogmaty, zaufać całkowicie i bez reszty, bardziej niż w codziennym, pokojowym życiu, które już nie istnieje.

Borys Pasternak, „Doktor Żywago”

Fragment zaznaczony w jednej z książek znalezionych przy szczątkach Chrisa McCandlessa. Na marginesie nad cytatem widnieje uwaga, napisana ręką Chrisa: *Potrzeba celu*

Samuel Walter McCandless junior, lat pięćdziesiąt sześć, jest brodatym, małomównym mężczyzną z dość długimi szpakowatymi włosami, zaczesanymi gładko nad wysokim czołem. Wysoki, proporcjonalnie zbudowany, a okulary w drucianych oprawkach nadają mu profesorski wygląd. Siedem tygodni po odnalezieniu ciała syna, zawiniętego w niebieski śpiwór, który uszyła Chrisowi matka z gotowego zestawu, Walt obserwuje żaglówkę, przepływającą pod oknem położonego nad wodą domu.

- Jak to się stało - zastanawia się głośno, patrząc przez Zatokę Chesapeake - że dziecko, które miało dla wszystkich tyle współczucia, sprawiło rodzicom tyle bólu?

Dom McCandlessów w Chesapeake Beach, w stanie Maryland, jest gustownie urządzone, niezagracony, czystutki. Okno na całą wysokość pokoju ukazuje zamgloną panoramę zatoki. Przed domem parkują duży Chevrolet suburban i biały cadillac, a w garażu stoi z pietyzmem odnowiony corvette rocznik 69. Dziewięciometrowy katamaran zacumowany w doku. Cztery duże arkusze kartonowe, pokryte dziesiątkami zdjęć, ukazującymi krótkie życie Chrisa, zajmują jadalnię od wielu dni.

Billie pokazuje Chrisa jako malutkiego chłopca na kucyku, później ośmiolatka w

żółtym płaszczu od deszczu na pierwszej wyprawie z plecakiem, Chrisa przed rozpoczęciem liceum.

- Najtrudniejsze jest to - mówi Walt, zatrzymując się przy zdjęciu syna, wygłupiającego się na rodzinnych wakacjach - że już się tu nie będzie kręcił. Spędzałem dużo czasu z Chrisem, chyba więcej niż z innymi moimi dziećmi. Naprawdę lubiłem jego towarzystwo, chociaż często nas martwił.

Walt ubrany jest w szare spodnie dresowe, adidas i błyszczącą baseballową kurtkę z emblematem Jet Propulsion Laboratory. Mimo niezobowiązującego stroju roztacza aurę powagi. W swojej dziedzinie, zaawansowanej technologii radarowej, zwanej SAR, jest znakomitością. SAR stosowano w wyposażeniu misji kosmicznych od 1978 roku, gdy pierwszy satelita Seasat, zaopatrzony w tego typu radar, został umieszczony na orbicie okołoziemskiej. Kierownikiem projektu NASA, wysyłającym tego satelitę, był Walt McCandless.

W pierwszej linijce jego życiorysu zawodowego czytamy: *Zakończona karencja: Departament Obrony Stanów Zjednoczonych, ściśle tajne*. Nieco poniżej opis jego kariery zawodowej: *Wykonuję prywatne usługi konsultacyjne związane z projektowaniem systemów satelitarnych i zdalnie sterowanych czujników, przetwarzaniem sygnałów, redukcją danych i wyprowadzaniem informacji*. Koledzy nazywają go błyskotliwym.

Walt nieświadomie przejmuje zawsze kontrolę. Choć mówi cicho i niespiesznie, jak Amerykaniec z Zachodu, w jego głosie słychać jakąś ostrzejszą nutę, a przez silne szczęki czuje się przepływającą energię. Nawet przez dzielącą nas szerokość pokoju wyczuć można iskrzenie na łączach wysokiego napięcia. Nietrudno zgadnąć, skąd wzięła się taka intensywność przeżyć u Chrisa. Kiedy Walt mówi, ludzie słuchają. Kiedy ktoś lub coś mu się nie spodoba, oczy mu się zwięzają i wyrzuca słowa, urywając końcówki. Jak twierdzą członkowie rozległej rodziny, jego nastroje mogą być ponure lub żywiołowe, chociaż i tak jego słynny temperament stracił na gwałtowności w ostatnich latach. Po tym, jak Chris wymknął się im wszystkim w 1990 roku, coś się w Walcie zmieniło. Zniknięcie syna przeraziło go i ukazała się wszystkim łagodniejsza i bardziej tolerancyjna strona jego osobowości.

Walt urodził się w ubogiej rodzinie w Greeley, w stanie Kolorado, na wysoko położonych, wietrznych równinach w pobliżu granicy z Wyoming. Jako dziecko był bardzo zdolny i ambitny. Wygrał stypendium do Colorado State University w pobliskim Fort Collins. Żeby jakoś dać sobie radę finansowo podczas studiów, łapał różne dorywcze prace, między innymi w kostnicy, ale najbardziej stały dochód miał z grania z Charliem Novakiem, liderem popularnego kwartetu jazzowego. Zespół Novaka, z Waltem przy fortepianie, objeżdżał całą okolicę, grając kawałki do tańca i stare standardy w zadymionych knajpkach. Walt, jako zdolny muzyk z naturalnym talentem, jeszcze teraz czasami grywa zawodowo.

W 1957 roku, kiedy Rosjanie wypuścili Sputnika 1, na Amerykę padł strach. W związku z panującą wówczas narodową histerią Kongres zaczął łądować miliony dolarów w przemysł powietrzny. Boom trwał. Dla młodego Walta McCandlessa, świeżo po studiach, żonatego, z dzieckiem w drodze, sputnik otwierał drogę do przyszłości. Z dyplomem trzyletnich studiów Walt dostał pracę w Hughes Aircraft, skąd go wysłano na trzy lata do Tuckson; tu na uniwersytecie Arizony obronił pracę

magisterską z teorii anten: „Analiza stożkowych linii śrubowych”. Następnie przeniósł się do Kalifornii, by wziąć udział w wielkim programie Hughes Aircraft; miał szansę na spełnienie swych ambicji w wielkim wyścigu w kosmos.

Kupił mały parterowy dom w Torrance, ciężko pracował i piął się w górę. W roku 1959 urodził się Sam, a następnie, jedno po drugim: Stacy, Shawna, Shelly i Shannon. Walt został dyrektorem do spraw testowania i szefem sekcji w misji Surveyor 1, pierwszego pojazdu kosmicznego, który miękko wylądował na księżycu. Jego gwiazda błyszczała.

W 1965 pojawiły się problemy w jego małżeństwie. Rozszedł się z żoną, Marcją. Zaczął się spotykać z sekretarką w Hughes, Wilhelminą Johnson, na którą wszyscy mówili Billie. Miała dwadzieścia dwa lata i niezwykle, ciemne oczy. Pokochali się i zamieszkali razem. Billie zaszła w ciążę. Zawsze bardzo drobniutka i teraz przez dziewięć miesięcy przytyła niecałe cztery kilogramy; nawet nie musiała nosić ciężowych ubrań. Urodziła syna 12 lutego 1968 roku. Był bardzo mały, ale zdrowy i żywotny. Walt kupił jej gitarę Gianiniego, na której grała kołysanki, żeby ukoić niespokojnego noworodka. Dwadzieścia dwa lata później strażnicy z parku narodowego znajdą tę samą gitarę na tylnym siedzeniu żółtego datsuna pozostawionego na brzegu jeziora Mead.

Nie dowiemy się, czy przyczyną była nieznaną konwergencja chromosomów, czy połączenie kosmiczne, czy dynamika na styku rodzic-dziecko, dość, że Christopher Johnson McCandless przyszedł na świat z niezwykle uzdolnieniami i wolą, niedającą się łatwo wpasować w obcy tor. W wieku dwóch lat wstał w środku nocy, wyszedł z domu, nie budząc rodziców, i dotarł do domu sąsiadów na tej samej ulicy, gdzie splądrował szufladę ze słodyczami. W trzeciej klasie, kiedy otrzymał bardzo wysoką punktację w teście osiągnięć, został skierowany na przyspieszony program dla bardzo zdolnych uczniów.

- Bardzo był z tego niezadowolony - wspomina Billie - bo oznaczało to więcej pracy domowej. Spędził cały tydzień, starając się z tego wykręcić. To małe dziecko usiłowało przekonać nauczycielkę, dyrektora i kogo się dało, że wyniki testu były błędne i on nie powinien się znaleźć w tej grupie. Dowiedzieliśmy się o tym na pierwszej wywiadówce. Nauczycielka na stronie, kręcąc głową, powiedziała, że Chris maszeruje w innym rytmie.

- Już w dzieciństwie - mówi Carine, trzy lata młodsza od brata - był zamknięty w sobie. Nie, żeby nietowarzyski. Miał przyjaciół, wszyscy go lubili, ale potrafił odejść i sam się bawić godzinami. Nie potrzebował zabawek ani kolegów. Mógł być sam, nie czując się samotny.

Kiedy Chris miał sześć lat, Waltowi zaoferowano stanowisko w NASA, co go skłoniło do przeprowadzki w pobliże stolicy. Kupili domek na Willet Drive na przedmieściu Annandale. Miał zielone okiennice, okno z wykuszem, miły ogródek. Cztery lata po przyjeździe do Wirginii Walt porzucił pracę w NASA i otworzył własną firmę konsultingową, User Systems Incorporated, którą wraz z Billie prowadzili w domu.

Z pieniędzmi było krucho. Kłopoty finansowe, związane z zamianą stałej pensji na nieregularne dochody z pracy na własny rachunek, pogłębiała konieczność utrzymywania przez Walta dwóch rodzin. Carine mówi, jak starali się sobie z tym

poradzić.

- Mama i tata pracowali strasznie długo. Kiedy Chris i ja wstawaliśmy rano do szkoły, oni już siedzieli w biurze. Kiedy wracaliśmy po południu do domu, pracowali w biurze. Kiedy szliśmy spać, pracowali w biurze. Chyba dobrze im szło, bo w końcu zaczęli zarabiać dużo pieniędzy, ale zajęci byli cały czas.

Bardzo stresowało takie życie. Walt i Billie są z sobą związani, ale oboje wybuchowi i nieskorzy do kompromisów. Od czasu do czasu napięcie rozładowywali w utarczkach słownych. W chwilach gniewu jedno lub drugie groziło rozwodem.

- Po latach widzę w tym więcej dymu niż ognia - mówi Carine - ale myślę, że to jeden z powodów, dla których byliśmy z Chrisem tak sobie bliscy. Nauczyliśmy się liczyć na siebie wzajemnie, gdy mamie i tacie się nie układało.

Były też miłe momenty. W weekendy, albo inne dni wolne od szkoły, rodzina wyruszała w drogę. Jechali do Virginia Beach i na wybrzeże

w Karolinie, do Kolorado odwiedzić dzieci Walta z pierwszego małżeństwa, nad Wielkie Jeziora lub w góry Blue Ridge.

- Biwakowaliśmy po prostu z tyłu naszej półciężarówki - wyjaśnia Walt. - Dopiero później kupiliśmy samochód kempingowy, Airstream, i nim podróżowaliśmy. Chris uwielbiał te wyprawy; a im dłuższe, tym bardziej. W rodzinie zawsze panował duch podróżniczy i wcześniej wiedzieliśmy, że Chris go odziedziczył.

Podczas jednej z eskapad rodzina zwiedzała Iron Mountains, w Michigan, małe miasteczko górnicze w lasach, skąd pochodziła Billie. Była jednym z sześciorga dzieci. Ojciec Billie, Loren Johnson, pracował niby jako kierowca ciężarówek, ale nigdy nie utrzymał się dłużej w żadnej pracy.

- Jej ojciec nie bardzo mieścił się w normach społecznych - wyjaśnia Walt. - W pewien sposób byli z Chrisem podobni.

Loren Johnson to dumny, uparty i marzycielski człowiek lasu, samouk muzyczny, poeta. Jego stosunek do wszelkich leśnych stworzeń był legendarny.

- Zawsze miał w domu jakieś zwierzę - opowiada Billie. - Znajdował je w sidłach, zabierał do domu, leczył lub amputował uszkodzoną kończynę, po kuracji wypuszczał je do lasu. Kiedyś ojciec przejechał sarnę, a jej młode zostało sierotą. Był wstrząśnięty. Zabrał maleństwo do domu, chował je za piecem, jak jedno z dzieci.

Aby utrzymać rodzinę, Loren podejmował różne przedsięwzięcia, ale z miernym skutkiem. Przez jakiś czas hodował kurczaki, potem norki i szynszyle. Otworzył stajnię i wynajmował turystom konie pod wierzch. Większość pożywienia, jakie dostarczał, pochodziła z polowań, mimo że był bardzo nieszczęśliwy, kiedy musiał zabijać zwierzę.

- Mój ojciec płakał za każdym razem, gdy zastrzelił sarnę - mówi Billie - ale musieliśmy jeść, więc to robił.

Pracował również jako przewodnik myśliwych, czego jeszcze bardziej nie znosił.

- Panowie z miasta przyjeżdżali w swych wielkich cadillakach i tata musiał z nimi ruszać na polowanie na tydzień. Gwarantował im, że ustrzelą w tym czasie koziołka, ale większość z nich była marnymi strzelcami, a dobrymi pijakami, tak że nie mogli niczego trafić, więc zwykle on musiał im coś zabić. Boże, nienawidził tego.

Trudno się dziwić, że Loren był oczarowany Chrisem, a on uwielbiał dziadka. Jego znajomość lasu, umiłowanie przyrody wywarły na chłopcu duże wrażenie.

Kiedy Chris miał osiem lat, Walt zabrał go na pierwszą trzydniową wyprawę z plecakiem. Pojechali w góry Shenandoah, żeby wspiąć się na Old Rag. Dotarli na szczyt, a Chris całą drogę niósł swój plecak. Od tego czasu stało się tradycją ojca i syna, że chodzili tam prawie co roku. Gdy Chris był trochę starszy, Walt zabrał Billie i wszystkie swoje dzieci, żeby wejść na Longs Peak w Kolorado, najwyższy szczyt w Parku Narodowym Gór Skalistych (4345 m n.p.m.). Walt, Chris i najmłodszy syn Walta z pierwszego małżeństwa doszli na wysokość mniej więcej 3965 m n.p.m. Tam, na przełęczy zwanej Keyhole, Walt zdecydował się wracać. Był zmęczony i odczuwał wysokość. Droga nad nimi wydawała się stroma i niebezpieczna.

- Ja już uznałem, że dosyć - wyjaśnia Walt - ale Chris chciał koniecznie iść dalej na szczyt. Powiedziałem, że nie ma mowy. Miał wtedy zaledwie dwanaście lat, więc mógł tylko pomarudzić, ale gdyby miał czternaście albo piętnaście, po prostu poszedłby sam, beze mnie. -Walt milczy, patrząc przed siebie w roztargnieniu. - Chris był nieustraszony nawet jako mały chłopiec - mówi po dłuższej przerwie. - Chyba nie uważał, że niebezpieczeństwa grożą i jemu. Zawsze musieliśmy go odciągać znad krawędzi.

Chris odnosił sukcesy we wszystkim, do czego się zabrał. W szkole zbierał piątki bez wysiłku. Raz tylko w liceum przyniósł dwóję, z fizyki. Kiedy ojciec zobaczył ten stopień, umówił się na rozmowę z nauczycielem, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

- Był to emerytowany pułkownik lotnictwa wojskowego - przypomina sobie Walt - starszy facet, bardzo tradycyjny i rygorystyczny. Na początku semestru wyjaśnił, że ponieważ ma około dwustu uczniów, sprawozdania z ćwiczeń w laboratorium muszą być napisane w ujednoliconej formie, żeby mógł je oceniać. Chris uznał, że jest to głupi przepis, i postanowił go zignorować. Oddał zadanie, ale nie w przepisowej formie, i dostał dwóję. Kiedy wróciłem do domu po rozmowie z nauczycielem, powiedziałem synowi, że zasłużył sobie na taki stopień.

Zarówno Chris, jak i Carine odziedziczyli po ojcu zdolności muzyczne. Chris uczył się grać na gitarze, fortepianie i waltorni.

- To dziwne u dzieciaka w jego wieku - mówi Walt - ale uwielbiał Tony Benetta. Śpiewał takie kawałki, jak „Czuła jest noc”, a ja mu akompaniowałem na fortepianie. Był dobry.

Rzeczywiście, na amatorskim nagraniu wideo, jakie Chris zrobił na studiach, słychać, jak wyśpiewuje „Summers by the sea, sailboats in Capri”, zawodząc jak profesjonalny piosenkarz.

Jako utalentowany waltornista grał w American University Symphony, ale zostawił orkiestrę, jak twierdzi Walt, z powodu dyscypliny, którą wprowadził szkolny dyrygent. Carine uważa, że chodziło o coś jeszcze.

- Przestał grać częściowo dlatego, że nie lubił, jak mu ktoś mówi, co ma robić, ale również przeze mnie. Zawsze chciałam być taka jak Chris, więc też zaczęłam ćwiczyć na waltorni. I okazało się, że to jedyna rzecz, w której byłam od niego lepsza. Kiedy ja zaczynałam liceum, a on kończył, grałam w orkiestrze „seniorów” przy pierwszym pulpicie, a on nie mógł znieść siedzenia za cholerną siostrzyczką.

Muzyczna rywalizacja nie zepsuła jednak stosunków rodzinnych. Byli od zawsze najlepszymi przyjaciółmi, bawili się jako dzieci, budując na przykład w salonie forty z poduszek i koców.

- Był zawsze dla mnie bardzo miły - mówi Carine - i szalenie opiekuńczy. Trzymał mnie za rękę, kiedy szliśmy ulicą. Kiedy uczył się już w liceum, a ja w podstawówce, kończył wcześniej ode mnie, więc przesiadywał u swego kolegi Briana Paskowitza, żebyśmy mogli razem wracać do domu.

Chris odziedziczył po matce anielskie rysy, szczególnie oczy, których głębia odzwierciedlała wszystkie jego emocje. Chociaż drobny - na wszystkich zdjęciach szkolnych stoi z przodu, jako najniższy w klasie - był silny i sprawny. Próbował różnych sportów, ale nie miał cierpliwości, żeby systematycznie coś ćwiczyć. Kiedy zaczął jeździć na nartach podczas rodzinnych wakacji w Kolorado, nie chciało mu się kręcić, tylko kucał, rozstawiwszy szeroko nogi dla utrzymania równowagi i zjeżdżał szusem prosto w dół.

- Próbowaliśmy go uczyć gry w golfa - wspomina Walt - ale nie mógł zaakceptować reguły, że forma jest wszystkim. Chris brał największy zamach, jaki kiedykolwiek widziałem, czasem uderzył piłkę, i poleciała na dwieście pięćdziesiąt metrów, ale najczęściej wpadała w najbliższe pole. Chris miał różne wrodzone zdolności - ciągnie Walt - ale jeśli tylko chciało się je podszkolić, dodać te brakujące dziesięć procent, stawał okoniem. Sprzeciwiał się wszelkim instrukcjom. Gram dość dobrze w racquetball i nauczyłem Chrisa, kiedy miał jedenaście lat. Kiedy miał piętnaście czy szesnaście, regularnie ze mną wygrywał. Był bardzo szybki, miał sporo siły, ale kiedy zaproponowałem, że popracujemy nad pewnymi słabościami w jego technice, nie chciał o tym słyszeć. Kiedyś na turnieju grał z czterdziestopięcioletnim facetem, doświadczonym graczem. Zdobył kilka punktów na początku, ale facet sprawdzał go metodycznie, badając jego słabe strony. Gdy tylko się zorientował, jaki strzał sprawia Chrisowi największy kłopotu, szybko było po grze.

Niuanse, strategie i wszystko, co wychodziło ponad podstawy techniki, było już nie dla Chrisa. Trudne zadania rozwiązywał przez skok prosto na głowę; natychmiast, z całą energią. Prowadziło to często do frustracji. Dopiero gdy zaczął biegi, dyscyplinę, która premiuje silną wolę i determinację bardziej niż finezję i przebiegłość, znalazł swoje sportowe powołanie. W wieku dziesięciu lat startował pierwszy raz w dziesięciokilometrowym biegu ulicznym. Ukończył go na miejscu sześćdziesiątym dziewiątym, zwyciężając ponad tysiąc dorosłych. Jako nastolatek był jednym z najlepszych długodystansowców w regionie.

Kiedy Chris miał dwanaście lat, rodzice kupili Carine szczeniaka, owczarka szetlandzkiego, imieniem Buckley. Chris zaczął go zabierać na swoje codzienne treningi biegów.

- Buckley był niby moim psem - mówi Carine - ale on i Chris stali się nierozłączni. Szybki Buck zawsze pojawiał się w domu pierwszy, kiedy wracali z treningu. Pamiętam, jaki Chris był dumny, kiedy pewnego razu przybiegł do domu przed Buckleyem. Zaczął się wydzierać już przed domem: „Pokonałem Bucka! Pokonałem Bucka!”

W liceum im. W.T. Woodsona, dużej szkole publicznej w Fairfax, w Wirginii, znanej z wysokiego poziomu nauczania i zwycięskich drużyn sportowych, Chris był kapitanem przełajowców. Bardzo cenił sobie tę funkcję i wymyślił nową metodę treningu, którą członkowie jego drużyny pamiętają do dzisiaj.

- Lubił się zamęczać - wyjaśnia Gordy Cucullu, młodszy członek zespołu. - Chris

wymyślił program, który nazwał Rycerze Dróg. Prowadził nas na długie, koszmarnie trudne trasy przez jakieś pola uprawne i tereny budowy, gdzie nie wolno było wchodzić, i starał się, żebyśmy się zgubili. Biegliśmy tak daleko i szybko, jak mogliśmy, nieznanymi drogami, przez lasy, na oślep. Chodziło o to, żeby stracić orientację, wkroczyć na nieznaną teren. Później poruszaliśmy się nieco wolniej, aż znaleźliśmy jakąś znajomą drogę i wtedy znów tempo, aż do domu. W pewnym sensie Chris tak właśnie przeżywał całe życie.

McCandless traktował bieganie jak intensywne ćwiczenie duchowe, graniczące z religią.

- Chris używał tego argumentu, żeby nas motywować - wspomina Eric Hathaway, inny kolega z drużyny. - Mówił nam, żeby myśleć, jakie zło panuje na świecie, jaka nienawiść, i wyobrazać sobie, że robimy to przeciwko siłom ciemności, pokonujemy mur zła, który nie pozwala nam biec jak najlepiej. Wierzył, że osiągnięcia są sprawą ducha, zmobilizowania obecnej w nas energii. Jako wrażliwe małolaty byliśmy podatni na takie teksty.

Bieganie nie było tylko sprawą pojedynczego ducha, lecz również współzawodnictwem. Kiedy Chris McCandless biegł, biegł, żeby wygrać.

- Chris podchodził do biegania bardzo poważnie - mówi Kris Maxie Gillmer, dziewczyna z drużyny, najbliższa chyba jego przyjaciółka z liceum. - Pamiętam, jak stałam na finiszu, widziałam, że biegnie, i wiedziałam, jak strasznie chce wygrać i jaki będzie zawiedziony, jeśli powiesz mu się gorzej, niż się spodziewał. Po nieudanym wyścigu, albo nawet słabym czasie na treningu, był na siebie wściekły. I nie chciał o tym rozmawiać. Jeżeli starałam się go pocieszyć, odsuwał mnie obrażony. Rozczarowanie przeżywał głęboko w sobie, w samotności. Zresztą nie tylko bieganie traktował tak poważnie - dodaje Gillmer. - Do wszystkiego tak podchodził. W liceum nie wypada myśleć o poważnych sprawach, ale ja myślałam, on też, i dlatego się tak dogadywaliśmy. Podczas długich przerw wystawialiśmy obok jego schowka i gadaliśmy o życiu, o świecie i innych rzeczach serio. Jestem czarna i nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie robią takie problemy z powodu rasy. Chris rozmawiał ze mną o tym. On to rozumiał. Zawsze to samo nas drażniło. Bardzo go lubiłam. Naprawdę dobry chłopak.

McCandless mocno brał sobie do serca niesprawiedliwość świata. W ostatniej klasie w Woodson miał obsesję na punkcie prześladowań rasowych w Afryce Południowej. Zupełnie poważnie rozmawiał z kolegami o przemyceniu broni do tego kraju i włączeniu się do walki z apartheidem.

- Czasem kłóciliśmy się na ten temat - przypomina sobie Hathaway. - Chris nie znosił załatwiania urzędowego, w ramach systemu, czekania w kolejce. Wolał powiedzieć: „Dalej Eryk, możemy sami zbierać pieniądze na wyjazd do Afryki Południowej, zaraz. To tylko kwestia decyzji”. Ja odpowiadałem, że jesteśmy tylko dwoma chłopaczkami i że nie będzie to miało istotnego znaczenia, ale nie można było się z nim kłócić. Zaraz odpowiadał coś takiego: „No tak, chyba cię nie obchodzi dobro ani zło”.

W weekendy, kiedy jego szkolni koledzy włączyli się i próbowali dostać do barów w Georgetown, McCandless wędrował po najbardziej podejrzanych dzielnicach Waszyngtonu, gawędząc z prostytutkami, bezdomnymi; kupował im jedzenie i z

zapałem tłumaczył, jak mogą zmienić swoje życie.

- Chris nie rozumiał, jak można pozwolić, żeby ludzie byli głodni, zwłaszcza w tym kraju - mówi Billie. - Potrafił pieklić się na ten temat godzinami.

Pewnego razu zabrał jakiegoś bezdomnego z ulic Waszyngtonu, zaprowadził go do zamożnego Annandale i w tajemnicy przed rodziną umieścił w przyczepie kempingowej, którą rodzice zaparkowali obok garażu. Walt i Billie nigdy się nie dowiedzieli, że gościli włóczęgę.

Innym razem Chris pojechał do Hathawaya i oznajmił, że wybiorą się do miasta.

- Pomyślałem „super” - przypomina sobie Eric. - Był piątek wieczór i przypuszczałem, że jedziemy do Georgetown na jakąś imprezę. Tymczasem Chris zaparkował na Czternastej Ulicy, która wtedy była naprawdę okropną częścią miasta, i powiedział: „Wiesz, Eric, o takich rzeczach się czyta, ale nie zrozumiesz, póki tego nie przeżyjesz. Dzisiaj wieczorem właśnie to przeżyjemy”. Następných kilka godzin spędziliśmy, kręcąc się po podejrzanych miejscach, gadając z alfonsami, dziwkami i marginesem. Bałem się jak diabli. Pod koniec wieczoru Chris spytał, ile mam pieniędzy. Powiedziałem, że pięć dolarów. „Dobra, ty kupujesz benzynę, a ja jakieś jedzenie”. Wydał dziesięć dolców na wielką torbę hamburgerów i jeździliśmy, rozdając je jakimś śmierzącym facetom, śpiącym na kratach. Był to najdziwaczniejszy piątkowy wieczór mojego życia. Ale Chris często robił podobne rzeczy.

Na początku ostatniej klasy Chris oznajmił rodzicom, że nie ma zamiaru iść na studia. Kiedy Walt i Billie tłumaczyli mu, że powinien mieć dyplom, żeby zrobić jakąś karierę, Chris odpowiedział, że kariery są poniżającym wymysłem dwudziestego wieku, większym obciążeniem niż korzyścią i on bardzo dziękuje za coś takiego; obejdzie się.

- Trochę się zdenerwowaliśmy - przyznaje Walt. - Oboje z Billie pochodzimy z inteligentnych rodzin i dyplom wyższej uczelni jest dla nas ważny. Pracowaliśmy ciężko, żeby nas było stać na posłanie dzieci do dobrych szkół. Więc Billie posadziła go i powiedziała: „Chris, jeżeli naprawdę chcesz coś zmienić na świecie, naprawdę pomagać ludziom, którym jest gorzej, musisz mieć jakąś pozycję. Idź na studia, zostań prawnikiem, a później będziesz mógł mieć na coś wpływ”.

- Chris przynosił do domu dobre stopnie - mówi Hathaway. - Nie było z nim kłopotów; ambitny, robił wszystko, co trzeba. Rodzice nie mieli powodu do narzekań. Ale uparli się z tym pójściem na studia. Nie wiem, co mu powiedzieli, ale zadziało. Skończyło się na tym, że poszedł do Emory, chociaż uważał, że to bez sensu, że szkoda czasu i pieniędzy.

Trochę dziwi fakt, że Chris ustąpił w kwestii studiów, chociaż przeciwstawiał się w tylu innych sprawach. Ale jego stosunki z rodzicami pełne są sprzeczności. Kiedy odwiedzał Kris Gillmer, często na nich wyrzekał, przedstawiając ich jako niewyobrażalnych tyranów. Ale wobec swoich kumpli - Hathawaya, Cucullu i innego gwiazdora bieżni, Andy Horowitza - rzadko się uskarżał.

- Mam wrażenie, że jego starzy to bardzo mili ludzie - mówi Hathaway - niczym się nieróżniący od moich albo czyichś innych. Chris po prostu nie znosił, jak mu ktoś mówił, co ma robić. Myślę, że byłby nieszczęśliwy z każdymi rodzicami. Miał po prostu problem z samą ideą rodziców.

Osobowość McCandlessa kryła wiele zagadek. Chronił swoją prywatność, ale jednocześnie potrafił być niezwykle żywiołowy i uwielbiał zabawę w dużej grupie. Mimo przewrażliwienia na punkcie sprawiedliwości społecznej nie zachowywał się jak smutas, zajmujący się tylko dobrymi uczynkami, a oburzający na zabawy. Wręcz przeciwnie, lubił czasem w towarzystwie popić i powyglupiać się. Największy paradoks stanowił jego stosunek do pieniędzy. Walt i Billie zaznali biedy w młodości, więc kiedy po ciężkiej walce wyszli z tego, nie widzieli nic zdrożnego w korzystaniu z owoców swej pracy.

- Pracowaliśmy bardzo, bardzo ciężko - podkreśla Billie. - Kiedy dzieci były małe, obywaliliśmy się bez wielu rzeczy, oszczędzaliśmy, ile się dało, inwestowaliśmy w przyszłość.

Kiedy przyszłość w końcu nadeszła, nie afiszowali się swym skromnym dorobkiem, ale kupili sobie trochę ubrań, biżuterii dla Billie, cadillaka, wreszcie dom nad zatoką i żaglówkę. Zabrali dzieci do Europy, na narty do Breckenbridge, na rejs po Morzu Karaibskim. A Chris, jak przyznaje matka, był tym wszystkim zawstydzony.

Jej syn, nastoletni wyznawca idei Tołstoja, wierzył, że bogactwo to coś wstydliwego, niszczącego, zło wcielone, co jest paradoksem, gdyż Chris był urodzonym kapitalistą, z niezwykłą umiejętnością robienia pieniędzy.

- Zawsze zadziwiał przedsiębiorczością - mówi Billie ze śmiechem. - Zawsze. Jako ośmiolatek hodował warzywa za domem w Annandale, a następnie sprzedawał je w sąsiedztwie, chodząc od domu do domu.

- Przychodzi rozkoszny chłopaczek z wózkiem pełnym świeżej fasolki, pomidorów i papryki - mówi Carine. - Kto by się oparł? A Chris o tym wiedział. Miał taki wyraz twarzy: „Jestem strasznie słodki, chce pani kupić trochę fasolki?” Nim wrócił do domu, wózek był pusty, a on miał garść pieniędzy.

Mając dwanaście lat, wydrukował stos ulotek i założył firmę sąsiedzką Szybkie Kopie Chrisa, oferując do tego darmowy transport odbitek. Korzystał z kopiarki rodziców, płacąc im centa za odbitkę; od klientów brał o dwa centy mniej niż sklep na rogu i miał niezły zysk.

W 1985 roku, kiedy Chris był po przedostatniej klasie liceum, miejscowy właściciel firmy budowlanej zatrudnił go, aby zdobywał mu klientów w sąsiedztwie, proponując siding i przebudowy kuchni. Odniósł niezwykły sukces, jako sprzedawca nie miał sobie równych. W ciągu kilku miesięcy kierował kilkoma kolegami i odłożył w banku siedem tysięcy dolarów. Część tych pieniędzy przeznaczył na kupno używanego żółtego datsuna. Chris miał tak niezwykły dar do handlu, że wiosną 1986 roku, kiedy miał kończyć liceum, właściciel firmy budowlanej zadzwonił do jego ojca i zaoferował opłacanie dalszej nauki syna, gdyby tylko zechciał pozostać w Annandale, pracować dla niego i uczyć się na miejscu, zamiast zostawiać pracę i jechać na studia do Emory.

- Kiedy opowiedziałem o tej propozycji Chrisowi - mówi Walt - nie chciał nawet o tym słyszeć. Powiedział szefowi, że ma inne plany.

Oświadczył, że gdy tylko skończy się rok szkolny, ma zamiar zasiać za kierownicą swego nowego samochodu i spędzić lato, podróżując po kraju. Nikt się nie spodziewał, że ta podróż będzie pierwszą z serii jego wędrówek przez kontynent.

Nikt w rodzinie nie przewidział również, że przez przypadkowe odkrycie Chris ostatecznie zamknie się w sobie i odwróci od nich, wciągając siebie i tych, którzy go kochali, w grzęzawisko złości, nieporozumień i żalu.

Rozdział 12 ANNANDALE

Dajcie mi prawdę raczej niż miłość, niż pieniądze, niż sławę. Siedziałem przy stole, suto nakrytym, gdzie było pod dostatkiem jedzenia i wina, i staranna obsługa, ale prawdy tam nie było. Odszedłem głodny od niegościnnego stołu. Atmosfera była zimna jak lód.

Henry David Thoreau, „Walden, czyli życie w lesie”

Fragment, zakreślony w jednej z książek, znalezionych przy szczątkach Chrisa McCandlessa. U góry strony wpisane jego ręką, drukowanymi literami słowo „prawda”

Dzieci są niewinne i kochają sprawiedliwość, podczas gdy większość z nas jest nikczemna, a więc woli litość.

G.K. Chesterton

W 1986 roku, w duszny, gorący weekend, kiedy Chris ukończył liceum Woodsona, rodzice urządzili mu przyjęcie. Za kilka dni, 10 czerwca, były urodziny Walta i na przyjęciu Chris dał ojcu prezent: bardzo drogi teleskop Questar.

- Pamiętam, jak go tacie dawał - mówi Carine. - Chris trochę wtedy wypił i był bardzo podekscytowany. Prawie płakał, starał się powstrzymać łzy, kiedy mówił tacie, że wprawdzie nieraz się sprzecali przez wiele lat, ale jest mu wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobił. Powiedział, że bardzo szanuje ojca za to, co osiągnął, zaczynając od zera, pracując i studiując, harując jak głupi, żeby utrzymać ośmioro dzieci. Było to bardzo wzruszające przemówienie. Wszystkich zatkało. A potem pojechał na tę wyprawę.

Walt i Billie nie starali się powstrzymać Chrisa, ale wymogli na nim, żeby na wszelki wypadek zabрал kartę kredytową Texaco, należącą do ojca, i żeby dzwonił do domu co trzy dni.

- Cały czas po jego wyjeździe mieliśmy serce w gardle - mówi Walt - ale nie mogliśmy go powstrzymać.

Opuściwszy Wirginię, Chris pojechał na południe, a następnie przez płaskie równiny Teksasu, przez upalny Nowy Meksyk i Arizonę dotarł na wybrzeże Pacyfiku. Z początku dotrzymywał umowy i dzwonił regularnie, ale w miarę upływu

wakacji, telefony były coraz rzadsze. Pojawił się w domu dopiero dwa dni przed rozpoczęciem semestru w Emory. Kiedy wszedł, miał potarganą brodę, długie, splątane włosy; stracił ponad dziesięć kilogramów i tak szczupłego ciała.

- Jak tylko usłyszałam, że jest w domu - opowiada Carine - pobiegłam do jego pokoju, żeby pogadać. Leżał na łóżku; spał. Był taki chudy. Wyglądał, jak z jakiegoś obrazu z Chrystusem ukrzyżowanym. Kiedy mama zobaczyła, jak schudł, była kompletnie zdruzgotana. Zaczęła gotować jak szalona, żeby zdołał trochę okryć kości.

Okazało się, że pod koniec wyprawy Chris zagubił się na pustyni Mojave i o mało zupełnie się nie odwodnił. Rodzice przerazili się, kiedy zdali sobie sprawę z tego, że otarł się o śmierć, ale nie bardzo wiedzieli, jak go przekonać, żeby na przyszłość był ostrożniejszy.

- Chrisowi udawało się wszystko, co próbował robić - ocenia Walt - i dlatego był nadmiernie pewny siebie. Jeżeli próbowaliśmy od czegoś go odwieść, nie kłócił się. Grzecznie kiwał głową, a później robił, co chciał. Dlatego z początku nie mówiłem o bezpieczeństwie. Pograliśmy w tenisa, pogadaliśmy o różnych sprawach, w końcu usiadłem z nim, żeby porozmawiać o ryzyku, jakie podejmował. Wiedziałem już, że bezpośrednio uwagi, typu „Boże, tylko więcej nie próbuj czegoś takiego” na Chrisa zupełnie nie podziałają. Starłem się mu wyjaśnić, że nie mamy nic przeciwko jego podróżom, chcemy tylko, żeby bardziej uważał i informował nas, gdzie aktualnie jest.

Niestety, Chris tylko się najeżył od tej ojcowskiej troski i w efekcie jeszcze mniej odkrywał szczegóły swych planów.

- Chris uważał - mówi Billie - że nie jesteśmy idiotami, żeby się o niego martwić.

W czasie swych podróży zaopatrzył się w maczetę i strzelbę i kiedy rodzice odwieźli go do Atlanty na początku roku akademickiego, uparł się, żeby je z sobą zabrać.

- Kiedy weszliśmy z Chrisem do jego pokoju w akademiku - śmieje się Walt - myślałem, że rodzice współlokatora dostaną zawału. Chłopaczek był pierwszorocznikiem z Connecticut, ubranym jak z reklamy, a tu wchodzi do pokoju Chris, z kozią bródką, w starych łańkach, z ma-czetą i strzelbą na dziką zwierzynę, wyglądając jak Jeremia Johnson. I wie pan co? Po trzech miesiącach chłopaczek odpadł, a Chris znalazł się na honorowej liście dziekana.

Ku zdumieniu rodziców w miarę upływu roku szkolnego Chris wydawał się coraz bardziej zachwycony, że tam jest. Ogolił się, ostrzygł i znów wyglądał czysto i porządnie, jak w liceum. Oceny miał prawie zawsze najlepsze. Zaczął pisać w szkolnej gazecie, a nawet mówić z entuzjazmem o studiach prawniczych po dyplomie.

- Hej - chwalił się ojcu - myślę, że będę miał takie dobre stopnie, że przyjmą mnie na prawo w Harvardzie.

Latem, po pierwszym roku college'u, przyjechał do Annandale i pracował w firmie rodziców, zajmując się oprogramowaniem.

- Program komputerowy, który wtedy dla nas napisał, był bezbłędny - mówi Walt. - Korzystamy z niego do dzisiaj i sprzedaliśmy kopie licznym klientom. Ale kiedy poprosiłem Chrisa, żeby mi pokazał, jak to zrobił, by wyjaśnił, dlaczego działa tak, a nie inaczej, odmówił. „Wystarczy ci wiedzieć, że działa” - powiedział. „Nie musisz

wiedzieć jak i dlaczego”. Chris to był Chris, ale mnie to wściekało. Nadawałby się świetnie na agenta CIA, poważnie. Znam facetów, którzy pracują dla CIA. Powiedział nam to, co jego zdaniem powinniśmy wiedzieć, i nic więcej. We wszystkim taki był.

Wiele aspektów jego osobowości zaskakiwało rodziców. Potrafił być hojny i czuły aż do przesady, ale miał też ciemne strony, objawiające się monomanią, niecierpliwością i zamknięciem w sobie, które nasiliły się podczas studiów.

- Widziałem Chrisa na imprezie po pierwszym roku w Emory - wspomina Eric Hathaway - i czułem wyraźnie, że się zmienił. Był taki zamknięty, zimny. Kiedy powiedziałem: „Hej, Chris, fajnie, że cię spotkałem”, odpowiedział cynicznie: „Jasne, wszyscy tak mówią”. Trudno mu było się otworzyć. Jediną rzeczą właściwie, o której chciał mówić, były jego studia. Życie towarzyskie w Emory obracało się wokół różnych towarzystw i bractw, w czym Chris absolutnie nie chciał brać udziału. Kiedy wszyscy się na to rzucali, on jakby odsunął się od starych przyjaciół i coraz bardziej zamykał w sobie.

Latem, po drugim roku studiów, znów przyjechał do Annandale i pracował przy rozwożeniu pizzy w Domino’s.

- Nie obchodziło go, że nie szpanował takim zajęciem - opowiada Carine. - Zarobił mnóstwo forsy. Pamiętam, że co wieczór, jak przyjeżdżał do domu, siadał przy stole kuchennym i liczył. Nawet gdy był nie wiem jak zmęczony, musiał sprawdzić, ile kilometrów przejechał, ile mu w Domino’s dali za benzynę, ile rzeczywiście na nią wydał, jaki miał netto zarobek i jak się to ma do sumy z tego samego dnia w poprzednim tygodniu. Wszystko miał spisane i uczył mnie, jak trzeba prowadzić interes. Nie tyle znaczyły dla niego pieniądze, ile fakt, że był dobry w ich zarabianiu. To była taka gra, a pieniądze - zdobyte punkty.

Stosunki Chrisa z rodzicami, które po ukończeniu liceum były wyjątkowo ugrzecznione, znacznie się pogorszyły tego lata, a Billie nie miała pojęcia dlaczego.

- Coraz częściej się na nas wściekał - mówi Billie - i coraz bardziej się odsuwał. Właściwie nie odsuwał - to nigdy nie było tak - tylko nie mówił, o co mu chodzi, i spędzał coraz więcej czasu samotnie.

Tłący się żal Chrisa został rozpalony przez odkrycie, jakiego dokonał dwa lata wcześniej, podczas wakacyjnej wyprawy po kraju. Będąc w Kalifornii, trafił w okolice El Segundo, gdzie spędził pierwsze lata życia. Odwiedził wielu mieszkających tam wciąż przyjaciół rodziny i z ich wypowiedzi zrekonstruował fakty, towarzyszące pierwszemu małżeństwu i rozwodowi ojca; fakty, które dotąd przed nim ukrywano. Rozstanie się Walta z żoną nie było zbyt eleganckie. Długo po tym, jak zakochał się w Billie, już po urodzeniu się Chrisa, Walt potajemnie kontynuował związek z Marcją, dzieląc czas między dwa domy i dwie rodziny. Kłamstwa wychodziły na jaw, rodząc nowe kłamstwa, które miały zaprzeczyć poprzednim. Dwa lata po przyjściu Chrisa na świat Walter został ojcem innego syna - Quinna McCandlessa - którego urodziła Marcja. Kiedy podwójne życie Walta wyszło na jaw, odkrycie było dla obu stron bardzo bolesne i pozostawiło głębokie rany.

Ostatecznie Walt, Billie, Chris i Carine przeprowadzili się na Wschodnie Wybrzeże. Został sfinalizowany rozwód z Marcją i Walt i Billie mogli zalegalizować swoje małżeństwo. Starali się zapomnieć o wszystkich burzach i zwyczajnie żyć.

Minęło dwadzieścia lat. Przybywało mądrości. Wina, ból, wściekłość i zazdrość odeszły w przeszłość, wydawało się, że niepokoje minęły. I nagle w 1986 roku Chris pojechał do El Segundo, poodwiedzał dawnych sąsiadów i poznał wszystkie bolesne szczegóły.

- Był osobą, która długo wszystko rozważa - przypomina Carine. - Jeśli coś go niepokoiło, to nie przyszedł od razu powiedzieć, o co chodzi. Trzymał to dla siebie, pielęgnował narastające żale i urazy.

Chyba tak właśnie działo się z jego rewelacjami z El Segundo. Dzieci są surowymi sędziami, jeśli idzie o rodziców, niezdolnymi do wyrozumiałości, Chrisa dotyczyło to szczególnie. Częściej niż inne nastolatki widział wszystko w kolorach czarno-białych. Narzucał sobie i swoim najbliższym niesłychanie rygorystyczny kod moralny.

Ciekawe, że nie od wszystkich tyle wymagał. Jedną z jego ulubionych postaci, które podziwiał w ostatnich dwóch latach życia, był pijak i niepoprawny kobieciarz, który regularnie bijał swoje partnerki. Chris znał jego wady, a jednak zdawał się o nich zapominać. Przebaczał również - czy nie zauważał - wady swoim bohaterom literatury: Jack London był notorycznym pijakiem, Tolstoj, mimo nawoływań do celibatu, uwielbiał jako młodzieniec przygody seksualne i był ojcem co najmniej trzynaściorga dzieci, z których kilkoro począł w tym samym okresie, gdy grzmiał na piśmie na temat zła, wynikającego z seksu. Najwidoczniej, jak wielu innych ludzi, Chris oceniał artystów i bliskich przyjaciół miarą ich dokonań, a nie życia, ale nie umiał objąć tym przyzwoleniem swego ojca. Kiedy tylko Walt McCandless na swój sztywny sposób upominał po ojcowsku Chrisa, Carine czy któreś z ich przyrodniego rodzeństwa, Chris wściekał się, przypominając sobie zachowanie ojca sprzed wielu lat i w myślach nazywał go świętoszkowatym hipokrytą. Chris pamiętał mu wszystko. Z biegiem czasu ta nagromadzona żołąc narastała i musiała się kiedyś wylać. Chłopak nie mógł przebaczyć ojcu błędów, jakie popełnił, będąc młodym człowiekiem, a jeszcze bardziej faktu, że je przed nim ukrywał. Powiedział później Carine i innym, że oszustwo, jakie popełnili Walt i Billie, sprawiło, że jego „całe dzieciństwo wydaje się fikcją”. Ale nie rozmawiał z rodzicami o tym, że wie; ani wtedy, ani nigdy potem. Chciał zrobić z tego swoją ponurą tajemnicę, a złość objawiał milczeniem i odsuwaniem się od bliskich. W roku 1988, gdy jego pogarda dla rodziców rosła, potęgowało się też jego poczucie niesprawiedliwości na świecie. Tego lata, jak twierdzi Billie, Chris zaczął narzekać na całą bogatą młodzież w Emory. Do studiowania wybierał coraz więcej przedmiotów, związanych z takimi problemami społecznymi, jak rasizm, głód na świecie i nierównomierny podział bogactwa. Mimo wstrętu do pieniędzy i nadmiernej konsumpcji, nie można jednak jego politycznych skłonności nazwać liberalnymi.

Bardzo lubił ośmieszać politykę Partii Demokratycznej i ujawniał swój podziw dla Ronalda Reagana. W Emory był nawet współfundatorem Studenckiego Klubu Republikanów. Pozornie dziwne poglądy polityczne Chrisa najlepiej wyraża deklaracja Thoreau z „Obywatelskiego nieposłuszeństwa”. Z całego serca akceptuje motto: „Ten rząd jest najlepszy, który rządzi najmniej”. Poza tym jego poglądy nie są sprecyzowane.

Jako asystent redaktora pisemka studenckiego „The Emory Wheel” był autorem

komentarzy. Czytając je pięć lat później, człowiek sobie uświadamia, jaki McCandless był wtedy młody i zapalony. Opinie, które wyrażał na piśmie, kłóciły się ze zwyczajną logiką. Pisał paszkwile na Jimmy Cartera i Joe Bidena, nawoływał do rezygnacji prokuratora generalnego, Edwina Meese'a, pomstował na głosicieli Biblii z prawicy chrześcijańskiej, wzywał do czujności wobec sowieckiego zagrożenia, karciał Japończyków za polowania na wieloryby i bronił Jesse Jacksona, jako odpowiedniego kandydata na prezydenta. W typowej dla siebie przesadnej deklaracji we wstępniaku z 1 marca 1988 pisał: *Rozpoczęliśmy właśnie trzeci miesiąc 1988 roku i już zapowiada się on jako jeden z największych okresów korupcji i skandali we współczesnej historii...* Chris Morris, redaktor naczelny gazety, wspomina McCandlessa jako niezwykle „intensywnego”.

Gdy tylko skończył się rok akademicki, latem 1989, Chris znów wyruszył swym datsunem w długą, improwizowaną z dnia na dzień podróż.

- Dostaliśmy od niego tylko dwie kartki przez całe wakacje - mówi Walt. - W pierwszej napisał: *Kieruję się do Gwatemali*. Kiedy to przeczytałem, pomyślałem: Boże, jedź tam pomagać powstańcom. Postawią go pod ścianą i zastrzelą. Pod koniec lata przyszła druga kartka, na której było tylko: *Wyjeżdżam jutro z Fairbanks, zobaczymy się za dwa tygodnie*. Widocznie zmienił zamiary i zamiast na południe, pojechał na Alaskę.

Przejazd krętą, zakurzoną trasą Alaska Highway to pierwsze zetknięcie się Chrisa z daleką północą. Była to bardzo krótka wyprawa, gdyż spędził niewiele czasu tylko w okolicy Fairbanks, spiesząc się na południe, żeby zdążyć do Atlanty na rozpoczęcie semestru jesienno. Wiadomo jednak było, że oczarowały go te bezkresne przestrzenie i niepowtarzalny odcień lodowców na tle przezroczyściego nieba.

Na ostatnim roku studiów Chris mieszkał poza kampusem, w swym spartańskim pokoiku, umeblowanym skrzynkami i materacem na podłodze. Bardzo niewiele osób widywało się z nim po zajęciach. Jeden z profesorów dał mu klucz do biblioteki, żeby mógł z niej korzystać poza oficjalnymi godzinami, i tam też spędzał większość czasu. Andy Horowitz, jego bliski kolega z liceum i z drużyny przelajowej, wpadł na Chrisa któregoś dnia między regałami. Chociaż studiowali razem w Emory, nie widzieli się już dwa lata. Pogadali w zakłopotaniu kilka minut i McCandless znikł wśród półek.

Tamtego roku Chris rzadko odzywał się do rodziców, a ponieważ nie miał telefonu, im też nie było łatwo skontaktować się z nim. Walt i Billie bardzo martwili się tym uczuciowym chłodem syna. W liście do Chrisa Billie napisała: *Zupełnie odsunąłeś się od tych wszystkich, którzy cię kochają i martwią się o ciebie. Cokolwiek to jest, z kimkolwiek jesteś, czy uważasz, że to jest w porządku?* Chris uznał to za wścibstwo, a w rozmowie z Carine powiedział, że list jest głupi.

- Co ona ma na myśli, „z kimkolwiek jesteś”? - wściekał się Chris wobec siostry. - Jakaś pieprzona wariatka. Mogę się założyć, że uważają mnie za homoseksualistę. Skąd im to przyszło do głowy? Co za banda imbecyli.

Wiosną 1990 roku, kiedy Walt, Billie i Carine przyjechali do Chrisa na uroczystość wręczenia dyplomów, uznali, że wygląda na zadowolonego. Gdy szedł przez estradę, żeby odebrać dyplom, uśmiechał się od ucha do ucha. Wspomniał, że

planuje kolejną długą wyprawę, ale przedtem pewnie wpadnie do rodziny w Annandale. Krótco po tym przekazał zawartość swego konta bankowego na OXFAM, załadował samochód i zniknął z ich życia. Od tego czasu nie kontaktował się ani z rodzicami, ani z Carine, która przecież zawsze była mu tak bliska.

- Wszyscy przejmowaliśmy się brakiem wiadomości od niego -mówi Carine - ale myślę, że zmartwienie rodziców łączyło się ze złością i urazą. Ja nie miałam żalu, że nie pisał. Wiedziałam, że jest szczęśliwy robiąc to, co chce, i jak ważne jest dla niego wypróbowanie swojej niezależności i samodzielności. Rozumiałam, że gdyby do mnie napisał albo zadzwonił, mama i ojciec dowiedzieliby się, gdzie jest, poleciliby tam i starali się go sprowadzić do domu.

Walt nie zaprzecza.

- Nie ma wątpliwości. Gdybym tylko miał pojęcie, gdzie go szukać, poleciałbym tam natychmiast, zlokalizowałbym go i przywiózłbym naszego chłopca do domu.

Mijały miesiące bez słowa od Chrisa, potem lata; boleść narastała. Billie nigdy nie wychodziła z domu, nie zostawiwszy karteczki dla Chrisa, nalepionej na drzwiach.

- Gdziekolwiek jechaliśmy i widzieliśmy autostopowicza - opowiada - a był chociaż odrobinę podobny do Chrisa, zawracaliśmy, żeby sprawdzić. Przeżyliśmy straszny okres. Najgorsze okazywały się noce, zwłaszcza kiedy było zimno, padało albo trwała burza. Człowiek się zastanawiał: Gdzie on jest? Czy mu ciepło? Czy jest zdrowy? Czy jest samotny? Czy wszystko w porządku?

W czerwcu 1992 roku, dwa lata po wyjeździe Chrisa z Atlanty, Billie obudziła się nagle w nocy, usiadła na łóżku i obudziła Walta.

- Jestem pewna, że słyszałam, jak Chris mnie woła - wyznała zapłakana. - Nie wiem, jak to przeżyję. Nie śniło mi się. Nie wyobraziłam sobie tego. Słyszałam jego głos! Błagał: „Mamo, pomóż mi!” Ale nie mogłam mu pomóc, bo nie wiedziałam, gdzie jest. I tylko to powiedział: „Mamo! Pomóż mi!”

Rozdział 13

VIRGINIA BEACH

Fizyczny układ krainy ma swoje odzwierciedlenie we mnie. Szlaki, które wytyczyłem, prowadzą na zewnątrz, na wzgórza i bagna, ale prowadzą również do środka. Z badania tego, co pod stopami, z czytania i myślenia, wynikł rodzaj eksploracji mnie i ziemi. Z czasem powstała z tego w moim umyśle jedność. Ze wzbierającym poczuciem znaczenia spraw podstawowych odkryłem w sobie ogromną tęsknotę, żeby na zawsze odsunąć myśl i wszelkie problemy, jakie z sobą niesie; wszystko, prócz bezpośredniej żądzy: wejść na szlak i nie oglądać się za siebie. Czy to pieszko, czy na rakietach śnieżnych lub sankach; na letnie wzgórza i ich marznące cienie - ślad na cieniu pokaże, dokąd poszedłem. Niech reszta ludzkości mnie znajdzie, jeśli zdoła.

JohnHaines,

„The stars, the snow, the fire: Twenty five years in the northern wilderness”

W domu Carine McCandless w Virginia Beach znajdują się dwie oprawione w ramki fotografie: jedna Chrisa na początku liceum, druga Chrisa jako siedmiolatka - w za dużym garniturku i przekrzywionym krawacie - stojącego obok siostry w sukience z falbankami i nowym wielkanocnym kapelusiku.

- Co najdziwniejsze - mówi Carine, przyglądając się zdjęciom brata - mimo że dzieli je dziesięć lat, na każdej fotografii ma taki sam wyraz twarzy.

Ma rację. Na obu zdjęciach Chris patrzy w obiektyw tym samym zamyślonym, krnąbrnym spojrzeniem, jakby mu przerwano w połowie jakąś ważną myśl i żal mu było czasu przed kamerą. Uderza to szczególnie na zdjęciu wielkanocnym, ponieważ kontrastuje wyraźnie z uśmiechniętą szczerze Carine na tym samym zdjęciu.

- To cały Chris - śmieje się Carine, gładząc palcami zdjęcie. - Często miał takie spojrzenie.

U jej stóp, na podłodze, leży Buckley, owczarek szetlandzki, którego Chris tak kochał. Ma teraz trzynaście lat, białą brodę i z powodu artretyzmu utyka na jedną łapę. Kiedy Max, osiemnastomiesięczny rottweiler Carine, wkracza na jego terytorium, kaleki piesek nie boi się konfrontacji z wielkim zwierzakiem i szczeka głośno, kłusując ostrożnie, aż sześćdziesięciokilogramowy rottweiler ucieka ze strachu.

- Chris uwielbiał Bucka - mówi Carine. - Tego lata, kiedy znikł, chciał go wziąć z sobą. Po uroczystości dyplomowej w Emory pytał rodziców, czy może przyjechać i zabrać Buckleya, ale się nie zgodzili, mówiąc, że pies miał niedawno wypadek, stuknął go samochód, i jeszcze się nie wykurował. Weterynarz obawiał się nawet, że nie będzie chodził. Teraz rodzice zastanawiają się, ja zresztą też, jak by się wszystko potoczyło, gdyby Chris był z Buckiem. Chris nie zastanawiał się, ryzykując własne życie, ale nigdy nie naraziłby Buckleya. Z całą pewnością nie podejmowałby takiego ryzyka, gdyby Buck był z nim.

Carine jest tego samego wzrostu co brat, może odrobinę wyższa, i na tyle podobna, że ludzie czasem ich pytali, czy nie są bliźniakami. Mówi z ożywieniem, odrzucając gwałtownym ruchem spadające jej na twarz długie do ramion włosy. Gestykuluje zawzięcie drobnymi, dodającymi wyrazu rękami. Jest boso. Na szyi nosi złoty krzyżyk. Jej starannie wyprasowane dzinsy mają z przodu zmarszczki. Podobnie jak Chris, Carine jest energiczna i pewna siebie, skora do wyrażania opinii. Podobnie jak Chris, ścierała się z rodzicami w okresie dojrzewania. Ale różnice między rodzeństwem są znacznie większe niż podobieństwa. Carine zawarła z rodzicami pokój wkrótce po zniknięciu Chrisa i teraz, mając dwadzieścia dwa lata, określa ich wzajemne stosunki jako „niezwykle dobre”. Jest znacznie bardziej od Chrisa nastawiona na stadne życie i nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłaby sama pojechać w taką głuszę, albo w ogóle gdziekolwiek. I chociaż podziela wściekłość Chrisa na niesprawiedliwość rasową, nie ma żadnych oporów, moralnych ani innych, wobec dobrobytu. Kupiła właśnie nowy, drogi dom i spędza czternaście godzin na dobę w firmie naprawiającej samochody CAR. Services Incorporated, która należy do niej i do jej męża, Chrisa Fisha. Ma nadzieję zarobić pierwszy milion w młodym wieku.

- Zawsze miałam żal do rodziców, że cały czas pracowali i nie było ich z nami -

zastanawia się z uśmiechem - a teraz, niech pan spojrzy na mnie, robię dokładnie to samo.

Chris, przyznaje, żartował sobie z jej kapitalistycznych ciągot, nazywając ją księżną Yorku, Ivana Trump McCandless i następczynią Leony Helmsley. Krytyka siostry zawsze jednak przybierała charakter tylko żartobliwych kuksańców, gdyż byli sobie niezwykle bliscy. W liście, wyjaśniającym jego kłótnie z rodzicami, napisał kiedyś do siostry:

*W każdym razie, chciałbym z tobą o tym porozmawiać, bo jesteś **jedyną** osobą na świecie, która potrafi to zrozumieć.*

Dziesięć miesięcy po śmierci Chrisa Carine wciąż opłakuje stratę brata.

- Właściwie nie mogę przeżyć jednego dnia, nie płacząc - mówi, jakby ze zdziwieniem. - Nie wiem, dlaczego najgorzej jest, kiedy tkwię sama w samochodzie. Ani razu nie udało mi się pokonać dwudziestominutowej trasy z domu do sklepu bez przypominania sobie Chrisa. Później mi przechodzi, ale kiedy się to zdarza, jest bardzo ciężko.

Wieczorem 17 września 1992 roku Carine kąpała psa, kiedy zjawił się Chris Fish. Zdziwiła się, że wrócił tak wcześnie, bo zwykle siedział w C.A.R. Services do późna.

- Jakoś dziwnie się zachowywał - wspomina Carine. - Miał straszny wyraz twarzy. Wszedł do domu, wyszedł i zaczął mi pomagać kąpać psa. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku, bo nigdy tego nie robił.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

Weszli do domu, Carine wypłukała obrożę Maksa w umywalce i skierowała się do salonu.

- Fish siedział w ciemności na kanapie. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie. Chciałam go trochę rozweselić, bo pomyślałam, że może chłopaki w pracy mu coś nagadały, może wymyślili, że mnie widzieli z innym facetem, albo coś innego. Zaśmiałam się i spytałam: „Co ci się stało? Chłopaki cię zamęczają?” Ale on się nie zaśmiał, tylko spojrzał na mnie i zobaczyłam, że ma zaczerwienione oczy.

- Chodzi o twojego brata - powiedział Fish. - Znaleźli go. Nie żyje. Sam, najstarszy syn Walta, zadzwonił do Chrisa Fisha do pracy z tą wiadomością.

Carine zobaczyła mgłę i odczuła ograniczenie widzenia. Głowa zaczęła jej się trząść.

- Nie - poprawiła go. - Chris żyje.

Później zaczęła krzyczeć. Krzyczała głośno i długo, a Fish obawiał się, że przerażeni sąsiedzi wezwą policję. Carine zwinęła się na kanapie w pozycji embrionalnej i zawodziła bez przerwy. Kiedy mąż starał się ją pocieszyć, odepchnęła go i wrzasnęła, żeby dał jej spokój. Histeryzowała jeszcze przez pięć godzin, po czym o jedenastej uspokoiła się na tyle, żeby wrzucić kilka rzeczy do torby i dać się zawieźć Fishowi do rodziców, do Chesapeake Beach, cztery godziny drogi na północ.

Gdy wyjeżdżali z Virginia Beach, Carine poprosiła męża, żeby zatrzymał się przy ich kościele.

- Weszłam i siedziałam przed ołtarzem chyba z godzinę, a Fish czekał w samochodzie - wspomina Carine. - Potrzebowałam jakiejś odpowiedzi od Boga, ale jej nie otrzymałam.

Wczesnym wieczorem Sam potwierdził, że zdjęcie nieznanego wędrowca,

przefaksowane z Alaski, przedstawiało rzeczywiście Chrisa, ale koroner w Fairbanks chciał mieć jeszcze dla pewności identyfikację dentystyczną. Przesłanie i porównanie zdjęć radiologicznych zajęło ponad dobę. Billie nie chciała spojrzeć na otrzymaną fotografię, dopóki były wątpliwości, czy zagłodzony chłopak, znaleziony w autobusie niedaleko Sushana River, to jej syn.

Następnego dnia Carine i Sam polecili do Fairbanks, żeby przywieźć szczątki Chrisa. W biurze koronera wręczono im przedmioty znalezione w pobliżu ciała: strzelbę Chrisa, lornetkę, wędkę od Ronalda Franza, jeden ze scyzoryków od Jan Burres, książkę o roślinach, w której pisał swój dziennik, aparat fotograficzny Minolta, pięć rolek filmów; niewiele więcej. Koroner podsunął im do podpisania jakieś papiery. Sam zrobił to i oddał.

Niecałą dobę po wylądowaniu w Fairbanks Carine i Sam polecili do Anchorage, gdzie odbyła się kremacja ciała Chrisa po sekcji przeprowadzonej w laboratorium kryminalistyki. Prochy dostarczono im do hotelu w plastikowym pojemniku.

- Byłam zdumiona, że ten pojemnik jest taki duży - mówi Carine. - Źle napisano nazwisko. Na tabliczce widniało: *Christopher R. McCandless*. Środkowym inicjałem powinno być J. Bardzo mnie to wściekło, ale pomyślałam, że Chris by się nie przejmował. Pewnie uznałby, że to śmieszne.

Następnego ranka polecili do Maryland. Carine wiozła prochy brata w plecaku. Podczas lotu zjadła wszystko, co jej podano, co do okruszyny, chociaż - jak mówi - było to okropne samolotowe świństwo.

- Nie mogłam znieść myśli o wyrzuceniu jedzenia, skoro Chris zagłodził się na śmierć.

W ciągu następnych tygodni straciła jednak apetyt, schudła ponad pięć kilogramów i przyjaciele zaczęli się martwić, że jest anorektyczką.

Billie, w swym domu w Chesapeake Beach, również przestała jeść. Drobną, czterdziestoosmioletnią kobietą o dziewczęcych rysach schudła ponad cztery kilogramy, nim powoli wrócił jej apetyt. Walt zareagował inaczej, jedząc nerwowo, i przytył cztery.

Miesiąc później Billie siedzi przy stole w jadalni, przekładając zdjęcia ilustrujące ostatnie dni Chrisa. Tylko do tego jeszcze może się zmusić. Przyglądając się zdjęciom, załamuje się od czasu do czasu i płacze tak, jak może płakać tylko matka, która przeżyła własne dziecko. Oplakuje stratę tak wielką i nieodwracalną, że umysł nie potrafi jej pojąć. Kiedy się jest świadkiem takiej rozpacz, widzi się jasno, że wszystko, co się powie na temat podejmowania ryzyka, brzmi durno i płytko.

- Nie rozumiem, dlaczego musiał aż tak ryzykować - protestuje Billie przez łzy. - Po prostu tego zupełnie nie mogę pojąć.

Rozdział 14

CZAPA LODOWA

Wyrosłem dorodny ciałem, z niespokojnym, niepohamowanym umysłem. Pragnie

on czegoś' więcej, czegoś namacalnego. Intensywnie poszukuje rzeczywistości, jakby jej wciąż nie było... Ale wiecie równocześnie, co robię. Wspinam się.

John Menlove Edwards, „Letter from a man”

Nie potrafię powiedzieć dokładnie, kiedy ani w jakich okolicznościach wspiąłem się po raz pierwszy, gdyż było to dawno temu. Pamiętam tylko, że idąc nocą sam, wzdrygałem się. Wspinałem się powoli na skalisty brzeg, do połowy obrośnięty rzadkimi drzewami, gdzie często bywają dzikie zwierzęta, aż się zagubiłem w powietrzu, w chmurach, które przekraczały umowną linię. Ta linia oddzielała wzgórze, zebraną w kopczyk ziemię, od góry, wywołującej wrażenie niezwyklej wielkości i wzniosłości. Szczyt tym odróżnia się od linii horyzontu, że jest potężny, przerażający, niedający się oswoić. Człowiek czuje się zgubiony, gdy tylko postawi nogę na wierzchołku. Masz ścieżkę, ale wędrujesz przejęty po pustej skale, jakby była utwardzonym powietrzem i chmurą. Skalisty, zamglony szczyt, zagubiony w chmurach, był straszliwszy, ale i wspanialszy niż krater wulkanu, ziejący ogniem.

Henry David Thoreau, „Journal”

W ostatniej kartce, wysłanej do Wayne'a Westerberga, McCandless W napisał: *Jeżeli ta przygoda okaże się fatalna i nigdy już nie dam znaku życia, chcę, żebyś wiedział, że jesteś wspaniałym człowiekiem. A teraz wkraczam w dziki żywioł.*

Gdy przygoda rzeczywiście okazała się fatalna, ta melodramatyczna deklaracja rozpałała spekulacje na temat samobójczych skłonności chłopaka i podejrzeń, że wchodząc w las, nie planował z niego nigdy wyjść. Ja jednak nie jestem taki pewny. Moje przekonanie, że McCandless śmierci nie planował, że był to straszny wypadek, opieram na tych kilku dokumentach, które pozostawił, i na rozmowach z ludźmi, którzy przebywali z nim w ciągu ostatniego roku jego życia.

Podejrzania co do jego intencji zgłaszam również z bardziej osobistej perspektywy.

Mówiono mi, że jako młodzieniec byłem bardzo uparty, lekkomyślny i humorzasty. Rozczarowałem ojca, jak to na ogół bywa. Podobnie jak w McCandlessie, męskie postacie wywoływały we mnie tłumioną wściekłość lub chęć przypodobania się. Jeśli coś pobudziło moją wyobraźnię, poświęcałem się temu z pasją, graniczącą z obsesją. Od siedemnastego roku życia do wieku dwudziestu paru lat tym czymś była wspinaczka. Większość czasu poświęcałem marzeniom, a następnie realizacji marzeń o wspinaczkach na odległe góry Alaski i Kanady, strome i przerażające szczyty, o których nikt na świecie, oprócz garstki fanatyków, nigdy nie słyszał. Miało to swoje dobre strony. Koncentrując się na kolejnych szczytach, zdołałem zachować trzeźwość umysłu w gęstej mgle po okresie dojrzewania. Liczyła się tylko wspinaczka. Niebezpieczeństwo nadawało światu halogenowy połysk, który powodował, że wszystko - osunięcie się skały, pomarańczowe i żółte porosty, faktura chmur - stanowiło błyszczącą płaskorzeźbę. Życie dźwięczało radośniejszą nutą. Świat stawał się bardziej realny.

W roku 1977, prowadząc egzystencjalne rozważania na stołku barowym w Kolorado, wbilem sobie do głowy, żeby wspiąć się na górę zwaną Devils Thumb (Diabelski kciuk). Ukształtowana przez lodowce, ta niezwykle ciekawa forma jest szczególnie imponująca od strony północnej, od której nikt jeszcze nie wchodził.

Pionowa, zupełnie gładka ściana, dwa razy wyższa od El Capitan w Yosemitech, wznosi się 180 metrów ponad lodowiec, z którego wyrasta. Pojadę na Alaskę, dalej na nartach w głąb łądu, czterdzieści osiem kilometrów przez lodowiec i zdobędę ten *nordwand*. Co więcej, postanowiłem to zrobić sam.

Miałem dwadzieścia trzy lata, o rok mniej od Chrisa McCandlessa, kiedy zniknął w alaskańskich ostępach. Moje rozumowanie, jeśli w ogóle można to tak nazwać, było podtrzymywane przez młodzieńczą literacką strawę, nadmiernie wzbogaconą w prace Nietzschego, Kerouaca i Johna Menlova Edwardsa. Ten pisarz i psychiatra, który zakończył życie kapsułą cyjanku w 1958 roku, to jeden z najwybitniejszych brytyjskich wspinaczy tamtego okresu. Edwards uważał wspinanie za skłonność psychoneurotyczną; wspinał się nie dla sportu, lecz by znaleźć schronienie przed trapiącym go wewnętrznym niepokojem.

Kiedy układałem plan wejścia na Thumb, coś mi świtało, że może mam coś nie w porządku z głową, ale fakt, że było to wszystko bardzo niebezpieczne, stanowił o szczególnej atrakcyjności przedsięwzięcia.

Miałem książkę z czarno-białym zdjęciem Devils Thumb, zrobionym przez słynnego glaciologa nazwiskiem Maynard Miller. Z lotu ptaka szczyt wyglądał szczególnie groźnie: olbrzymie żebro z rozwarstwiającego się kamienia, ciemne, błyszczące od lodu. Zdjęcie to wyzwalalo we mnie jakąś niemal pornograficzną fascynację. Zastanawiałem się, jak człowiek czułby się, stojąc na cienkim jak ostrze szczycie, skulony od wiatru i zimna, obserwując z niepokojem zbierające się w oddali burzowe chmury? Czy potrafiłby opanować strach na tyle, żeby dojść do końca i zejść?

Ale gdyby mi się udało... Aż bałem się pomyśleć o takim triumfie, żeby nie zapeszyć. Nigdy jednak nie miałem wątpliwości, że wspięcie się na Devils Thumb odmieni moje życie. Jak mogłoby być inaczej?

Pracowałem wtedy jako wędrowny cieśla, zbijając drewniane ramy w firmie Boulder, za 3,50 dolara na godzinę. Pewnego dnia, po dziewięciu godzinach wbijania gwoździ, powiedziałem szefowi, że odchodzę.

- Nie, nie za dwa tygodnie, Steve. Miałem raczej na myśli „natychmiast”.

Oczyszczenie narzędzi i zebranie rzeczy z przyczepy, gdzie kwaterowałem, zabrało mi kilka godzin. Później wsiadłem do samochodu i ruszyłem na Alaskę. Jak zwykle byłem zdumiony prostotą aktu wyjazdu i towarzyszącym temu wspaniałym uczuciem.

Devils Thumb wyznacza granicę między Alaską a Kolumbią Brytyjską, na wschód od Petersburga, małej wioski rybackiej, dostępnej tylko z wody albo z powietrza. Istniało regularne lotnicze połączenie z Petersburgiem, ale mój majątek ruchomy ograniczał się do pontiacca z 1960 roku i dwustu dolarów gotówką, co było absolutnie niewystarczające nawet na lot w jedną stronę. Dojechałem więc do Gig Harbour w stanie Waszyngton, zostawiłem samochód i ubłagałem, żeby mnie zabrał statek rybacki, płynący na północ na połów łososi.

Ocean Queen była solidnym rybackim kutrem, zbudowanym z żółtego cedru alaskańskiego, przeznaczonym do ciągnięcia długich sieci. W zamian za podwiezienie na północ musiałem tylko mieć czterogodzinne wachty przy kole sterowym co dwanaście godzin i pomóc w wiązaniu niekończących się sieci na

halibuta. Powolna podróż przez Inside Passage okazała się jednym pasmem oczekiwania. Byłem w drodze, napędzany imperatywem, przekraczającym moje możliwości kontroli i rozumienia.

Słońce połyskiwało na wodzie, ponad którą wznosiły się strome zbocza, otoczone ciemnymi świerkami kanadyjskimi i cedrami. Nad głowami pokrzykiwały mewy. W pobliżu Malcolm Island kuter napotkał stado siedmiu orek. Ich płetwy grzbietowe, niektóre wysokości człowieka, przecinały szklącą się powierzchnię wody tuż obok nadburcia.

O drugiej nocy, dwie godziny przed świtem, kiedy sterowałem na mostku, zobaczyłem nagle wyłaniającą się nad wodą głowę jelenia. Zwierzę tkwiło w zimnej, czarnej wodzie ponad półtora kilometra od granicy kanadyjskiej. W ostrym, osłepiającym świetle jego oczy wydawały się czerwone; wyglądało na wyczerpane i oszalałe z bólu. Skręciłem kołem na prawą burtę, przepłynęliśmy obok, jeleń pojawił się jeszcze dwa razy na kilwaterze i znikł w ciemnościach.

Większość trasy prowadziła wąskimi, podobnymi do fiordów kanałami. Ale gdy przepływaliśmy obok Dundas Island, na zachodzie otworzył się widok na ocean. Wysoka fala Pacyfiku zaczęła przelewać się przez burtę. W oddali nad mostkiem pojawił się gęszcz niskich, skalistych szczytów i na ten widok mój puls przyspieszył. Góry oznajmiały zbliżanie się do upragnionego celu. Dotarliśmy do Alaski.

Pięć dni po wypłynięciu z Gig Harbor Ocean Queen zacumowała w Petersburgu, aby pobrać wodę i paliwo. Przeskoczyłem przez burtę, założyłem ciężki plecak na ramiona i ruszyłem w deszczu nabrzeżem. Nie wiedząc, co dalej z sobą począć, schroniłem się w zaciszu biblioteki miejskiej i przysiadłem na swym bagażu. Podeszła do mnie wysoka, wymachująca rękami dziewczyna i rozpoczęła rozmowę. Powiedziała, że nazywa się Kai, Kai Sandburn. Była wesoła, swobodna, i łatwo się z nią rozmawiało. Wtajemniczyłem ją w moje plany wspinaczki, a ona wcale mnie nie wyśmiała ani nie zachowywała się, jakby to był szczególnie głupi pomysł.

- Kiedy się wypogodzi - powiedziała - zobaczysz Thumb z miasta. Jest bardzo ładny. To tam, tuż za Frederick Sound.

Powiodłem wzrokiem za jej wyciągniętą ręką, wskazującą na wschód, na niską ścianę chmur.

Kai zaprosiła mnie do domu na kolację. Później rozwinąłem śpiwór u niej na podłodze. Ona dawno już spała, a mój sen nie przychodził, i słuchałem dochodzącego z pokoju obok jej równego oddechu. Przez wiele miesięcy przekonywałem siebie, że nie przeszkadza mi w moim życiu brak intymnych kontaktów międzyludzkich, prawdziwej serdeczności, jednak przyjemność, jaką odczuwałem w towarzystwie tej kobiety, jej śmiech, niewinne dotknięcie ręki, wszystko to zdemaskowało moje samooszukiwanie i odczułem ból i pustkę.

Petersburg leży na wyspie, Devils Thumb na kontynencie, wyrastając ponad zamrożone wzgórze, zwane Stikine Ice Cap. Grzbiet Boundary Ranges pokryty lodową czapą wygląda jak skorupa, z której - pod ciężarem wieku - schodzą długie, niebieskie jęzory lodowców. Żeby dostać się do podnóża góry, musiałem znaleźć kogoś, kto mnie podwiezie czterdzieści kilometrów drogą morską, a następnie przebyć czterdzieści osiem kilometrów na nartach przez lodowiec Baird, na którym, jak sądziłem, nie stanęła stopa ludzka od bardzo wielu lat.

Popłynąłem wraz z kilkoma robotnikami leśnymi do zatoki Thomas Bay, gdzie mnie wysadzono na kamienistej plaży. Półtora kilometra dalej widziałem koniec lodowca. Kiedy znalazłem się na nim pół godziny później, rozpocząłem upragnioną wędrówkę do Devils Thumb. Łód nie był przykryty śniegiem, chrzęścił w nim czarny żwirek pod moimi metalowymi rakami. Po mniej więcej sześciu kilometrach doszedłem do linii śniegu i zmieniłem raki na narty. Kiedy założyłem deski, zdjąłem z pleców osiem kilogramów; szło mi się szybciej. Śnieg jednak ukrywał liczne pęknięcia w lodzie, potęgując niebezpieczeństwo. Przewidując to, kupiłem w sklepie metalowym w Seattle dwa solidne aluminiowe pręty do zasłonek, każdy długości 3 metrów, połączyłem je z sobą tak, żeby tworzyły krzyż, i przywiązałem do paska od plecaka. Kiedy tak się potykałem, wlokąc się po lodzie z ciężkim plecakiem i dziwnym krzyżem, ustawionym poziomo do śniegu, czułem się jak jakiś pokutnik. Gdybym miał obsunąć się w którąś pokrytą śniegiem szczelinę, miałem nadzieję zatrzymać się na mojej konstrukcji i nie wpaść w zmrożoną głębinę lodowca Baird.

Przez dwa dni przemierzałem dolinę lodu. Pogoda była dobra, droga wyraźna i bez większych przeszkód. Ponieważ byłem sam, oczywiście sprawy nabierały innego wymiaru. Łód wydawał się zimniejszy i bardziej tajemniczy, niebo bardziej błękitne. Nienazwane szczyty były większe, bardziej urodziwe i nieskończenie groźniejsze, niż byłyby, gdybym miał towarzysza. Również moje emocje uległy wzmocnieniu: wzloty jawiły się jako wyższe, okresy rozpacz głębsze i bardziej ponure. Młodego człowieka, upajającego się dramatyзмом własnego życia, wszystko to nadzwyczaj pociągało. Trzy dni po wyjeździe z Petersburga znalazłem się pod samym Stikine Ice Cap, gdzie długie ramię lodowca Baird łączy się z lodowcem głównym. Tutaj jezioro opada nagle w kierunku morza przez szczelinę między dwiema górami, kaskadą skruszonego lodu. Kiedy patrzyłem na to z odległości ponad kilometra, po raz pierwszy od wyjazdu z Kolorado poczułem strach. Z oddali wyglądało to na katastrofę kolejową, jak gdyby dziesiątki upiornie białych wagonów wykoleiły się tuż pod lodową czapą i chcąc nie chcąc toczyły się w przepaść. Im byłem bliżej, tym bardziej nieprzyjemne miałem wrażenie. Moje trzymetrowe pręty od firanek wydały się wątlym zabezpieczeniem w obliczu przepaści szerokich na kilkanaście metrów i głębokich na kilkadziesiąt. Nim zdołałem ułożyć jakąś sensowną trasę, zerwał się wiatr i zaczął zacinać ostry śnieg, kłując mnie w twarz i ograniczając widoczność prawie do zera.

Przez większą część dnia snułem się po omacku w białym labiryncie, cofając się od jednego ślepego tunelu do drugiego. Za każdym razem, kiedy myślałem już, że znalazłem drogę, okazywało się, że jestem w zaułku lub na szczycie lodowego słupa. Dźwięki dochodzące spod moich stóp dodawały tym usiłowaniom dramatyizmu. Chór trzasków i skrzypienia podobny do tego, jaki wydaje gruba świerkowa gałąź, kiedy ją brutalnie przycinać, przypominał, że naturą lodowców jest ruch.

Postawiłem stopę na mostku śnieżnym, przechodzącym nad szparą tak głęboką, że nie widziałem jej dna. Nieco później na innym mostku wpadłem w zaspę do pasa; kijki uchroniły mnie przed zsunięciem się w trzydziestometrową przepaść. Kiedy się wygrzebałem, zrobiło mi się niedobrze ze strachu na myśl, że mógłbym leżeć na dnie szczeliny, czekając, aż nadejdzie śmierć, a nikt nawet nie dowiedziałby się, jak i gdzie to się stało. Nim dotarłem na omiatany wiatrem, lodowcowy płaskowyż, prawie

zapadła noc. Przerażony i przemarznięty do szpiku kości, podjechałem na nartach na tyle daleko, by nie słyszeć huku „lodospadu”, rozłożyłem namiot, wczołgałem się do śpiwora i drżąc z zimna, zapadłem w męczący sen.

Planowałem spędzenie na Stikine Ice Cap od trzech tygodni do miesiąca. Ponieważ nie uśmiechała mi się perspektywa dźwigania zapasów na cztery tygodnie, ciężkiego sprzętu do zimowego biwakowania i sprzętu wspinaczkowego, zapłaciłem pilotowi w Petersburgu 150 dolarów, resztkę mojej gotówki, żeby zrzucił mi z samolotu sześć kartonów zapasów, kiedy dotrę do podnóża Devil's Thumb. Pokazałem pilotowi dokładnie na mapie, gdzie mam zamiar być, i poprosiłem, żeby mi dał trzy dni na dotarcie tam. Obiecał przylecieć i dokonać zrzutu po tym terminie, jeśli tylko pozwoli pogoda.

Rozłożyłem bazę 6 maja na lodowej czapie na północny wschód od Thumb i czekałem na zrzut. Przez następne cztery dni padał śnieg, niwecząc wszelkie szanse na lot. Obawiając się szczelin, nie oddalałem się zbyt od obozu i większość czasu spędzałem przykucnięty w namiocie (sufit był za nisko, żeby móc siedzieć wyprostowany), walcząc z ogarniającymi mnie wątpliwościami. Dni mijały, a ja denerwowałem się coraz bardziej. Nie miałem radia ani żadnego innego środka porozumiewania się ze światem. Minęło wiele lat od czasu, gdy ktoś był ostatnio w tych okolicach, i zapewne minie jeszcze wiele, nim znowu ktoś dotrze. Kończyło mi się paliwo do kuchenki, miałem ostatni kawałek sera, ostatnią paczkę makaronu i pół pudełka pianek kakaowych. W razie potrzeby może mi to starczyć na trzy do czterech dni, ale co potem? Powrót na nartach do Zatoki Thomasa zająłby mi tylko dwa dni, ale może spokojnie minąć tydzień albo i więcej, nim przyplynie tam jakiś rybak, skłonny zabrać mnie do Petersburga. Do bazy robotników leśnych, z którymi przypląnałem, można było dotrzeć tylko z morza albo z powietrza, pokonując dwadzieścia pięć kilometrów wzdłuż wybrzeża.

Kiedy szedłem spać wieczorem 10 maja, wciąż jeszcze wiało i padał śnieg. Kilka godzin później usłyszałem słabiutki dźwięk, niewiele głośniejszy od bzyczenia komara. Otworzyłem wejście do namiotu. Większość chmur opadła, ale nie widziałem żadnego samolotu. Odgłosy wróciły, tym razem wyraźniejsze. W końcu go zobaczyłem: maleńka, czerwono-biała plamka, wysoko na zachodnim niebie zmierzająca w moim kierunku. Kilka minut później samolot przeleciał tuż nad moją głową. Pilot był nieprzyzwyczajony do latania nad lodowcami i źle ocenił odległość w terenie. Bał się zejść za nisko, więc leciał co najmniej trzysta metrów nade mną przekonany, że jest tuż-tuż nad lądem i w ogóle nie zauważył mojego namiotu w zapadającym zmierzchu. Moje machanie i krzyki nie odnosiły skutku: z tej wysokości nie mógł mnie odróżnić od kopczyka kamieni. Przez następną godzinę krążył nad lodową czapą, bezskutecznie wypatrując czegoś na powierzchni. Trzeba jednak przyznać pilotowi, że rozumiał wagę sprawy i nie rezygnował. W podnieceniu porwałem z namiotu mój śpiwór, przywiązałem go do jednego z prętów do firanek i wymachiwałem, ile się dało. Samolot nagle się przechylił i skierował się wprost na mnie. Zniżył się trzy razy nad moim namiotem, za każdym razem zrzucając trzy pudła. Potem znikł za łańcuchem skalnym i zostałem sam. Gdy nad lodowcem znów zaległa cisza, poczułem się opuszczony i zagubiony. Zdałem sobie sprawę z tego, że zacząłem łkać. Zawstydziłem się i zacząłem wykrzykiwać różne brzydkie wyrazy, aż

ochrypłem.

11 maja obudziłem się wcześniej i zobaczyłem czyste niebo; termometr wskazywał niewiele poniżej zera. Zaskoczony takimi warunkami, choć psychicznie nieprzygotowany do rozpoczęcia właściwej wspinaczki, w pośpiechu spakowałem plecak i zacząłem posuwać się na nartach w kierunku podstawy Devil's Thumb. Dwie poprzednie wyprawy na Alaskę nauczyły mnie, że nie mogę sobie pozwolić na stratę wyjątkowo pogodnego dnia.

Ze skrajem lodowej czapy łączy się mały występ, tworzący jakby półeczkę prowadzącą w górę przez północną ścianę Thumb. Planowałem dojść tą półką do wystającego skalistego dziobu na środku ściany i tym sposobem znaleźć się po drugiej stronie ohydnej, lawiniastej dolnej części. Półka okazała się serią nachylonych o pięćdziesiąt stopni półek lodowych, pokrytych sięgającym kolan puszystym śniegiem i podziurawionych szczelinami. Z powodu głębokiego śniegu trasa była męcząca i szło się nią wolno. Nim osiągnąłem ściankę najwyższego bergschrundu trzy czy cztery godziny po opuszczeniu bazy, byłem wykończony. A właściwie wciąż jeszcze nie zacząłem prawdziwej wspinaczki. Rozpoczynała się ona tuż nade mną, gdzie wiszący lodowiec ustępuje miejsca pionowej ścianie.

Na skale nie dało się zauważyć żadnych podpórek, a pokryta była piętnastocentymetrową warstwą kruchego szronu. Nie wyglądała zbyt obiecująco. Na lewo od głównego dziobu połyskiwała płytka zatoczka, wypełniona zamarznąłą wodą. Stamtąd nitka lodu prowadziła wprost w górę na wysokość dziewięciu metrów i jeśli lód okazałby się dostatecznie mocny, żeby utrzymać ostrza moich czekanów, droga byłaby do pokonania. Posunąłem się na brzeg zamarznętego stawku i wbiłem jedno z narzędzi we wpadającą do niego zamarznąłą nitkę lodu. Miała zaledwie pięć centymetrów grubości, znacznie mniej, niż mógłbym sobie życzyć, ale lód, solidny i plastyczny, budził zaufanie.

Trasa była stroma i z taką ekspozycją, że zakręciło mi się w głowie. Ściana pod moimi wibramowymi podeszwami opadała pionowo w dół dziewięćset metrów do brudnego, zasypywanego przez lawiny, lodowca Witches. Nade mną na wysokość około ośmiuset metrów wystawała imponująca pionowa skała. Za każdym razem, gdy wbijałem jeden z czekanów, odległość od szczytu zmniejszała się o kolejne pół metra. To, co utrzymywało mnie przy ścianie, co utrzymywało mnie przy życiu, to dwa cienkie szpikulce chromo-molibdenowe, wystające na półtora centymetra ze strumyka zamarznętej wody, a jednak im byłem wyżej, tym stawałem się pewniejszy. Na początku trudnej wspinaczki, zwłaszcza samotnej, ciągle czuje się ciągnącą w dół otchłań. Trzeba stanowczości, żeby nie poddać się temu uczuciu, nie wolno sobie pozwolić nawet na sekundę nieuwagi. Syreni śpiew pustki zniewala cię, ruchy stają się niepewne, chaotyczne. W miarę upływu czasu przyzwyczajasz się do ekspozycji, ocierania się o ostateczne ryzyko, zaczynasz wierzyć w niezawodność swych rąk, nóg, głowy. Uczysz się ufać sobie.

Powoli uwaga twoja staje się tak skupiona, że nie zauważasz otartej skóry na rękach, kurczy w udach, napięcia spowodowanego nieustanną koncentracją. Jesteś jak gdyby w transie, wspinaczka staje się snem na jawie. Godziny mijają jak minuty. Bagaż codziennej egzystencji - wyrzuty sumienia, niezapłacone rachunki, zmarnowane okazje, kurz pod kanapą, niemożność ucieczki od swych genów -

ulatnia się na jakiś czas z pamięci, wobec jasności i powagi aktualnego celu.

W takich momentach pojawia się w twym sercu coś w rodzaju szczęścia, ale nie jest to uczucie, na którym należałoby wtedy polegać. W samotnej wspinaczce całe przedsięwzięcie musi się opierać na lepszym spoiwie niż tupet. Pod koniec dnia na północnej ścianie Thumba czułem, jak to spoiwo się rozkłada z każdym zamachem czekana.

Pokonałem już ponad dwieście metrów od wejścia na zwisający lodowiec, wszystko na czubkach raków i ostrzach czekanów. Stabilna strużka skończyła się dawno, a skałę zaczęły pokrywać jakby zamrożnięte piórka. Wprawdzie nie były zbyt solidne, ale oblepiały powierzchnię na grubość jakichś sześćdziesięciu, osiemdziesięciu centymetrów, więc pchałem się w górę. Ściana robiła się coraz bardziej stroma, a warstwa zamrożniętych piórek coraz cieńsza. Wpadłem w powolny, jakby hipnotyczny rytm: zamach, zamach; wbicie, wbicie; zamach, zamach, wbicie, wbicie - kiedy nagle lewym czekaniem trafiłem w skałę najwyżej dziesięć centymetrów pod szronem. Próbowałem lewym, potem prawym, ale wciąż natrafiałem na skałę. Zmrożone piórka, dzięki którym się utrzymywałem, miały grubość najwyżej dziesięciu centymetrów i strukturę podsuszonego chleba. Poda mną było tysiąc metrów powietrza, a ja balansowałem na domku z kart. Poczulem, jak zasycha mi w gardle z panicznego strachu. W oczach mi się zamgliło, zacząłem szybko oddychać, łydki mi się trzęsły. Próbowałem znaleźć grubszą warstwę lodu po prawej, ale zgiąłem tylko czekan na twardej skale.

Sztywny ze strachu, zacząłem powoli schodzić w dół. Szron stawał się coraz grubszy. Po opuszczeniu się o około dwudziestu metrów byłem z powrotem na dość solidnym podłożu. Zatrzymałem się na dłużej, żeby uspokoić nerwy, po czym odchyliłem się i popatrzyłem w górę, by odnaleźć chociaż ślad solidnego lodu, jakiegoś punktu w skałach, który umożliwiłby przejście nad zamrożniętymi płytkami. Patrzyłem, aż rozbolała mnie szyja, ale nic nie dostrzegłem. Koniec wspinania. Jedy-
ną możliwością była droga w dół.

Rozdział 15

CZAPA LODOWA – 2

Jakże niewiele wiemy, póki nie spróbujemy, ile jest w nas tego niekontrolowanego, pchającego nas przez lodowce i strumienie, na niebezpieczne wzgórze, tego czego rozsądek nie ogarnia.

John Muir, „The Mountains of California”

A czy zauważyłeś maleńkie skrzywienie w kąciku ust Sama II, gdy na ciebie

patrzy? Oznacza ono po pierwsze, że nie chciał, abyś go nazwał Sam II, a po drugie i trzecie, ma piłę w prawej, a dłuto w lewej nogawce spodni i jest gotów zabić cię którymś z tych narzędzi, jeśli mu się nadarzy okazja. Ojciec jest zdumiony. Zwykle przy takiej konfrontacji mówi: „Ja ci pieluchy zmieniałem, gówniarzu”. Nie jest to właściwy tekst. Po pierwsze, to nieprawda (to matki dziewięć na dziesięć zmieniają pieluszki), a po drugie, natychmiast przypomina się Samowi II, o co się tak wścieka. Wścieka się, że był mały, kiedy ty byłeś duży; nie, nie tak, o to, że był bezradny, kiedy ty miałeś władzę; nie, też nie, wścieka się, że był ograniczany, kiedy byłeś mu potrzebny; nie, niezupełnie, szaleje, bo kiedy on cię kochał, ty tego nie zauważałeś.

Donald Barthleme, „The dead father”

Po zejściu ze ściany Devil's Thumb gęsty śnieg i silny wiatr nie dawały mi opuścić namiotu przez prawie trzy dni. Godziny mijały powoli. Żeby je jakoś przyspieszyć, paliłem bez przerwy, aż skończyłem swój zapas papierosów, i czytałem. Kiedy nie miałem już nic do czytania, badałem wzorek ściegu na suficie namiotu. Robiłem to godzinami, leżąc na plecach, prowadząc z samym sobą zagorzałą dysputę: czy mam wyruszyć w kierunku wybrzeża, jak tylko poprawi się pogoda, czy mam tu być tak długo, aż spróbuję ponowić wspinaczkę?

Prawdę mówiąc, eskapada na północną ścianę tak mną wstrząsnęła, że nie miałem w ogóle ochoty wchodzić ponownie na Thumb. Z drugiej strony, nie pociągała mnie również myśl o powrocie do Boulder po porażce. Wyobrażałem już sobie twarze tych, którzy od początku byli przekonani o mojej klęsce i teraz będą mi składać wyrazy współczucia. Trzeciego dnia burzy nie mogłem już tego znieść: grudki zamrożonego śniegu kłuły mnie w plecy, lepki nylon ścianek namiotu ocierał się o moją twarz, z głębi mojego śpiwora rozchodziła się niezwykła woń. Pogrzebałem w bałaganie, jaki miałem przy nogach, i znalazłem mały zielony woreczek z metalowym pojemniczkiem po filmie. Schowałem w nim zawartość tego, co miało stanowić moje „cygaro zwycięstwa”. Miałem zamiar je zachować na chwilę po powrocie ze szczytu, ale co tam, nie wiadomo, czy w ogóle będę się wspinał. Wsypałem większą część zawartości na bibułkę papierosową, zwinąłem trochę niezdarnego skręta i natychmiast wypaliłem do koniuszka. Pod wpływem marihuany namiot wydawał mi się jeszcze ciaśniejszy, bardziej duszny, niemożliwy do zniesienia. Poza tym zrobiłem się potwornie głodny. Postanowiłem ugotować sobie trochę owsianki. Było to jednak skomplikowane: musiałem wśród tej burzy śnieżnej zebrać przed namiotem garnek śniegu, złożyć kuchenkę i rozpalić, znaleźć płatki owsiane i cukier, wyskrobać z miski resztki wczorajszego obiadu. Właśnie topił się śnieg w garnku, gdy poczułem, że coś się pali. Przejrzałem dokładnie piecyk i okolice. Nic. Zaintrygowany, chciałem to już zrzucić na karb mojej chemicznie wyostrzonej wyobraźni, gdy usłyszałem za plecami trzask. Obejrzałem się i zobaczyłem, że torba ze śmieciami, do której wrzuciłem zapalną, zmienia się w małą pochodnię. Ugasilem ją rękami w ciągu kilku sekund, ale spora część wewnętrznej ścianki namiotu znikła na moich oczach. Na szczęście ocalał suwak, więc namiotu nie przewiewało, ale było w nim kilkanaście stopni zimniej.

Zaczęła mnie piec prawa dłoń. Zobaczyłem różowy ślad oparzenia. Wypadek martwił mnie tym bardziej, że namiot nie był mój. To kosztowne schronienie

pożyczyłem od ojca. Przed moją wyprawą nieużywany, miał jeszcze metki i został wypożyczony niechętnie. Przez kilka minut siedziałem, zdruzgotany, patrząc na zrujnowany, niegdyś piękny namiot, wśród woni osmalonych włosów i roztopionego nylonu. Oczywiście, musiało się to przydarzyć mnie, pomyślałem. Miałem pecha spełniać zawsze jego najgorsze przewidywania.

Mój ojciec był człowiekiem niezwykle skomplikowanym, o zmiennych nastrojach, oschłym sposobie bycia, maskującym głęboko ukryte poczucie braku bezpieczeństwa. Jeśli kiedykolwiek w życiu przyznał się do błędu, na pewno nie było to w mojej obecności. A jednak to mój ojciec, weekendowy turysta górski, nauczył mnie wspinaczki. Kupił mi pierwszą linę i czekan, gdy miałem osiem lat, i zaprowadził na łańcuch Cascade Range, żeby wspiąć się na South Sister, łagodny wulkan o wysokości 3000 metrów, niedaleko naszego domu w Oregon. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że pewnego dnia moje życie zwiąże się ze wspinaczką.

Lewis Krakauer, miły i szczodry, bardzo kochał pięcioro swych dzieci, w autokratyczny, ojcowski sposób, ale jego ogląd świata podbarwiony był nastawieniem na konkurencję. Dla niego życie było nieustannym współzawodnictwem. Czytał w kółko prace Stephena'a Pottera, angielskiego pisarza, który ukuł terminy *gamesmanship* i *one-upmanship* (o jednego w górę) nie jako satyrę społeczną, lecz podręcznik strategii współzawodnictwa. Przesadna ambicja sprawiała, że ojciec, podobnie jak Walt McCandless, przenosił swe aspiracje na potomstwo.

Nim poszedłem do przedszkola, zaczął mnie przygotowywać do błyskotliwej kariery w medycynie, w najgorszym wypadku, jeśli mi się nie powiedzie, w prawie. Na Boże Narodzenie i urodziny dostawałem takie prezenty, jak mikroskop, mały chemik i „Encyclopaedia Britannica”. Od przedszkola do najwyższych klas licealnych ja i moje rodzeństwo byliśmy zachęcani, żeby być prymusami w każdej klasie, wygrywać w konkursach i olimpiadach, być wybieranymi na miss szkoły i do samorządu. W ten i tylko ten sposób, jak nas uczono, można wywalczyć wstęp do odpowiedniego college'u, co z kolei zaprowadzi nas do Akademii Medycznej Harvarda - pewnej drogi do sukcesu i wiecznej szczęśliwości.

Wiary mojego ojca w sensowność tej wizji nic nie mogło podważyć. To ścieżka prowadząca do dobrobytu. Ja jednak nie byłem klonem swojego ojca. Już jako nastolatek zacząłem zbaczać z wyznaczonego kursu, najpierw stopniowo, a później gwałtownie. Mój bunt objawiał się między innymi częstymi wrzaskami. Okna się trzęsły. Nim wyjechałem z Corvallis, w Oregon, by zapisać się do odległego college'u, rozmawiałem z ojcem przez zaciśnięte zęby albo wcale. Cztery lata później, gdy ukończyłem tę uczelnię i nie poszedłem ani do Harvardu, ani żadnej innej akademii medycznej, tylko zostałem cieślą i włóczęgą-wspinaczem, przepaść między nami powiększyła się jeszcze. W bardzo młodym wieku dano mi dużo swobody, za co powinienem być wdzięczny, ale nie byłem. Czuję się osaczony przez oczekiwania ojca. Wmawiano mi, że wszystko, co nie jest zwycięstwem, jest porażką. Nie rozważałem tego, tylko - jak to w zwyczaju synów - chwytałem go za słowo. I dlatego później, kiedy wyszły na jaw długo ukrywane sekrety rodzinne i okazało się, że to bóstwo, które wymagało wyłącznie perfekcji, samo jest dalekie od doskonałości, a właściwie w ogóle nie jest bóstwem, nie mogłem się z tego otrząsnąć.

Opanowała mnie potworna wściekłość. Odkrycie, że był tylko przerażająco ludzki, przekraczała moje możliwości przebaczenia.

Po dwudziestu latach zrozumiałem, że moja wściekłość minęła, i to dawno. Zastąpiła ją niepewna sympatia i coś na podobieństwo miłości. Zrozumiałem, że zawiodłem i złościłem mojego ojca co najmniej tak samo, jak on zawiódł i złościł mnie. Zrozumiałem, że byłem samolubny, nieugięty i w ogóle wredny. On obdarzył mnie przywilejami, usłał różami drogę do lepszego życia, a ja mu odpłaciłem, niszcząc to wszystko. Objawienie to nastąpiło dopiero po upływie czasu i nieszczęściach; kiedy dobrze ustawione życie mojego ojca zaczęło się trząść w posadach. Najpierw zawiodło go jego ciało: w trzydziści lat po ataku choroby Heinego-Medina objawy w tajemniczy sposób wybuchły na nowo. Uszkodzone mięśnie dalej usychały, synapsy nie działały, nogi nie chciały służyć. Wyczytał w czasopiśmie medycznych, że cierpi na nowo rozpoznane schorzenie, zwane zespołem postpolio. Ból, chwilami przerażający, wypełniał jego dni jak nieustanny, przenikliwy hałas.

W błędnym przekonaniu, że w ten sposób powstrzyma chorobę, zaczął faszerować się lekami. Nie ruszał się nigdzie bez walizeczki ze sztucznej skóry, wypełnionej pomarańczowymi plastikowymi buteleczkami z pigułkami. Co godzina lub dwie grzebał w walizeczce, rzucał okiem na nalepki i wytrząsał dexedrine albo prozac i deprenyl. Łykał te pigułki całymi garściami, nie popijając wodą. Koło umywalki w łazience zaczęły się pojawiać używane strzykawki i puste ampułki. W coraz większym stopniu jego życie kręciło się wokół przyjmowanych na własne ryzyko sterydów, amfetaminy, leków przeciwbólowych i antydepresyjnych i wszystkie te narkotyki niszczyły jego niegdyś wspaniały umysł. W miarę jak jego zachowanie stawało się coraz bardziej irracjonalne i bałamutne, odsunęli się od niego ostatni przyjaciele. Moja matka w końcu nie miała innego wyjścia, tylko się wyprowadzić. Ojciec przekroczył już granicę rozsądku i w swoim szaleństwie usiłował popełnić samobójstwo, zapewniwszy sobie przy tym moją obecność.

Po tym wyczynie został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w pobliżu Portland. Kiedy go tam odwiedziłem, miał ręce i nogi przywiązane do ramy łóżka. Bełkotał coś niewyraźnie i zmoczył się. Dzikie oczy raz błyskały buntem, raz niezrozumiałym strachem, toczył oczami, dając jasny i przerażający obraz stanu swego umęczonego umysłu. Gdy próbowano mu zmienić bieliznę, zaczął wrywać się ze swych więzów, przeklinać pielęgniarki, przeklinać mnie, przeklinać swój los.

Jakaż to była ironia, że jego perfekcyjny plan życiowy doprowadził go w ostateczności tutaj, do tej koszmarnej stacji. Nie sprawiało mi to żadnej satysfakcji, a jego uwadze uchodziło całkowicie, że wysiłki, by mnie ulepić na swoje podobieństwo, odniosły skutek. Staremu morsowi udało się zaszczerpić we mnie potężną ambicję; tyle, że znalazła ona wyraz w realizacji innych celów. Nigdy nie zrozumiał, że Devils Thumb to było to samo, co akademia medyczna, tylko inaczej.

Sądzę, że właśnie ta odziedziczona ambicja nie pozwalała mi przyznać się do porażki po tym, jak nie udało mi się pierwsza próba wejścia na Thumb i niemal spalił się namiot. Po trzech dniach spróbowałem znów od strony północnej. Tym razem udało mi się wspiąć zaledwie 36 metrów powyżej bergschrundu, nim brak skupienia i kolejna fala śniegu zmusiły mnie do odwrotu. Zamiast jednak zejść do bazy, postanowiłem spędzić noc na stromym zboczu góry. Był to wielki błąd. Późnym

popołudniem śnieżycy przeszła w kolejną burzę. Pokrywa śnieżna rosła 2,5 cm na godzinę. Kiedy wczółgałem się pod pałatkę, słyszałem świst lawinek, ześlizgujących się po mnie i powoli zasypujących moje legowisko. Po dwudziestu minutach nylonowa koperta w kształcie torebki na kanapki, w której się schroniłem, była zasypana aż do szczelinki, którą oddychałem. Odkopałem się, znów mnie zasypało i po piątym razie miałem dosyć. Wrzuciłem wszystko do plecaka i ruszyłem do bazy.

Zejsście było przerażające. Z powodu chmur, śnieżycy i słabego światła nie mogłem odróżnić zbocza od nieba. Bałem się, nie bez powodu, że mogę po omacku zsunąć się i wylądować na dnie Witches Cauldron, kilkaset metrów pionowo w dół. Kiedy w końcu stanąłem na zamrożonej równinie lodowej czapy, zobaczyłem, że moje ślady zawiąło. Nie miałem pojęcia, jak na tej gładkiej, białej pustyni znaleźć namiot. W nadziei, że trafię nań przypadkowo, krążyłem na nartach przez godzinę, aż wpadłem jedną nogą w pęknięcie w lodzie i uznałem, że zachowuję się jak idiota. Powinienem przycupnąć, gdzie stoję, i czekać, aż burza przejdzie. Wykopałem płytką jamkę, owinąłem się pałatką i usiadłem na plecaku. Wokół mnie zbierały się przyzmy śniegu. Nogi mi zdrętwiały. Od szyi, przez piersi czułem wilgotne zimno w miejscu, gdzie śnieg dostał mi się za kurtkę i przemoczył koszulę. Gdybym tylko miał papierosa, pomyślałem, jednego papierosa, zebrałbym się w sobie i zachował twarz w tej pieprzonej sytuacji całej tej pieprzonej wyprawy. Owinąłem się szczelniej pałatką. Wiatr hulał mi po plecach. Objąłem głowę rękami i pogrążyłem się bezwstydnie w głębokim współczuciu dla samego siebie.

Wiedziałem, że ludzie czasem umierają podczas wspinaczek. Ale osobista śmierć, moja własna śmierć w wieku dwudziestu trzech lat była czymś, co przekraczało moje pojmowanie. Kiedy ruszałem z Boulder na Alaskę, wyobrażając już sobie triumfalny powrót, nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mogłyby mną kierować te same pobudki, które motywowały innych. Ponieważ tak bardzo chciałem się wspiąć na tę górę i myślałem o tym intensywnie od dawna, wydawało mi się absolutnie niemożliwe, żeby takie drobiazgi, jak zła pogoda, szczeliny w lodzie i pokryte szronem skały mogły udaremnić moje zamiary.

O zachodzie słońca wiatr ucichł, pułap chmur się uniół i zdołałem zlokalizować swój obóz. Wróciłem cało do namiotu, ale nie mogłem już ignorować faktu, że Thumb pokrzyżował moje plany. Musiałem przyjąć do wiadomości, że same chęci, nawet największe, nie wystarczą do wspięcia się na północną ścianę. Nic tego nie zapewni. Istniała jednak pewna szansa uratowania całej wyprawy. Tydzień wcześniej podjechałem na nartach od południowo-wschodniej strony, żeby zobaczyć trasę, którą zamierzałem schodzić, trasę, pokonaną po raz pierwszy przez legendarnego alpinistę Freda Beckeya w 1946 roku. W czasie rekonesansu zauważyłem na lewo od jego szlaku wyraźną siatkę lodowych wypukłości, co od razu wydało mi się dość łatwą drogą na szczyt. Wtedy oczywiście uznałem go za niegodny uwagi, ale wobec mojego nieomal tragicznego zetknięcia z północną ścianą skłonny byłem obniżyć wymagania.

Popołudniem 15 maja, kiedy śnieżycy ostatecznie ucichła, powróciłem na południowo-wschodnią stronę i wspiąłem się na wąski grzbiet, stykający się z wyższym szczytem jak przypora w gotyckiej katedrze. Postanowiłem spędzić tu noc, czterysta osiemdziesiąt metrów od szczytu. Wieczne niebo było zimne i

bezczmurne. Widać było zatokę portu i błyskające na zachodzie światła Petersburga. Był to mój najżywszy kontakt z ludźmi od zrzutu rzeczy i te odległe światelka wywołały we mnie tkliwość. Wyobraziłem sobie ludzi oglądających w telewizji baseball, jedzących w jasno oświetlonych kuchniach pieczone kurczaki, pijących piwo, kochających się. Kiedy ułożyłem się do spania, poczułem dojmującą samotność. Nigdy nie byłem taki sam, nigdy.

Tej nocy miałem okropne sny. Śniła mi się jakaś interwencja policji, wampiry i egzekucja w stylu gangsterskim. Słyszałem czyjś szept: „Chyba jest tutaj...” Siadłem i otworzyłem oczy. Za chwilę będzie wschodzić słońce. Na fioletowym, jeszcze czystym niebie gdzieś w górnych partiach tworzyła się cieniutka warstewka chmur pierzastych, a nad południowo-zachodnią linią horyzontu pojawił się ciemniejszy cień szkwału. Wciągnąłem buty i przyczepiłem raki. Pięć minut po przebudzeniu opuszczałem już biwak.

Nie zabrałem żadnej liny, namiotu, sprzętu biwakowego, narzędzi, nic; prócz czekanów. Planowałem pójść szybko, bez obciążenia, żeby dotrzeć na szczyt i wrócić, nim zepsuje się pogoda. Pchałem się, bez tchu, byle prędzej, w górę, na lewo, przez małe półka śniegowe i krótkie skaliste schodki. Wspinaczka właściwie dawała przyjemność - skałę pokrywały duże, naturalne wcięcia, a lód, choć cienki, nie był nigdzie bardziej stromy niż nachylony pod kątem siedemdziesięciu stopni. Obawiałem się tylko frontu burzowego nadciągającego znad Pacyfiku.

Nie miałem zegarka, ale wydawało mi się, że bardzo szybko znalazłem się na ostatnim półku lodowym. Teraz już całe niebo zasnuwały chmury. Wejście zbaczające nieco na lewo wydawało mi się łatwiejsze, natomiast idące prosto w górę - szybsze. Wybrałem szybsze, bojąc się burzy. Lodowa warstwa była bardziej stroma i cieńsza. Zamachnąłem się lewym czekanem i natrafiłem na skałę. Spróbowałem w innym miejscu i znów ześlizgnął się po twardym diorycie z głuchym szczękiem. Jeszcze raz i jeszcze. Była to powtórka mojej pierwszej próby na północnej ścianie. Spojrzałem w lukę między swoimi stopami i zobaczyłem lodowiec opadający na głębokość jakichś sześciuset metrów w dół. Ścisnęło mnie w żołądku. Kilkanaście metrów nade mną ściana przechodziła w opadające łagodniej ramię wierzchołka. Przywarłem do swych czekanów, zeszywniały ze strachu, nie mogąc podjąć decyzji. Spojrzałem znów w dół, w górę i zdrapałem kawałek lodowej warstwy nad głową. Zahaczyłem lewy czekan o cieniutką krawędź skały i spróbowałem obciążyć. Trzymał się. Wyciągnąłem prawy czekan z lodu, sięgnąłem wyżej i wkręciłem czubek w krzywą, ponadcentymetrową rysę, aż się zaklinował. Wstrzymałem oddech, podciągnąłem stopy wyżej, grzebiąc czubkami raków po lodzie. Sięgnąłem lewą ręką najwyżej, jak mogłem, i wbiłem czekan delikatnie w błyszczącą powierzchnię, nie wiedząc, w co uderzę. Ostrze weszło z solidnym trzaskiem! Po kilku minutach stałem na szerokiej półce. Właściwy wierzchołek, smukły ząb skalny, wznosił się sześć metrów nade mną, obrośnięty śmiesznymi bezikami z lodu.

Niezbyt stabilne, zmrożone śnieżne piórka sprawiły, że ostatnie metry były bardzo trudne, przerażające, uciążliwe. Ale nagle nie miałem już dokąd iść. Poczułem, jak moje spękane usta rozciągają się w uśmiechu. Byłem na szczycie Devil's Thumb.

To miejsce surrealistyczne i dość straszne - wąziutki klin ze skały i szronu, nie szerszy od biurowej szafki. Nie zachęcał do pozostania tutaj. Południowa ściana pod

moim prawym butem opadała jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów, pod lewym butem północna ściana - dwa razy tyle. Zrobiłem parę zdjęć, żeby udowodnić, że tu byłem, spędziłem kilka minut, starając się wyprostować skrzywiony szpikuliec od czekana, po czym wstałem, ostrożnie się obróciłem i ruszyłem w drogę powrotną.

Tydzień później biwakowałem w deszczu nad morzem, rozkoszując się widokiem łośi, wierzb i komarów. Słony wiatr niósł nieprzyjemną woń życia morskiego. W końcu do Zatoki Thomasa wpłynęła mała motorówka i zatrzymała się na plaży niedaleko mojego namiotu. Prowadzący ją mężczyzna przedstawił się jako Jim Freeman, drwal z Petersburga. Miał wolny dzień i zabrał rodzinę na wycieczkę, żeby im pokazać lodowce i - jak się uda - niedźwiedzia. Spytał mnie, czy byłem polować czy co?

- Nie - odparłem głupawo. - Właśnie wdrapałem się na Devils Thumb. Jestem w okolicy od dwudziestu dni.

Freeman pogrzebał coś na pokładzie i nic nie powiedział. Było jasne, że mi nie wierzył. Nie spodobały mu się też na pewno moje długie do ramion, rozczochrane włosy i woń, jaką wydzielałem po trzech tygodniach bez kąpieli i zmiany bielizny. Na szczęście, kiedy zapytałem, czy mógłby mnie podwieźć do miasta, rzucił oschle:

- Czemu nie.

Morze było niespokojne i jazda przez Frederick Sound zajęła nam dwie godziny. W trakcie rozmowy Freeman przekonywał się chyba do mnie. Wciąż nie dowierzał, że wspiałem się na Thumb, ale nim skierował skif w cieśninę Wrangell, udawał, że wierzy. Kiedy przycumował łódkę, koniecznie chciał mi postawić hamburgera. Zaprosił mnie, żebym przespał noc w jego rozwalonej półciężarówce, zaparkowanej w ogrodzie. Położyłem się z tyłu, ale nie mogłem zasnąć, więc wstałem i poszedłem do baru zwanego Kito's Kave. Euforia i uczucie olbrzymiej ulgi, które mi towarzyszyły podczas powrotu do Petersburga, opadły i teraz ogarnęła mnie niespodziewana melancholia. Ludzie, z którymi rozmawiałem w Kito's, nie wątpili w to, że byłem na szczycie Thumb, tylko ich to niewiele obchodziło. W miarę upływu czasu lokal pustoszał i zostałem tylko ja i stary, bezzębny Indianin przy ostatnim stoliku. Piłem sam, wkładając monety do grającej szafy wciąż na pięć tych samych piosenek, aż barmanka wrzasnęła:

- Hej mały, daj jej, kurczę, odpocząć!

Wydukałem jakieś przeprosiny, wytoczyłem się, doszedłem do ciężarówka Freemana, ułożyłem się na podłodze obok rozbebeszonej przekładni i w słodkim odorze starego oleju samochodowego straciłem przytomność.

Niecały miesiąc po tym, jak siedziałem na wierzchołku Thumb, byłem z powrotem w Boulder i przybijałem siding na domach przy Spruce Street, tych samych, których konstrukcję stawiałem przed wyjazdem na Alaskę. Dostałem podwyżkę do czterech dolarów za godzinę i pod koniec lata wyprowadziłem się z przyczepy stojącej na terenie budowy do taniego, jednopokojowego mieszkanca na zachód od śródmieścia.

Kiedy jest się młodym, łatwo uwierzyć, że to, czego pragniesz, jest tym, na co zasługujesz, a jeśli czegoś bardzo chcesz, uważasz, że jest twoim prawem od Boga, żeby to mieć. Gdy pojechałem na Alaskę w kwietniu, podobnie jak Chris McCandless, byłem niedojrzałym młodzikiem, który bierze pasję za wnikliwość i działa według jakiejś sobie tylko znanej logiki. Sądziłem, że zdobycie Devil's Thumb

unieważni wszystko, co uważałem za złe w swoim życiu. Oczywiście, nie zmieniło to prawie niczego. Przekonałem się tylko, że góry nie są dobrym odbiornikiem marzeń. I teraz mogę to przekazywać dalej.

Jako młody człowiek różniłem się od Chrisa McCandlessa w wielu dziedzinach. Przede wszystkim, nie posiadałem jego intelektu ani wspaniałych ideałów. Ale wydaje mi się, że obaj działaliśmy pod wpływem skrzywionych relacji z naszymi ojcami, i podejrzewam, że ośwładnęły nami taka sama pasja i nieroztropność. Fakt, że ja przeżyłem swą przygodę na Alasce, a McCandless nie, to tylko kwestia przypadku. Gdybym nie wrócił z Stikine Ice Cap w 1977 roku, ludzie mówiliby o mnie, podobnie jak teraz o nim, że miałem wolę śmierci. Po osiemnastu latach widzę, że był to może z jednej strony tupet, z drugiej - zdumiewająca niewinność. Nie miałem jednak skłonności samobójczych. Na tym etapie mojego młodzieńczego rozwoju śmierć pozostawała pojęciem równie abstrakcyjnym, jak geometria nieeuklidesowa czy małżeństwo. Nie przeżyłem jeszcze nigdy jej ostateczności ani bólu, jaki spada na tych, którzy oddali swe serca zmarłemu. Poruszała mnie wielka tajemnica śmiertelności. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dojść na skraj życia i nie zerknąć, co jest za nim. To, co kryło się w przeraźliwych cieniach, przerażało mnie, ale mignął mi fragment rozwiązania zakazanej zagadki, nie mniej zniewalającej niż ukryte słodczyce kobiecości.

W moim wypadku - i, jak sądzę, również w wypadku Chrisa McCandlessa - było to coś zupełnie innego niż pragnienie śmierci.

Rozdział 16 W GŁĘBI ALASKI

Chciałbym poznać prostotę, uczucia i rozkosze dzikiego życia; wyzwolić się od obyczajów, uprzedzeń i niedoskonałości cywilizacji... I samotnie w głębi zachodniej dziczy znaleźć właściwsze spojrzenie na naturę ludzką i prawdziwe zainteresowania człowieka. Wolalbym porę śnieżną, żebym mógł doświadczyć przyjemności cierpienia i nowych niebezpieczeństw.

Estwick Evans,

Z zapisków pieszej wyprawy, zimą i wiosną 1818 roku

Dzikość przemawia do znudzonych lub zniechęconych - ludźmi i ich dziełem. Nie

tylko pozwala ona uciec od społeczeństwa, ale jest idealnym stanem dla romantycznych jednostek, aby mogły ćwiczyć kult, jaki mają dla swej duszy. Samotność i swoboda, naturalne w guszy, stwarzają idealny nastrój - melancholii lub egzaltacji.

Robert Nash, „Wilderness and the American mind”

Chris McCandless wyjechał z Carthage w Dakocie Południowej 15 kwietnia 1992 roku w szoferce ciężarówki wiozącej ziarno słonecznika. Rozpoczęła się jego „wielka alaskańska odyseja”. Trzy dni później przekroczył granicę kanadyjską w Roosville w Kolumbii Brytyjskiej i autostopem podjechał na północ, przez Skookumchuck i Radium Junction, Lake Louise i Jasper, Prince George i Dawson Creek, gdzie w centrum miasta zrobił zdjęcie drogowskazu, oznaczającego oficjalny początek szosy Alaska. *Mila 0*, napisano na znaku, *Fairbanks 1523 mile*.

Autostop na tej autostradzie wydaje się nie mieć szans. Nietrudno na przedmieściach Dawson Creek spotkać kilkanaścioro smętnie wyglądających mężczyzn i kobiet, stojących na poboczu z wystawionym kciukiem. Niektórzy z nich między jedną a drugą okazją przebywają tu tydzień. McCandless jednak tego nie doświadczył. Sześć dni po wyjeździe z Carthage znalazł się w Liard River Hotsprings, u progu Yukonu. Jest tam publiczny kemping, skąd idzie się drewnianą kładką przez bagna do naturalnych ciepłych stawków. Jest to bardzo popularne miejsce na trasie i McCandless postanowił zatrzymać się tutaj i pomoczyć w wodzie. Kiedy skończył się kąpać i chciał złapać kolejną okazję na północ, szczęście odwróciło się od niego. Nikt nie chciał go zabrać. Dwa dni po przybyciu do Liard River wciąż jeszcze tam siedział, niecierpliwiąc się.

Pewnego czwartkowego poranka, kiedy ziemia wciąż jeszcze była zamarznięta, Gaylord Stuckey wszedł na kładkę i udał się do największego z baseników, pewien, że będzie go miał wyłącznie dla siebie. Zdziwił się więc, znalazłszy w parującej wodzie młodego człowieka, który przedstawił się jako Alex.

Stuckey, łysy, dobroduszny, o okrągłej twarzy sześćdziesięcioletni ze stanu Indiana, był w drodze na Alaskę, aby zawieźć tam dom na kółkach do dealera w Fairbanks. Dorabiał w ten sposób do emerytury, na którą poszedł po czterdziestu latach pracy w gastronomii. Kiedy opowiedział McCandlessowi, dokąd jedzie, młody człowiek wykrzyknął:

- Hej, ja też tam jadę! Ale utknąłem tutaj przed dwoma dniami i próbuję znaleźć jakąś okazję. Mógłbym pojechać z panem?

- O rany - odpowiedział Stuckey. - Chciałbym, synu, ale nie mogę. Firma, dla której pracuję, ma bardzo ostre przepisy i nie pozwala zabierać autostopowiczów. Mogliby mnie zapuszkować.

Gadając z McCandlessem wśród siarczanowej mgiełki, Stuckey zaczął rozważać sprawę: Alex był porządnie ogolony, miał krótkie włosy i sądząc z tego, jak mówił, był bystrym facetem. Nie wyglądał jak typowy autostopowicz. Na ogół był podejrzliwy wobec nich, bo uważał, że coś jest z facetem nie w porządku, jeżeli nie stać go nawet na bilet autobusowy. Więc po półgodzinie powiedział:

- Wiesz co, Alex, zrobmy tak. Liard jest tysiąc sześćset kilometrów od Fairbanks. Ja cię podwoję osiemset kilometrów, do Whitehorse, a tam łatwiej coś złapiesz dalej.

Półtora dnia później, kiedy dojechali do Whitehorse, stolicy terytorium Yukon i największego, najbardziej kosmopolitycznego miasta na trasie Alaska-Highway, okazało się, że Stuckey polubił już McCandlessa i zgodził się wieźć go całą drogę.

- Na początku Alex nie był specjalnie rozmowny - opowiada Stuckey. - Ale to długa trasa. Spędziliśmy razem całe trzy dni na drogach jak tarka do prania i w końcu przestał się tak pilnować. Coś panu powiem: to był elegancki chłopak. Taki grzeczny; nie kłął, nie mówił za dużo slangiem. Chyba pochodził z porządnej rodziny. Przeważnie opowiadał o siostrze. Wydaje mi się, że ze starymi za bardzo się nie zgadzał. Zdradził, że jego tata jest geniuszem, naukowcem od rakiet w NASA, ale przez pewien okres był bigamistą i to chyba Aleksowi nie pasowało. Mówił, że nie widział rodziców od paru lat, od ukończenia college'u.

McCandless bardzo szczerze opowiedział Stuckeyowi o swym zamiarze spędzenia lata samotnie w głuszy, o planach życia tym, co tam znajdzie.

- Mówił, że to coś, o czym marzył od dzieciństwa - ciągnie Stuckey. - Powiedział, że nie chce widzieć żywej duszy, żadnych samolotów, żadnego śladu cywilizacji. Chciał sobie udowodnić, że da sobie radę sam, bez niczyjej pomocy.

Stuckey i McCandless dojechali do Fairbanks po południu, 25 kwietnia. Kierowca zabrał młodego człowieka do sklepu spożywczego, gdzie kupił torbę ryżu.

- A potem Alex wyznał, że chciałby wstąpić na uniwersytet, żeby przestudiować, jakie rośliny mogłyby jeść. Jagody i inne takie. Powiedziałem mu: „Alex, jesteś za wcześnie. Na ziemi leży jeszcze ponad pół metra śniegu. Nic jeszcze nie rośnie”. Ale on już był zdecydowany. Już przebierał nogami, żeby ruszyć w drogę.

Stuckey podjechał pod Uniwersytet Alaski na zachodzie Fairbanks i wysadził tam McCandlessa o wpół do szóstej wieczorem.

- Nim wysiadł - przypomina sobie Stuckey - powiedziałem mu: „Alex, przewiozłem cię tysiąc sześćset kilometrów. Karmiłem cię przez bite trzy dni. Możesz przynajmniej tyle dla mnie zrobić, żeby napisać, jak wrócisz z tej Alaski”. Obiecał, że to zrobi. Błagałem go też, żeby zadzwonił do swoich rodziców. Nie mogę sobie wyobrazić, co bym zrobił, jakby mój syn tak znikł na parę lat, i gdybym nie wiedział nawet, czy żyje. „Tu masz numer mojej karty kredytowej - powiedziałem - i proszę, zadzwoń do nich!” Ale on tylko mruknął: „Może zadzwonię, może nie”. Kiedy odszedł, żałowałem, że nie wziąłem od niego tego numeru i sam nie zadzwoniłem. Ale wszystko działa się tak szybko.

Po odwiezieniu McCandlessa na uniwersytet Stuckey pojechał do śródmieścia odstawić samochód do dealera. Dowiedział się, że osoba odpowiedzialna za przyjmowanie nowych pojazdów już pojechała do domu i wróci dopiero w poniedziałek rano. Nie pozostało mu nic innego, jak zostać dwa dni w Fairbanks, zanim będzie mógł wrócić samolotem do Indiany. W niedzielę rano powędrował więc na kampus uniwersytecki w poszukiwaniu Aleksa.

- Miałem nadzieję, że spędzę z nim jeszcze jeden dzień, że gdzieś pójdziemy. Szukałem kilka godzin, jeździłem, ale znikł jak kamień w wodę.

Po rozstaniu ze Stuckeyem w sobotę wieczorem McCandless spędził dwa dni i trzy noce w pobliżu Fairbanks, głównie na uniwersytecie. W księgarni uniwersyteckiej, na dolnej półce sekcji poświęconej Alasce znalazł bardzo poważny naukowy przewodnik dotyczący jadalnych roślin tego regionu: „Tanaina Plantlore” napisany

przez Priscillę Russell Kari. Z półki z pocztówkami obok kasy wybrał dwie kartki z niedźwiedziem polarnym, na których posłał swe ostatnie informacje do Wayne'a Westerberga i Jan Burres z poczty uniwersyteckiej.

Idąc tropem ogłoszeń drobnych, McCandless znalazł używany karabin samopowtarzalny Remingtona kaliber .22, z celownikiem optycznym i łożem z tworzywa sztucznego. Był to model Nylon 66, już nie produkowany, lubiany przez traperów Alaski ze względu na niewielki ciężar i niezawodność. Przeprowadził transakcję na pobliskim parkingu, płacąc zapewne 125 dolarów, a następnie nabył w sklepie z bronią czterysta nabojów z wydrążonym wierzchołkiem. Zakończywszy te przygotowania w Fairbanks, McCandless zapakował plecak i wyruszył na zachód od uniwersytetu. Opuszczając kampus, przeszedł obok Instytutu Geofizyki, wysokiego budynku z betonu i szkła, z olbrzymią anteną satelitarną na dachu. Antena, jeden z bardziej charakterystycznych punktów na horyzoncie Fairbanks, została tam zainstalowana, aby mogła zbierać dane z satelitów wyposażonych w radary projektu Wal-ta McCandlessa. Ojciec Chrisa był w Fairbanks na początku istnienia stacji i stworzył oprogramowanie umożliwiające jej pracę. Jeśli przechodząc obok Instytutu Geofizyki, chłopak pomyślał o ojcu, nie ma nigdzie wzmianki na ten temat.

Sześć i pół kilometra na zachód od miasta w wieczornym chłodzie McCandless rozbił namiot na skrawku zamrożonej ziemi, otoczonym brzoźami, na skraju urwiska, z którego widać było stację benzynową i sklep z alkoholem Gold Hill. Czterdzieści pięć metrów od jego obozowiska zaczynał się skrót autostrady George Parks Highway, drogi, która zaprowadzi go na Szlak Stampede. Obudził się wczesnym rankiem 28 kwietnia, wyszedł przed świtem na szosę i bardzo się zdziwił, że zatrzymał się pierwszy samochód, na który machał. Był to szary ford z naklejką na tylnym zderzaku: *Łowię, więc jestem. Petersburg, Alaska*. Kierowca tej półciężarówki, elektryk w drodze do Anchorage, nie był wiele starszy od McCandlessa. Przedstawił się jako Jim Gallien.

Trzy godziny później Gallien skręcił z szosy i pojechał, ile się dało, nieodśnieżoną boczną drogą. Kiedy wysadził McCandlessa na Szlaku Stampede, temperatura oscylowała wokół zera, ale nocami na pewno spadała co najmniej o dziesięć stopni, a ziemię pokrywała ponadpółmetrowa warstwa kruchego wiosennego śniegu. Chłopak nie potrafił ukryć podniecenia. Nareszcie miał zostać sam na olbrzymich, dzikich połaciach Alaski.

Ruszył szlakiem, ubrany w parkę ze sztucznego futra, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, a jedynym pożywieniem, jakie miał z sobą, była pięciokilogramowa torba ryżu, dwie kanapki i paczka chrupków, które dał mu Gallien. Rok wcześniej przeżył ponad miesiąc niedaleko Zatoki Kalifornijskiej z połową tej ilości ryżu z dodatkiem ryb, złowionych za pomocą taniej wędki i kołowrotka. To doświadczenie upewniło go, że potrafi również na Alasce znaleźć wystarczająco dużo pożywienia, żeby przeżyć przez dłuższy czas. Najcięższa w jego wypełnionym zaledwie do połowy plecaku była biblioteka - dziewięć czy dziesięć książek, które dała mu Jan Burres w Niland. Znalazły się wśród nich pozycje autorstwa Thoreau, Tołstoja i Gogola, ale również książki popularne - Michaela Crichtona, Roberta Pirsiga i Louisa EAmoura, bo McCandless nie był literackim snobem. Ponieważ zapomniał papieru do pisania, zaczął prowadzić swój lakoniczny dziennik na pustych kartkach „Tanaina

Plantlore”.

Do Healy, zakończenia Szlaku Stampede, docierają zimą wędrowcy z psami, turyści narciarze i entuzjaści skuterów śnieżnych, ale tylko przed roztopami, do końca marca lub początku kwietnia. Nim McCandless tam się znalazł, większością strumieni płynęła już woda i od dwóch czy trzech tygodni nikt tamtędy nie przechodził. Zauważył tylko słaby ślad po jakimś śniegowym pojeździe. Drugiego dnia dotarł do rzeki Teklanika. Chociaż jej brzegi były jeszcze zamrożone, środkiem płynęła woda, której nie przecinały lodowe mostki, więc musiał przejść w bród. Na początku kwietnia były olbrzymie roztopy, ale później znów przymarzło i poziom wody ustalił się dość niski; kiedy McCandless przechodził, prawdopodobnie sięgała mu najwyżej do uda. Nie przypuszczał zapewne, że przekraczał w ten sposób swój Rubikon. Brakowało mu doświadczenia, więc nie mógł wiedzieć, że za dwa miesiące lodowce i pola śniegowe u początków Teklaniki roztopią się w letnim gorącu i objętość wody wzrośnie dziewięć- lub dziesięciokrotnie. Szeroka rzeka będzie miała głęboki i rwący nurt, w niczym nieprzypominający spokojnego potoku, przez który przechodził w kwietniu. Wiemy z jego dziennika, że 29 kwietnia McCandless upadł gdzieś na lód. Zdarzyło się to prawdopodobnie, gdy trawersował któryś z topniejących stawów bobrowych, tuż obok zachodniego brzegu Teklaniki, ale nic nie wskazuje na to, żeby w jakiś sposób przy tym ucierpiał. Dzień później, gdy wspiął się na grzbiet górski, zobaczył wysoką sylwetkę szczytu McKinley i jego oślepiająco białe podnóża. 1 maja jakieś trzydzieści kilometrów od miejsca, do którego podwiózł go Gallien, natrafił na stary autobus niedaleko rzeki Sushana. Był wyposażony w prycę, piecyk „kozę” oraz - zapewne przez poprzednich użytkowników - w zapalki, środek owadobójczy i inne niezbędne drobiazgi. *Dzień magicznego autobusu* - zapisał w swym dzienniku. Postanowił zatrzymać się w nim jakiś czas i wykorzystać jego prymitywne wygody.

Był wniebowzięty. Na kawałku dykty, przesłaniającym wybite okno autobusu, napisał swoistą deklarację niepodległości:

Dwa lata wędruję po świecie. Żadnego telefonu, żadnego basenu, żadnych domowych zwierzątek, żadnych papierosów. Totalna wolność. Ekstremista. Esteta, podróżnik, którego domem jest droga. Uciekł z Atlanty. Nie będziesz powracał, pamiętaj sobie, najlepiej jest na zachodzie. Teraz, po dwóch latach wędrowki, nadchodzi najważniejsza i największa przygoda. Ostateczny bój, aby zabić fałszywe istnienie wewnętrzne i zwycięsko zakończyć rewolucję duchową. Dziesięć dni i nocy w pociągach towarowych i autostopem przywiodło go na wielką, białą północ. Nie będzie już zatruwany przez cywilizację, od której ucieka; wchodzi samotnie w krainę, by zagubić się w dziczy.

Alexander Supertramp maj 1992

Rzeczywistość jednak szybko zakłóciła ten piękny sen. McCandless miał trudności z upolowaniem jakiejś zwierzyny i w ciągu pierwszego tygodnia w guszy w jego dzienniku pojawiały się takie hasła, jak „słabość”, „zawiany śniegiem”, „kłęska”. Widział, ale nie zastrzelił niedźwiedzia grizzly - 2 maja, strzelił, ale nie trafił do kaczek - 4 maja, w końcu strzelił i zjadł jakiś gatunek pardwy - 5 maja. Później nie

udało mu się upolować niczego aż do 9 maja, kiedy trafił małą wiewiórkę, a w dzienniku zazaczył: „Czwarty dzień głodu”.

Wkrótce los się odmienił na lepsze. W połowie maja słońce stało już wysoko na niebie, oświetlając tajgę. Zachodziło za północnym horyzontem na krócej niż cztery godziny na dobę, a o północy było tak jasno, że można było czytać. Poza północnymi stokami i cienistymi żlebami, śnieg wszędzie stopniał, odkrywając zeszłoroczne owoce dzikiej róży i jagody, które McCandless zbierał i zjadał w dużych ilościach. Odnosił też coraz większe sukcesy w polowaniu i przez sześć następnych tygodni ucztował regularnie, zjadając wiewiórki, pardwy, gęsi, kaczkę, jeżozwierze. 22 maja spadła mu koronka z jednego zęba trzonowego, ale nie zmąciło to specjalnie jego dobrego nastroju, ponieważ następnego dnia wdrapał się na nienazwaną, wyglądającą jak garb, samotną górkę o wysokości około 900 m, wznoszącą się na północ od autobusu. Mógł stamtąd obejrzeć pokryty lodem grzbiet Alaska Range i wielkie połacie niezamieszkanego lądu. Wpis do dziennika z tego dnia jest jak zwykle lakoniczny, ale bez wątpienia radosny: *Wspina się na górę!*

McCandless opowiadał Gallienowi, że ma zamiar cały czas wędrować po bezdrożach.

- Wyruszę i będę szedł cały czas na zachód - powiedział. - Może pewnego dnia dojdę nad Morze Beringa.

Po czterech dniach w autobusie, 5 maja, przystąpił do realizacji swych planów. Ze zdjęć, znalezionych w jego aparacie, wynika, że zgubił, albo świadomie opuścił, prawie już niewidoczny Szlak Stampede i kierował się na zachód i północ przez wzgórza nad rzeką Sushana, polując po drodze.

Posuwał się powoli. Żeby jeść, musiał poświęcać dużą część dnia na poszukiwanie zwierzyny. W dodatku, w miarę jak ziemia tajała, trasa zmieniała się w grzęzawisko, porośnięte trudną do przebycia gęstwiną olch. Zbyt późno McCandless docenił jedną z podstawowych, choć sprzeczną z intuicją, zasad Północy: do lądowych podróży po głuszy lepsza jest zima, nie lato. Uznawszy za błędny swój ambitny plan przejścia pieszo ponad ośmiuset kilometrów do morza, zmienił zamiary. Ponieważ nie dotarł na zachód dalej jak do rzeki Toklat, to znaczy przewędrował mniej niż dwadzieścia pięć kilometrów od autobusu, 19 maja zawrócił. Tydzień później był już w zdezelowanym pojeździe, chyba nie żałując decyzji. Uznał, że zlewisko Sushana River jest wystarczająco dzikie, a autobus numer 142 z Fairbanks będzie świetną bazą wypadową na resztę lata.

Ironia losu polegała na tym, że teren - otaczający autobus gęsto zalesiony skrawek lądu - w którym McCandless zamierzał „zagubić się w głuszy”, jak na Alaskę wcale nie był głuszą. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów na wschód przebiega główna arteria, autostrada George Parks. Dwadzieścia pięć kilometrów na południe, tuż za skarpą Outer Range, setki turystów wkraczają codziennie do Denali Park drogą, patrolowaną przez Służbę Parku Narodowego. Naszemu wędrowcowi estecie nieznaną pozostały również cztery chatki, rozrzucone w promieniu dziesięciu kilometrów od autobusu. (Chociaż rzeczywiście w żadnej z nich nikt nie mieszkał latem 1992 roku).

Mimo więc stosunkowo niewielkiej odległości autobusu od namiastek cywilizacji McCandless właściwie mógł się czuć odcięty od świata. Spędził na odludziu prawie cztery miesiące, nie napotkawszy żywej duszy. Ostatecznie okazało się, że okolica

rzeki Sushana była wystarczająco oddalona, by to przypłacić życiem. W ostatnim tygodniu maja, po wniesieniu swoich nielicznych rzeczy do autobusu, McCandless wszystkie czynności planowane do wykonania wypisał sobie na kawałku kory brzozy: *Zebrać i zmagazynować lód z rzeki, żeby przechowywać w chłodzie mięso, zakryć plastikiem okna z wybitymi szybami, zebrać zapas drewna na opał, oczyścić piec.* Pod hasłem „długoterminowe” umieścił bardziej ambitne zadania: *Sporządzić mapę okolicy, skonstruować jakąś wannę, zebrać skóry i pióra na ubranie, zbudować most przez najbliższy potok, naprawić narzędzia, oznakować szlak polowań.*

Zapiski w dzienniku po powrocie do autobusu sugerują obfitość dziczyzny. 28 maja - kaczka smakosza, 1 czerwca - 5 wiewiórek, 2 czerwca - jeżozwierz, pardwa, 4 wiewiórki, ptak, 3 czerwca - kolejny jeżozwierz, 4 wiewiórki, 2 ptaki podobne do drozda, 4 czerwca - trzeci jeżozwierz, wiewiórka. 5 czerwca ustrzelił gęś kanadyjską wielkości świątecznego indyka. Następnie, 9 czerwca, upolował największą zwierzynę; *łoś!* - zapisał w dzienniku. Uradowany, dumny myśliwy zrobił zdjęcie sobie, klęczącemu nad trofeum, ze strzelbą uniesioną triumfalnie nad głową i wyrazem twarzy jednocześnie uszczęśliwionym i zdumionym; wyglądał jak bezrobotny cięć, który pojechał do Reno i niespodziewanie wygrał całą pulę, czyli milion.

Chociaż McCandless był na tyle realistą, żeby wiedzieć, że polowanie na dziką zwierzynę jest nieuniknioną częścią planu, aby żyć z tego, co da natura, jego poglądy na temat zabijania zwierząt cechowała ambiwalencja. Miał wyrzuty sumienia prawie natychmiast po zastrzeleniu łosia. Zwierzę to było stosunkowo małe, ważyło może 170 trzysta kilogramów, ale oznaczało mnóstwo mięsa. Wierząc, że zmarnowanie choćby odrobiny mięsa zwierzęcia zastrzelonego na pokarm jest moralnie naganne, McCandless spędził sześć dni harując, żeby zabezpieczyć to, co upolował, nim się zepsuje. Poćwiartował duże cielsko w gęstej chmurze much i komarów, ugotował podroby na gulasz, a następnie pracowicie w skalistym brzegu strumienia wykopał jamę, w której chciał przez wędzenie zakonserwować kawały fioletowego mięsa.

Myśliwi alaskańscy wiedzą, że najłatwiejszym sposobem przechowania dziczyzny w gęstym jest pokrojenie jej w cienkie paseczki, a następnie suszenie na powietrzu, na prowizorycznych stojakach. McCandless w swej naiwności polegał na radach myśliwych, z którymi się konsultował w Dakocie Południowej, ci radzili mu mięso wędzić, co w jego warunkach nie było łatwe. *Rzeźnictwo niezwykle trudne*, napisał w dzienniku 10 czerwca. *Hordy much i komarów. Usuwa wnętrzności, wątrobę, nerki, jedno płuco, antrykot. Znosi zad i nogę do strumienia.*

11 czerwca. Usuwa serce i drugie płuco. Przednie nogi i łeb. Znosi resztę do strumienia. Ciągnie w pobliże jamy. Próbuje wędzić.

12 czerwca. Usuwa połowę klatki piersiowej i antrykot. Może pracować tylko w nocy. Wędzarnie wciąż czynne.

13 czerwca. Znosi resztkę żeberka, łopatkę i kark do jamy. Zaczyna wędzić.

14 czerwca. Pojawiły się robaki! Wędzenie nieskuteczne. Wygląda na klęskę. Teraz żałuję, że zastrzeliłem tego łosia. Jedna z największych tragedii mojego życia.

Był zmuszony zrezygnować z konserwowania mięsa i zostawił padlinę wilkom. Chociaż karciał się srodze za zmarnowanie na próżno życia, dzień później odzyskuje już perspektywiczne spojrzenie i pisze w dzienniku: *Teraz nauczę się akceptować*

swoje błędy, choćby największe. Wkrótce po epizodzie z łosiem McCandless zaczął czytać „Walden” Thoreau. W rozdziale zatytułowanym „Prawa wyższe”, w którym Thoreau dzieli się swymi przemyśleniami na temat moralności jedzenia, McCandless zakreśla: *Kiedy złowiłem, oczyściłem, usmażyłem i zjadłem ryby, okazało się, że wcale mnie tak bardzo nie nasyciły. Było to bez znaczenia, niepotrzebne i kosztowało więcej, niż było warte.*

Łoś, napisał McCandless na marginesie i dalej zaznaczył w tym samym paragrafie:

Wstręt do pożywienia zwierzęcego nie jest wynikiem doświadczenia, ale instynktem. Pod wieloma względami wydaje się piękniejsze żyć skromnie i odżywiać się nędznie; choć ja tego nigdy nie robiłem, potrafiłem uczynić użytek ze swej wyobraźni. Wierzę, że każdy, kto chciał zachować swoje wyższe czy poetyckie zdolności w najlepszej formie, był szczególnie podatny na powstrzymywanie się od pokarmów mięsnych i w ogóle od nadmiaru wszelkiego pożywienia...

Trudno zapewnić i realizować tak prostą i czystą dietę, by nie zabrudzać wyobraźni, ale powinna ona być karmiona jednocześnie z ciałem, powinny zasiadać przy tym samym stole. Może da się tak uczynić.

Jedząc owoce z umiarem, nie musimy się wstydzić swego apetytu ani zapominać o najszlachetniejszych celach. Ale jeśli dodasz do swego pożywienia dodatkową przyprawę, może cię zatruć.

Tak, napisał McCandless, a dwie strony dalej dodał: *Świadomość jedzenia. Trzeba jeść w koncentracji... Święte Pożywienie.*

Na ostatnich stronach książki, która służyła mu za dziennik, oświadczył:

Jestem odrodzony. To mój świt. Prawdziwe życie właśnie się zaczęło.

Świadome Życie: Zwrócenie uwagi na podstawowe sprawy, stałe obserwowanie najbliższego otoczenia i jego problemów, na przykład: Praca, zadanie, książka - wszystko, co wymaga wzmożonej koncentracji. (Okoliczności nie są nic warte. Wartość ma tylko to, jaki się ma stosunek do sytuacji. Prawdziwe znaczenie polega na osobistym stosunku do zjawiska, czyli tego, co dla ciebie ono znaczy).

*Wielka Świętość **Pożywienia**, Najważniejszego Ciepła.*

Pozytywizm, Nieprześcigniona Radość Estetyki Życia.

Absolutna Prawda i Uczciwość.

Rzeczywistość.

Niezależność.

Ostateczność- Stałość- Konsekwencja.

W miarę jak McCandless stopniowo przestawał robić sobie wyrzuty z powodu zmarnowania łosia, zadowolenie, które go ogarnęło w środku maja, powracało i trwało jeszcze na początku czerwca. Wtedy, w samym środku tej idylli, nastąpiło pierwsze z dwóch decydujących niepowodzeń.

Najwidoczniej zadowolony z tego, czego nauczył się w ciągu dwóch miesięcy samotności w głuszy, McCandless postanowił powrócić do cywilizacji: nadszedł czas, by tę „ostateczną i największą przygodę” doprowadzić do szczęśliwego zakończenia i wrócić do świata ludzi, w którym można łyknąć piwka, pogadać o filozofii, poczarować nieznanymi opowieściami o swych dokonaniach. Wydaje się, że nie odczuwał już tak palącej potrzeby zaznaczenia swej odrębności, odseparowa-

nia się od rodziców. Może gotów był im przebaczyć ich niedoskonałość, może nawet darować sobie własną. McCandless wydawał się gotowy do powrotu do domu. A może nie. Możemy tylko spekulować, co miał zamiar robić po wyjściu z głuszy. Nie ma jednak wątpliwości, że miał zamiar wyjść.

Na kawałku kory brzoazowej zapisał, co musi zrobić, nim wyruszy z powrotem: *Połatać dzinsy, Ogolić się! Zorganizować pakowanie...*

Krótko po tym postawił swą minoltę na pustej puszczy po ropie i zrobił sobie zdjęcie. Jest na nim uśmiechnięty, elegancko ogolony, trzyma w ręku złotą jednorazową maszynkę do golenia, na kolanach brudnych dzinsów widać naszyte łąty z wojskowego koca. Wygląda zdrowo, ale jest strasznie chudy. Ma zapadnięte policzki. Ściągną na szyi wystają jak naciągnięte kable.

2 lipca McCandless skończył czytać „Szczęście rodzinne” Tolstoja, zaznaczając fragmenty, które go szczególnie poruszyły:

Miał rację, mówiąc, że jedyne pewne szczęście w życiu to życie dla innych...

Przeżyłem wiele, ale myślę, że teraz już wiem, czego trzeba do szczęścia. Ciche, spokojne życie na wsi, bycie w miarę możliwości użytecznym dla ludu, któremu łatwo dogodzić i który nie jest tego zwyczajny; dalej praca, która - miejmy nadzieję - będzie w jakiś sposób potrzebna; potem reszta, przyroda, książki, muzyka, miłość bliźniego - taka jest moja wizja szczęścia. A potem, na dodatek, ty jako mąż, może dzieci - czego więcej może ludzkie serce pragnąć?

Następnie, 3 lipca, założył plecak i ruszył w ponadtrzydziestokilometrową trasę do drogi. Dwa dni później, gdy był w połowie wędrówki, w olbrzymiej ulewie dotarł do stawów, utworzonych przez bobry, blokujących dojście do zachodniego brzegu Teklaniki. W kwietniu stawki były zamrożone i nie stanowiły przeszkody. Teraz musiał być przerażony, gdy zobaczył na szlaku hektarowe jezioro. Żeby nie chodzić przez ciemną, sięgającą piersi wodę, wdrapał się na strome wzgórze, okrążył stawy od północy, a później zszedł z powrotem do rzeki, u ujścia wąwozu.

Kiedy przekraczał rzekę po raz pierwszy, sześćdziesiąt siedem dni wcześniej podczas kwietniowych przymrozków, był to lodowaty, ale łagodny strumień, z wodą sięgającą kolan, przez którą po prostu przeszedł. 5 lipca Teklanika płynęła bystrym nurtem zasilona opadami deszczu i topniejącymi lodowcami z Alaska Range. Gdyby udało mu się przedostać na drugi brzeg, reszta wędrówki do szosy nie sprawiałaby trudności, musiałby jednak pokonać kanał, szeroki na jakieś trzydzieści metrów. Woda, zaledwie kilka stopni cieplejsza od lodu, którym niedawno była, miała kolor mokrego betonu. Zbyt głęboka, żeby ją przejść w bród, huczała jak pociąg towarowy. Silny prąd zwałiłby go natychmiast z nóg i poniosł dalej. McCandless słabo pływał i wyznał kilku osobom, że boi się wody. Próbując zanurzyć się w zimnym prądzie lub przepłynąć na jakiejś prowizorycznej tratwie, ryzykowałby wiele. Tuż poniżej miejsca, w którym szlak spotyka się z rzeką, Teklanika wybucha pniącym się i kotłującym nurtem, nabierając prędkości w wąskim wąwozie. Nim udało mu się przepłynąć w pław lub przepłynąć na tratwie na drugi brzeg, wiry wciągnęłyby go i utonąłby. W swoim dzienniku napisał:

Katastrofa... Zalany. Rzeka wygląda niemożliwie. Samotny, przerażony.

Słusznie wywnioskował, że prawdopodobnie zostałby porwany przez wodę i zginął, gdyby próbował przekroczyć Teklanikę w tym miejscu i w takich warunkach.

Byłoby to samobójstwo i takiej możliwości w ogóle nie należało brać pod uwagę. Gdyby przeszedł jeszcze półtora czy dwa kilometry w górę rzeki, zauważyłby, że koryto rozszerza się w labirynt mniejszych kanalików. Gdyby postępował ostrożnie, metodą prób i błędów, mógłby znaleźć miejsce, gdzie woda sięga tylko do piersi. Ponieważ prąd był silny, z pewnością zwałiłby go z nóg, ale płynąc pieskiem i podskakując na dnio, mógłby dobrać do przeciwległego brzegu, nim zepchnęłoby go w wąską gardziel lub zamrzłoby.

Byłoby to wszystko bardzo ryzykowne, a nie uznał za konieczne podejmowania takiego ryzyka. Na razie dawał sobie radę. Sądził zapewne, że jeśli będzie cierpliwie czekał, rzeka opadnie na tyle, by mógł ją pokonać. Po rozważeniu wszystkich możliwości, podjął najrozsądniejszą decyzję. Odwrócił się i zaczął iść na zachód, z powrotem w kierunku autobusu, z powrotem ku dzikości.

Rozdział 17

SZLAK STAMPEDE – 2

Przyroda była tu nieco dzika i straszna, choć piękna. Patrzyłem z podziwem na ziemię, po której stąpałem, żeby rozpoznać, jakie Siły ją stworzyły, jaka jest jej forma i materiał. Była to Ziemia, o jakiej się słuchało w opowieściach, stworzona z Chaosu i Nocy. Nie ogród ludzki, ale nietknięty ludzką ręką ziemski glob. Nie trawnik ani pastwisko, ani łąka, ani las, ani ziemia uprawna, ani ugór. Była to świeża i naturalna powierzchnia planety Ziemia takiej, jaka została stworzona na zawsze, jaką Natura przeznaczyła do użytku człowieka, on zaś nie miał z tym stworzeniem nic wspólnego. Była to Materia - rozległa, fantastyczna, nie Matka-Ziemia, jaką znamy, po której się stąpa lub w której jest się grzebanym, nie; stawała się zbyt bliska, by złożyć w niej swe kości, ta siedziba Konieczności i Losu. Czuło się obecność Siły, niełaskawej dla człowieka. Było to miejsce pogaństwa i przesądnych rytuałów, w którym zamieszkać mogli ludzie bliżsi skalom i dzikim zwierzętom niż my. Cóż znaczy wizyta w muzeum i obejrzenie niezliczonych rzeczy, w porównaniu z kontemplowaniem gwiazd i materii w ich naturalnym otoczeniu! Staję w zachwycie nad własnym ciałem, materią, z którą jestem tak związany, a jakoś obcą. Nie obawiam się zjaw, duchów, do których sam należę - to moje ciało mogłoby się bać, ale obawiam się ciał, drzę na myśl o spotkaniu z nimi. Kim jest ten tytan, który mną owładnął? Tajemnice! Pomyślcie o życiu w przyrodzie, o codziennym kontakcie z materią - skały, drzewa, wiatr na policzkach! Twardy grunt! Prawdziwy świat! Zdrowy rozsądek! Kontakt! Kontakt! Kim jesteśmy? Gdzie jesteśmy?

Henry David Thoreau,
„Ktaadn”

Rok i tydzień po tym, jak Chris McCandless postanowił nie przeprowadzać się przez

Teklanikę, stoję na przeciwległym brzegu - wschodnim, od strony autostrady - i patrzę w kipiela rzeki. Mam zamiar przejść. Chcę odwiedzić autobus. Chcę zobaczyć, gdzie umarł McCandless, aby lepiej zrozumieć dlaczego.

Goście, parne popołudnie; rzeka przepiękna jest pozostałościami z topniejącego śniegu, wciąż pokrywającego lodowce w wyższych partiach Alaska Range. Dzisiaj woda jest chyba niższa niż na zdjęciach McCandlessa sprzed dwunastu miesięcy, ale i tak przeprawa przez tę wzburzoną wodę w tym miejscu wydaje się nie do pomyślenia - woda zbyt głęboka, zbyt zimna, zbyt szybka. Gdy patrzę na Teklanikę, słyszę, jak kamienie wielkości bili od kręgli toczą się po dnie, pędzone silnym prądem. Zwaliliby mnie z nóg po kilku metrach od brzegu i wepchnął niżej w przewężenie, w którym rzeka zmienia się w kłębowisko wirów, ciągnące się bez przerwy kilka kilometrów.

W przeciwieństwie do McCandlessa mam w plecaku mapę topograficzną. Są na niej wszystkie szczegóły, na przykład ten, że 800 metrów w dół rzeki, przy gardzieli kanionu, znajduje się stacja pomiarowa zbudowana przez Amerykańskie Towarzystwo Geologiczne. Również w przeciwieństwie do McCandlessa mam trzech towarzyszy: dwóch Alaskńczyków - Romana Dialo i Dana Soliego - i przyjaciela Romana z Kalifornii, Andrew Liske'a. Stacja pomiarowa jest niewidoczna z miejsca, gdzie Szlak Stampede schodzi do rzeki, ale po dwudziestu minutach przedzierania się między jodłami i skarłowaciałymi brzoźkami Roman krzyczy:

- Mam ją! Tam! Dziewięćdziesiąt metrów dalej.

Dochodzimy i widzimy stalową linę, grubości 2,5 cm, spinającą oba brzegi, od 4,5-metrowej wieży po naszej stronie rzeki do odkrywki na przeciwległym brzegu, 120 metrów dalej. Linę przeciągnięto w 1970 roku, żeby mierzyć sezonowe wahania Teklaniki. Hydrolodzy wędrowali z jednej na drugą stronę rzeki za pomocą aluminiowego kosza, mocowanego do krążków linowych. Zrzucali z kosza linę, obciążoną ołowiem, aby zmierzyć głębokość rzeki. Stacja przestała działać dziewięć lat temu z powodu braku funduszy, a kosz miał być przyczepiony łańcuchem do wieży po naszej stronie rzeki. Kiedy jednak wspięliśmy się na szczyt wieży, kosz nie było. Spojrzałem przez wzburzoną wodę i zobaczyłem go na drugim brzegu, po stronie autobusu.

Okazało się, że kilku miejscowych myśliwych odcięło łańcuch i przeciągnęło kosz na tę stronę, aby trudniej było obcym dotrzeć na ich tereny łowieckie. Kiedy McCandless próbował wydostać się stąd rok temu, kosz znajdował się tam, gdzie obecnie, po jego stronie kanionu. Gdyby o tym wiedział, przekroczenie Teklaniki byłoby dziecinnie proste. Nie mógł się jednak domyślić, że ratunek był tak blisko, ponieważ nie miał mapy topograficznej.

Andy Horowitz, jeden z kolegów McCandlessa z drużyny przełajowej żartował, że „Chris urodził się w nieodpowiedniej epoce. Pragnął więcej swobody i przygód, niż można znaleźć we współczesnym świecie”. Przyjeżdżając na Alaskę, marzył, że będzie wędrował po nieopisanej jeszcze krainie, że znajdzie białe plamy na mapie. Ale w 1992 roku nie było już na mapach białych plam, ani na Alasce, ani nigdzie indziej. Chris, ze swą niecodzienną logiką, znalazł eleganckie rozwiązanie: po prostu pozbył się mapy, rozumując, że wstępuje na *terra incognita*. Ponieważ nie miał mapy, kolejka linowa przez rzekę też pozostała *incognita*. Badając bystry nurt

Teklaniki, McCandless doszedł do fałszywego wniosku, że nie da się przedostać na wschodni brzeg. Sądząc, że ma odciętą drogę powrotu, udał się znów do autobusu, co wydawało się logiczne z jego nieznamościami topografii. Dlaczego jednak pozostał w autobusie, żeby umrzeć z głodu? Dlaczego, gdy nadszedł sierpień, nie spróbował jeszcze raz przekroczyć Teklaniki, kiedy woda już znacznie opadła i można było bezpiecznie ją sforsować?

Zaniepokojony tymi pytaniami, pocieszałem się, że rdzewiejący kadłub autobusu nr 142 dostarczy mi jakichś wskazówek. Aby dotrzeć do autobusu, ja również muszę przedostać się na drugą stronę, a aluminiowy wagonik jest wciąż przyczepiony na przeciwległym brzegu. Stojąc na wieży, do której przymocowano linę, przyczepiam się do niej karabinkiem i zaczynam mozolną wędrówkę na drugą stronę, przekładając ręce „trawersem tyrolskim”, jak nazywają to wspinacze. Sposób okazuje się o wiele bardziej wyczerpujący, niż sobie wyobrażałem. W końcu po dwudziestu minutach, kompletnie wykończony, znajduję się na małej platformie po drugiej stronie. Nie mogę unieść rąk. Wreszcie łapię oddech, wskakuję do aluminiowego pudła o wymiarach 60 na 120 cm, odczepiam łańcuch i wracam na wschodni brzeg, żeby zabrać swoich towarzyszy.

Na środku rzeki lina się opuszcza, więc wagonik przyśpiesza siłą własnego ciężaru, tocząc się coraz szybciej i szybciej do niższego punktu. Fantastyczna jazda. Przemykając nad wirami z prędkością trzydziestu czy czterdziestu kilometrów na godzinę, czuję, że instynktownie chcę krzyknąć ze strachu, ale uświadamiam sobie, że nic mi nie grozi, i odzyskuję równowagę. Gdy znajdujemy się już we czwórce po zachodniej stronie kanionu, po pół godzinie przedzierania się przez gęstwinę wchodzimy z powrotem na Szlak Stampede. Piętnaście kilometrów, które dotychczas pokonaliśmy, było łagodnych i stosunkowo łatwych do przejścia. Następných kilkanaście, jakie mamy przed sobą, ma zupełnie inny charakter.

Ponieważ wiosną i latem niewiele osób przekracza Teklanikę, większa część trasy jest niewyraźna i zarośnięta. Tuż za rzeką szlak skręca na południowy zachód, korytem bystrego strumienia. A ponieważ bobry zbudowały skomplikowaną sieć tam w poprzek nurtu, trasa wiedzie przez ponad hektar stojącej wody. Stawy bobrów nie są nigdy zbyt głębokie, sięgają zaledwie do piersi, ale woda jest zimna, a w miarę jak posuwamy się do przodu, stopy grzęzną w cuchnącym szlamie. Trasa prowadzi przez wzgórze za najwyższym stawem, następnie znów kamienistym korytem, po czym wraca w roślinny gąszcz. Nie stwarza specjalnych trudności, ale ponadczterometrowe olszyny otaczające nas ze wszystkich stron sprawiają ponure, deprymujące wrażenie. Z wilgotnego gorąca wyłaniają się chmury komarów. Co parę minut do ich intensywnego bzyczenia dołącza się huk odległego grzmotu, rozlegającego się z burzowych chmur nad tajgą. Łydki mam pokrwawione ostrymi gałęziami. Co jakiś czas napotykamy niedźwiedzie odchody, a w pewnej chwili - świeże ślady grizzly. Każdy z nich ma wielkość podwójnego rozmiaru buta nr 9 i trochę mnie to niepokoi. Żaden z nas nie ma broni.

- Hej, grizzly - rzucam w przestrzeń, mając nadzieję, że nie dojdzie do spotkania. - Hej, misiu, my tylko przechodzimy! Nie denerwuj się!

W ciągu ostatnich dwudziestu lat byłem na Alasce chyba ze dwadzieścia razy, jako wspinacz, cieśla, poławiacz łososia, dziennikarz, żeby się trochę pokręcić i

powygłupiać. Podczas tych licznych wędrówek dużo czasu spędziłem sam i zwykle bardzo to sobie chwaliłem. Wyprawę do autobusu też planowałem odbyć samotnie i kiedy mój przyjaciel Roman wprosił się na nią z dwoma kolegami, byłem zły. Teraz jednak jestem im wdzięczny za towarzystwo. Coś niepokoi w tym gotyckim, zarośniętym krajobrazie. Czuje się, że teren jest bardziej zdradliwy niż inne, odleglejsze zakątki tego stanu, jakie znam - pokryte tundrą stoki Brooks Range, Archipelag Alexander czy zamrożony, owiany wiatrem masyw Denali. Cieszę się jak diabli, że nie jestem tu sam.

O dziewiątej wieczorem docieramy do zakrętu, za którym na małej polance stoi autobus. Różowe gałęzie obrastają kola powyżej osi. Autobus nr 142 z Fairbanks parkuje obok zagajnika osiki, jakieś dziesięć metrów od zbocza łagodnego wzgórza, z widokiem na Sushana River i jej mniejszy dopływ. Bardzo malownicze, jasne miejsce i trudno się dziwić, że McCandless postanowił założyć tu bazę.

Zatrzymujemy się w pewnej odległości od autobusu i patrzymy nań w milczeniu. Widzimy starą, odpryskującą farbę. Brakuje kilku szyb w oknach. Wokół pojazdu walają się setki małych kosteczek, pozostałość po posiłkach McCandlessa. Na środku tego pobojowiska leży jeden większy szkielet: łosia, którego zastrzelił, a później nad nim rozpaczał.

Kiedy rozmawiałem z Gordonem Samelem i Kenem Thompsonem wkrótce po tym, jak odkryli ciało McCandlessa, obaj byli absolutnie zgodni, że szkielet był pozostałością karibu, i śmiali się z ignorancji żółtodzioba, który mógł pomylić te zwierzęta.

- Wilki trochę porozrzuciły kości - powiedział mi Thompson - ale to na pewno był karibu. Ten chłopak w ogóle nie miał pojęcia.

- Oczywiście, że karibu - poparł go Samel. - Kiedy przeczytałem w gazecie, że zabił, jak uważał, łosia, wiedziałem od razu, że to żaden Alaskańczyk. Jest wielka różnica między łosiem a karibu. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby tego nie zauważyć.

Wierząc Samelowi i Thompsonowi, doświadczonym myśliwym z Alaski, którzy upolowali niejednego łosia i karibu, opisałem tę pomyłkę w artykule dla „Outside”, potwierdzając opinię niezliczonej rzeszy czytelników, że McCandless był fatalnie przygotowany i nie miał prawa wybierać się w jakąkolwiek dzicz, a co dopiero na takich rubieżach. McCandless umarł nie tylko przez własną głupotę, ale - jak napisał jeden z korespondentów na Alasce - *zakres i styl tej wymyślonej przez niego przygody był tak skromniutki, że aż śmieszny: przemieszkwanie w starym autobusie parę kilometrów od Healy, jedzenie ptaszków i wiewiórek, pomylenie łosia z karibu... Jednym słowem, facet był niekompetentny.*

Wśród autorów listów potępiających McCandlessa większość uważała, że pomylenie łosia z karibu było dowodem na to, że nie miał pojęcia o trwaniu w dziczy. Nie wiedzieli jednak, że wbrew temu, co napisałem w „Outside”, zwierzę, które McCandless zastrzelił, było jednak łosiem, co potwierdziły późniejsze badania i zdjęcia, które zrobił Chris. Popęłił kilka błędów na Szlaku Stampede, ale nie należało do nich pomylenie łosia z reniferem.

Ominąwszy kości, zbliżam się do autobusu i wchodzę przez zapasowe wejście z tyłu. Wprost na zniszczony materac, na którym skończył życie McCandless. Z

jakiegoś powodu zaskakuje mnie widok jego rozłożonych rzeczy: zielona, plastikowa menażka, mała buteleczka tabletek do odkażania wody, pojemniczek po zużytych sztyfcie na skaleczenia, ocieplane spodnie lotnicze, jakie kupuje się w sklepach z używanym sprzętem wojskowym, tani egzemplarz bestsellera „O Jerusalem!”, wełniane rękawice, buteleczka płynu Muskol przeciw owadom, pudełko zapalek i brązowe buty robocze z wyblakłym napisem *Gallien* na mankietach. Mimo kilku wybitych okien powietrze wewnątrz jest ciężkie i stęchłe.

- Tfu, śmierdzi zdechłymi ptakami - zauważa Roman.

Po chwili znajduję źródło tego odoru: plastikową torbę pełną pierza, puchu i rozerwanych ptasich skrzydeł. Być może McCandless przechowywał je, żeby ocieplić sobie ubranie lub zrobić poduszkę. Bliżej frontu autobusu, na prowizorycznym stoliku z dykty, obok lampy naftowej, ustawione są garnki i naczynia McCandlessa. Długi, skórzany pokrowiec z fachowo wrytym inicjałem R.F., który Ronald Franz dał Chrisowi do maczety w Salton City. Niebieska szczotka do zębów leży obok zużytej do połowy pasty Colgate, przy niej nitki do czyszczenia zębów i złota koronka na trzonowy ząb, która mu spadła trzy tygodnie po przyjeździe. Trochę dalej leży czaszka wielkości arbuza, z której wystają wielkie kły. To czaszka niedźwiedzia grizzly, którego zastrzelił któryś z poprzedników McCandlessa. Wokół dziury po kuli Chris wypisał starannie: *Witaj upiorze niedźwiedzia, bestii, która siedzi w nas wszystkich. Alexander Supertramp. Maj 1992.*

Widzę, że blaszane ścianki autobusu pokryte są napisami, wykonanymi przez licznych wędrowców, jacy odwiedzali autobus w poprzednich latach. Roman pokazuje mi ślad, który pozostawił w autobusie cztery lata temu, w drodze na Alaska Range: *Zjadacze makaronu w drodze do jeziora Clark 8/89.* Większość ludzi tak jak Roman uwieczniła zaledwie nazwisko i datę. Najdłuższy napis to jeden z kilku pozostawionych przez McCandlessa, proklamacja radości, rozpoczynająca się ukłonem w kierunku ulubionej piosenki Rogera Millera: *Dwa lata chodzi po ziemi, bez telefonu, bez basenu, bez zwierzaków, bez papierosów, totalna wolność. Ekstremista, wędrowiec esteta, którego domem jest droga.*

Tuż pod napisem znajduje się piecyk, zrobiony z zardzewiałej beczki po oleju. W jego otwarte drzwiczki wepchnięto trzyipółmetrowy pień świerku, na którym wiszą dwie pary podartych lewisów, jak gdyby miały się tu suszyć. Jedna para, 30 na 32, posklejana jest srebrną taśmą izolacyjną, druga - naprawiona staranniej, połatana na kolanach i na siedzeniu skrawkami starej narzuty na łóżko. Ta druga ozdobiona jest paskiem z koca. Sądzę, że McCandless zmuszony był zrobić pasek, kiedy schudł tak, że spodnie mu spadały.

Siedząc na metalowej pryczy naprzeciw piecyka, napotykam wzrokiem dalsze ślady obecności McCandlessa. Tu obcinacz do paznokci, tam zielony, nylonowy namiot, osłaniający okno bez szyby. Obok piecyka ustawione starannie jego buty turystyczne, jakby miał zaraz wrócić, włożyć je, zawiązać i ruszyć w drogę. Czuję się niezręcznie, jak intruz, który wślizgnął się do sypialni podczas chwilowej nieobecności gospodarza. Robi mi się trochę słabo i prędko wychodzę, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Godzinę później, o zmroku, rozpalamy ognisko. Deszcz, który już przestał padać, oczyścił atmosferę z mgiełki i widać bardzo wyraźnie nawet odległe wzgórze. Na

północnym zachodzie na horyzoncie, pod chmurami, widać płonące niebo. Roman wyjmuje steki z łosia, którego ustrzelił we wrześniu na Alaska Range, i układa je na poczeriałym grillu, którego używał McCandless do przyrządzania swojej dziczyzny. Tuszcz skapuje i skwierczy na węglach. Jedząc rękami chrupiące mięso, trzepiemy komary i rozmawiamy o tej dziwnej postaci, której żaden z nas nie znał, próbując zrozumieć, co nim powodowało i dlaczego niektórzy ludzie tak nim pogardzali za to, że tutaj umarł. Według nich, McCandless przyjechał tu z niewystarczającą ilością zapasów, brakowało mu koniecznego wyposażenia, jak strzelby dużego kalibru, mapy, kompasu i siekiery. Uznano to za dowód nie tylko głupoty, ale i grzech arogancji. Niektórzy krytycy znajdowali nawet paralele między McCandlessem a najsłynniejszą postacią Arktyki, sir Johnem Franklinem, dziewiętnastowiecznym oficerem marynarki brytyjskiej, którego pewność siebie i pycha doprowadziły do śmierci 140 osób oraz jego własnej.

W roku 1819 admiralicja wyznaczyła Franklina do prowadzenia ekspedycji w dzikie obszary północno-zachodniej Kanady. W dwa lata po opuszczeniu Anglii zima zaskoczyła tę małą grupkę osób, gdy przeprawiały się przez rozległą i pustą tundrę. Żywność się skończyła. Zwierzyny było mało, więc Franklin i jego ludzie musieli zeskrobywać porosty z pni, przeszukiwać kryjóWKi saren, wysysać kości zwierząt, skórę z własnych butów, a w końcu dwaj ludzie zostali zabici i zjedzeni. Na podejrzanym o morderstwo wykonano egzekucję, a osiem osób zmarło z wycieńczenia. Sam Franklin był bliski śmierci, gdy uratowała ich banda Metysów.

Ten wytworny dżentelmen wiktoriański był podobno człowiekiem o dziecięcych ideałach, nieprzystosowanym do życia w prymitywnych warunkach; absolutnie nieprzygotowanym do prowadzenia takiej ekspedycji. Po powrocie do Anglii nazywano go Człowiekiem, Który Zjadł Swoje Buty, ale raczej z podziwem niż z kpina. Wystawiano go jako bohatera narodowego, awansowano w admiralicji na kapitana, sownie opłacono jego spisane wspomnienia, a w końcu w 1825 roku powierzono dowodzenie kolejną ekspedycją. Wyprawa przebiegła bez większych problemów, ale w 1845 roku, w nadziei znalezienia nareszcie słynnego przejścia północno-zachodniego, Franklin popełnił błąd i wyjechał na Arktykę po raz trzeci. Więcej nie słyszano ani o nim, ani o żadnym z jego 128 podkomendnych. Wyślano na ich poszukiwanie czterdzieści kilka ekspedycji, które ustaliły, że wszyscy zginęli z głodu i wyczerpania.

Gdy znaleziono martwego McCandlessa, porównywano go z Franklinem nie tylko dlatego, że obaj umarli z głodu, ale o obu mówiono, że brakowało im skromności i szacunku dla ziemi. Sto lat po śmierci Franklina słynny podróżnik Vilhjalmur Stefansson przypominał, że Anglik nie zadał sobie nigdy trudu, aby nauczyć się sposobów przetrwania praktykowanych przez Indian i Eskimosów „od pokoleń, poczynających od wychowywania małych dzieci do opieki nad starszymi” w surowym klimacie, który zabił Franklina. (Stefansson jakoś zapomniał napisać o tym, że wielu Indian i Eskimosów również umarło z głodu).

Franklin traktował przyrodę jak antagonistę, którego trzeba podbić siłą, dobrym zachowaniem, wiktoriańską dyscypliną. Zamiast żyć w harmonii z naturą i polegać na ziemi jako źródle utrzymania, jak to robią tubylcy, chciał się izolować od północnej przyrody za pomocą nieodpowiedniego sprzętu wojskowego i tradycji.

Arogancja McCandlessa miała inne źródła. Poszedł on zbyt daleko w przeciwnym kierunku. Próbował żyć wyłącznie płodami przyrody, i to nie zadając sobie trudu, żeby przedtem opanować niezbędne umiejętności. Nie znaczy to jednak, że należy oskarżać McCandlessa o złe przygotowanie. To prawda, że był zielony i przeliczył się z siłami, ale dostatecznie wyszkolony, żeby przetrwać szesnaście tygodni, polegając tylko na własnych umiejętnościach i pięciu kilogramach ryżu. Wkraczając w głuszę, był świadom tego, że może sobie pozwolić tylko na minimalny margines błędu, bo miał zbyt wiele do stracenia.

Nie ma nic niezwykłego w tym, że młody człowiek fascynuje się czymś, co starsi uważają za ryzykowne. Nie jest wyłączną specyfiką naszych czasów, że niebezpieczeństwo ma pewien urok. W dużej mierze dlatego właśnie nastolatki jeżdżą z nadmierną prędkością, za dużo piją i zażywają narkotyki, dlatego zawsze łatwo znaleźć młodych ochotników na wojnę. Można się tylko spierać, czy jest to zachowanie nabyte czy zakodowane w naszych genach. McCandless po prostu przejawiał skłonności do ryzykanctwa w stopniu ponadnormalnym. Odczuwał potrzebę sprawdzania się w sytuacjach, jak to nazywał, „znaczących”. Posiadał wielkie, ktoś mógłby powiedzieć, przesadne, ambicje. Zgodnie z charakteryzującym go moralnym absolutyzmem, wyzwanie, w którym ma się gwarancję pozytywnego rezultatu, nie jest w ogóle wyzwaniem.

Oczywiście, ryzykowne działania nie są wyłączną domeną młodych. Pamiętamy Johna Muira głównie jako rzeczowego konserwatystę, prezesa i założyciela Sierra Club, ale był on również odważnym poszukiwaczem przygód, zdobywcą szczytów, lodowców i wodospadów; w jego najlepszym eseju znajduje się opis upadku, który w 1872 roku przy zdobywaniu szczytu Ritter o mało nie doprowadził do tragicznej śmierci. Innym razem Muir opisuje gwałtowną wichurę w Sierra, jaką z wyboru przeżył na jednym z najwyższych konarów trzydziestometrowej jodły:

Nigdy jeszcze nie doświadczyłem tak radosnego poczucia ruchu. Wiotkie czubki drzew miotają się i gięły w tył i w przód w szaleńczym tempie, dookoła i dookoła, zaznaczając niewyobrażalne kombinacje poziomych i pionowych krzywych, a ja przywarłem do pnia, całą siłą mięśni, jak ptak na trzcinie.

Miał wtedy trzydzieści sześć lat. Można sądzić, że nie uznałby McCandlessa za jakiegoś strasznego dziwaka.

Nawet stateczny, zrównoważony Thoreau, który oświadczył, że wystarczyły mu liczne podróże po okolicy miasta Concord w Massachusetts, odczuł potrzebę odwiedzenia groźniejszych, dzikich okolic dziewiętnastowiecznego Maine i wspięcia się na szczyt Katahdin. Wejście na „dzikie i straszne, choć piękne” zbocza przeraziło go, ale jednocześnie wzbudziło w nim olbrzymi podziw. Niepokój, który odczuł na granitowych szczytach Katahdin, zaowocował najlepszymi utworami Thoreau i znacznie wzbogacił jego sposób myślenia o ziemi w surowym, niecywilizowanym stanie.

W przeciwieństwie do Muira i Thoreau, McCandless wszedł w dzikie ostępy nie po to, by kontemplować przyrodę czy świat, ale raczej odkryć wnętrze swojej duszy. Wkrótce jednak doświadczył tego, co Muir i Thoreau już wiedzieli: dłuższy pobyt w głuszy nieuchronnie kieruje naszą uwagę na zewnątrz w tym samym stopniu, co do wnętrza.

Nie można żyć płodami ziemi, nie rozwijając zrozumienia i związków uczuciowych z tą ziemią i wszystkim, co z nią się łączy.

Zapiski w dzienniku McCandlessa zawierają niewiele uogólnień na temat dzikiej przyrody czy w ogóle śladów jakichś przemysłów. Prawie nie ma opisów scenerii. Jak to podsumował przyjaciel Romana, Andrew Liske, czytając fotokopię dziennika, „te notatki są prawie wyłącznie o tym, co jadł. Pisał właściwie tylko o jedzeniu”.

Andrew nie przesadza: dziennik jest spisem znalezionych roślin i zabitej dziczyzny. Byłoby jednak błędem sądzić, że McCandless nie zauważał piękna otaczającej go przyrody. Jak to ujął ekolog Paul Shepard:

Beduini - nomadzi - nie roztkliwiają się nad scenerią, nie malują krajobrazów ani nie spisują nieużytecznej historii naturalnej... Ich życie jest tak splecione z naturą, że nie ma w nim miejsca na abstrakcje, estetykę, filozofię przyrody, które są oddzielone od reszty życia... Przyroda i ich wzajemne związki są sprawą śmiertelnie poważną, kojarzą się z konwencją, tajemnicą, niebezpieczeństwem. Rozrywka nie jest związana z ingerowaniem w procesy przyrody. W ich życiu jest stałą świadomością różnorodności terenu, nieprzewidywalności pogody, tego wąskiego marginesu, któremu nieraz zawdzięczają swą egzystencję.

Mniej więcej to samo można by powiedzieć o McCandlessie w ciągu tych miesięcy, jakie spędził nad Sushana River. Łatwo byłoby przedstawić go stereotypowo, jako nadwrażliwego chłopaka, który się naczytał książek i nie miał ani krztyny zdrowego rozsądku. Ale ten stereotyp niezbyt do niego pasuje. McCandless nie był żadnym nieudolnym marudą ani próżniakiem, ani zagubioną ofiarą, targaną niepokojami egzystencjalnymi. Wręcz przeciwnie, jego życie miało sens i cel. Tyle, że ten cel leżał poza wygodną drogą, Alex nie wierzył w rzeczy, które przychodziły łatwo. Wymagał od siebie bardzo wiele, jak się okazało więcej, niż mógł z siebie dać.

Starając się wyjaśnić nietypowe zachowania Chrisa, niektórzy ludzie przypominali, że, podobnie jak John Waterman, był niewysoki; mógł mieć „kompleks niskiego mężczyzny” i musieć dowodzić swej męskości niezwykle popisami sprawności fizycznej. Inni uważali, że u podstaw tej nieszczęsnej odysei leżał nierozwiązany konflikt Edypa. Aczkolwiek może być jakieś ziarno prawdy w obu tych przypuszczeniach, taka pośmiertna psychoanaliza jest bardzo wątpliwym i trywializującym posunięciem. Nie wiadomo, czy dochodzimy do prawdy,

redukując nieznanne duchowe pragnienia Chrisa McCandlessa do zaburzeń psychicznych.

Roman, Andrew i ja patrzymy w żar i do późna w noc rozmawiamy o McCandlessie. Roman, który ma trzydzieści dwa lata, jest bardzo dociekliwy i szczery, zrobił doktorat z biologii w Stanford i zdradza niezmienną nieufność do konwencjonalnej mądrości. Spędził wczesną młodość w tych samych dzielnicach Waszyngtonu co McCandless i też odbierał je jako tłamszące. Po raz pierwszy przyjechał na Alaskę w wieku lat dziewiętnastu, aby odwiedzić trzech wujków, którzy pracowali w kopalniach węgla w Usibelli, i natychmiast pokochał wszystko, co wiązało się z Północą. W ciągu następnych lat wielokrotnie powracał do czterdziestego dziewiątego stanu. Po ukończeniu liceum w roku 1977 jako najlepszy w klasie w wieku szesnastu lat przeprowadził się do Fairbanks i Alaska została jego domem.

Teraz Roman wykłada na Alaska Pacific University w Anchorage i znany jest w całym stanie ze swych niezwykłych eskapad. Między innymi przebył Brooks Range o długości 1600 km pieszo i na kajaku, przejechał na nartach w strasznie mroźną zimę 280 km przez Arktyczny Rezerwat Narodowy, przeszedł 800 km grzbietem Alaska Range i zaliczył około trzydziestu pierwszych wejść na różne północne szczyty. I Roman nie widzi wielkiej różnicy między własnymi uznanymi dokonaniem a przygodą McCandlessa; z tą różnicą, że McCandless miał nieszczęście umrzeć.

Podnoszę temat arogancji McCandlessa i jego głupich błędów, zwłaszcza dwóch lub trzech, które zaważyły na jego życiu.

- Jasne, spieprzył - odpowiada Roman - ale podziwiam to, co usiłował zrobić. Życie wyłącznie tym, co przyniesie ziemia, miesiąc po miesiącu, jest niezwykle trudne. Nigdy tego nie próbowałem i założę się, że nie robił tego nikt z krytykujących go, a w każdym razie nie tak długo. Żyć w dzikich ostępach i żyć tylko tym, co się upoluje lub uzbiera... Ludzie nie mają pojęcia, jakie to trudne. A jemu prawie się udało. Właściwie identyfikuję się z tym facetem. - Roman grzebie kijem w ognisku. - Wstyd się przyznać, ale parę lat temu zdarzyło mi się coś podobnego. Kiedy zacząłem przyjeżdżać na Alaskę, byłem tak samo zielony jak McCandless i tak samo szalony. Przypuszczam, że jest sporo Alaskńczyków bardzo do niego podobnych, łącznie z jego krytykami. Może właśnie dlatego są tacy okrutni. Może za bardzo przypominają im, jacy byli.

Uwagi Romana podkreślają, jak trudno jest zrozumieć nam, zajęтым problemami dorosłego życia, marzenia i pasję, które nami powodowały w młodości. Rozmyślał o tym ojciec Everetta Ruessa, kiedy jego dwudziestoletni syn zaginął na pustyni:

- Starsi nie zdają sobie sprawy z porwów duszy młodego człowieka. My wszyscy nie bardzo rozumieliśmy Everetta.

Roman, Andrew i ja siedzimy jeszcze po północy, starając się pojąć tajemnicę życia i śmierci McCandlessa, ale jej istota pozostaje niejasna. Stopniowo rozmowa zamiera. Kiedy odchodzę od ogniska, żeby znaleźć miejsce na rozłożenie śpiwora, pierwsze delikatne odbłaski świtu rozjaśniają północno-wschodni skraj nieba. Chociaż komary są bardzo natarczywe i autobus byłby jakimś schronieniem przed nimi, postanawiam nie kłaść się w nr. 142 Fairbanks. Jak zauważam, zapadając w sen, inni też tego nie robią.

Trudno jest współczesnemu człowiekowi wyobrazić sobie, jak można żyć efektów polowania. Los myśliwego jest trudną, wydawałoby się, ciągłą, wędrówką... Nieustannym zmartwieniem, że następne zasadzenie się będzie nieskuteczne, że pułapka zawiedzie albo że stado w tym sezonie się nie pojawi. Niesie z sobą ciągle zagrożenie śmiercią głodową.

John M. Campbell, „Głodne lato”

A cóż to jest historia? To wytyczenie trwających przez wieki prac, poświęconych rozwiązaniu zagadki śmierci i pokonaniu jej w przyszłości. Po to odkrywa się matematyczne nieskończoności i fale elektromagnetyczne, po to pisze się symfonie. Nie sposób iść naprzód w tym kierunku bez wstępu duszy. Odkryciom tym niezbędne są podniety duchowe. Przesłanki do tego zawiera Ewangelia. Oto one: po pierwsze, miłość bliźniego, ten najwyższy rodzaj żywej energii, przepelniającej serce człowieka i domagającej się ujęcia i rozprzestrzeniania, następne zaś to główne części składowe współczesnego człowieka, bez których jest on nie do pomyślenia, a mianowicie idea wolności osobistej i idea życia jako ofiary.

Borys Pasternak, „Doktor Żywago”

Fragment zaznaczony w jednej z książek znalezionych przy szczątkach Christophera McCandlessa, z jego podkreśleniami

8 lipca, gdy próba opuszczenia dzikich ostępów nie powiodła się z powodu wysokiego stanu wód Teklaniki, McCandless powrócił do autobusu. Trudno się domyślić, co mu wówczas chodziło po głowie, bo w dzienniku nie ma niczego na ten temat. Możliwe, że nie przejął się nadmiernie odcięciem drogi powrotu, zresztą wtedy jeszcze nie miał się czym martwić. Była pełnia lata, ziemia rodziła życie roślinne i zwierzęce i miał co jeść. Sądził zapewne, że jeśli przetrwa do sierpnia, wody Teklaniki opadną na tyle, że da się przez nią przejść.

Rozgościwszy się na nowo w skorodowanej powłoce Fairbanks nr 142, powrócił do polowania i zbieractwa. Czytał „Śmierć Iwana Ilicza” Tolstoja i „Terminal Man” Michaela Crichtona. W dzienniku zapisał, że łało równy tydzień. Dzikiej zwierzyny było pod dostatkiem: w ciągu ostatnich trzech tygodni lipca zastrzelił trzydzieści pięć wiewiórek, cztery głuszce, pięć sójek i dzieciółów, dwie żaby, a posiłku dopełniały dzikie ziemniaki, dziki rabarbar, różnego rodzaju jagody i duże ilości grzybów. Mimo pozornej różnorodności mięso, które udało mu się zdobyć, było bardzo chude i spożywał znacznie mniej kalorii, niż spalał. Po przeżyciu przez trzy miesiące na niezwykle skromnej diecie McCandless doszedł do potężnego deficytu kalorycznego. Balansował w bardzo niebezpiecznym miejscu. I wtedy, pod koniec lipca, popełnił błąd, który fatalnie pogorszył jego sytuację.

Właśnie skończył czytać „Doktora Żywago”, napisał kilka notatek na marginesach i podkreślił kilka fragmentów:

Lara szła wzdłuż nasypu dróżką wydeptaną przez pątników i wędrowców i skręcała na łąkową ścieżynę, prowadzącą do lasu. Tu zatrzymywała się i z

zamkniętymi oczami chłonęła wonne powietrze rozpościerających się wokół rozległych przestrzeni. Było jej ono bliższe niż ojciec i matka, miłsze niż ukochany i mądrzejsze niż książka. Na mgnienie znów ukazywał się Larze sens istnienia. Jest tutaj - myślała - po to, by pojąć szaleńcze piękno ziemi i wszystko nazwać po imieniu, a jeżeli będzie to ponad jej siły, by z miłości do życia urodzić swych następców, którzy uczynią to za nią. Przyroda/Czystość

wydrukował starannie na górze strony.

Och, jak chciałoby się czasem uciec od tej bezsensownej nudy ludzkiego gadulstwa, od tych wszystkich górnołotnych wyrażań, schronić się wśród przyrody, takiej cichej, albo pogrążyć się w ciężkiej pracy, głębokim śnie, prawdziwej muzyce lub w ludzkim porozumieniu dusz, nie wymagającym słowa!

McCandless zaznaczył ten paragraf, a „schronić się wśród przyrody” otoczył kółkiem czarnym atramentem. Obok:

Okazało się więc, że tylko życie podobne do życia wokół nas, przenikające się równomiernie, jest życiem prawdziwym, i że szczęście, którym się nie dzieli, nie jest szczęściem... I to było najbardziej dokuczliwe.

Zanotował: *Shczęście prawdziwe, tylko gdy dzielone.*

Ostatnie twierdzenie można uznać za kolejny dowód, że długi okres samotności zmienił go zasadniczo. Może to oznaczać, że był gotowy do zrzucenia pancerza, jaki nosił na sercu, że powracając do cywilizacji, miał zamiar zaniechać życia samotnego wagabundy, przestać uciekać od bliskich związków i stać się członkiem społeczności. Ale tego nigdy się nie dowiemy, bowiem „Doktor Żywago” był ostatnią książką, jaką Chris McCandless przeczytał.

Dwa dni po skończeniu książki, 30 lipca, w dzienniku pojawia się złowieszczy wpis: *Strasznie słaby. Wadliwe wypróżnienie. Nasiona. Kłopoty ze staniem. Umiera z głodu. Wielkie zagrożenie.* Przed tą notatką nie ma niczego, co wskazywałoby na to, że McCandless był w tarapatach. Skromniutka dieta sprawiła, że wyglądał jak skóra i kości, ale wydawał się w miarę zdrowy. Później, po 30 lipca, jego stan nagle się pogorszył. Przed 19 sierpnia już nie żył.

Istnieje wiele domysłów na temat przyczyny tak dramatycznego zwrotu. Po identyfikacji szczątków McCandlessa Wayne Westerberg przypominał sobie, że Chris mógł kupić przed wyjazdem na północ jakieś nasiona, łącznie z nasionami ziemniaka, bo miał zamiar założyć w ostępach ogród warzywny. Według jednej z teorii, nigdy tego ogrodu nie założył (ja w każdym razie nie zauważyłem śladów w okolicy autobusu) i pod koniec lipca był tak głodny, że zjadł nasiona, którymi się otruł. Są lekko toksyczne, gdy zaczynają kiełkować. Zawierają solaninę, która powoduje wymioty, biegunkę, ból głowy i letarg przy krótkotrwałym używaniu, natomiast spożywana dłużej wpływa ujemnie na tętno i ciśnienie krwi. Teoria ta ma jednak poważną lukę, mianowicie, żeby poważnie zatruć się nasionami ziemniaka, Chris musiałby zjeść wiele kilogramów, a jeśli się weźmie pod uwagę jego lekki plecak w momencie, gdy Gallien go wysadzał, jest prawie niemożliwe, żeby miał ich przy sobie więcej niż kilka gramów, jeśli w ogóle je miał.

Inne scenariusze biorą pod uwagę nasiona zupełnie innego ziemniaka i ta wersja

wyduje się bardziej prawdopodobna. Na stronach 126 i 127 „Tanaina Plantlore” opisano roślinę, zwaną dzikim ziemniakiem przez Indian, którzy zbierali ten podobny do marchewki korzeń. Roślina, znana botanikom pod nazwą *Hedysarum alpinum*, rośnie na piaszczystym gruncie w całym regionie. Według „Tanaina Plantlore”, *korzeń dzikiego ziemniaka jest prawdopodobnie najważniejszym pożywieniem Indian Deno'ina, poza dzikimi owocami. Jedzą go na różne sposoby - surowy, gotowany, pieczony lub smażony, a najchętniej maczany w oleju lub tłuszczu, w którym go również przechowują.* Dalej autorzy piszą, że najlepszym okresem do wykopywania dzikich ziemniaków jest wiosna, jak tylko ziemia rozmarza, bo latem robi się suchy i twardy.

Priscilla Russell Kari, autorka „Tanaina Plantlore”, wyjaśniała mi, że wiosna była naprawdę ciężkim okresem dla Indian, zwłaszcza w dawnych czasach. Często zwierzyna i ryby jeszcze się nie pojawiały, więc polegali na dzikich ziemniakach jako głównym pożywieniu. Bardzo słodkie, były i wciąż są czymś, co rzeczywiście lubią.

Dziki ziemniak rośnie nad ziemią jako krzaczaste kilkudziesięciocentymetrowe ziele, z łodyżkami o delikatnych, różowych kwiatach, przypominających miniaturki kwiatów pachnącego groszku. Korzystając z informacji w książce Kari, McCandless zaczął wykopywać i zjadać korzenie dzikich ziemniaków 24 czerwca, najwidoczniej bez ujemnych skutków. Później, 14 lipca, zaczął również zjadać strączki rośliny, wyglądające jak groszki, bo zapewne korzenie stały się zbyt twarde. Na zdjęciu, które zrobił w tym okresie, widać torbę plastikową zapinaną na suwak, pełną takich nasion. A później, 30 lipca, taki wpis do dziennika: *Strasznie słaby. Wadliwe wypróżnienie. Nasiona...*

Na następnej stronie „Tanaina Plantlore” następuje opis spokrewnionego gatunku, dzikiego groszku pachnącego, *Hedysarum mackenzii*. Choć jest to roślina nieco mniejsza, ale tak podobna do dzikiego ziemniaka, że czasem nawet zawodowi botanicy mają kłopoty z ich odróżnieniem. Jest tylko jedna różnica, ale można ją traktować jako znaczącą: pod spodem małych, zielonych listków dzikiego ziemniaka znajdują się wyraźne boczne żyłki, które nie występują na listkach dzikiego pachnącego groszku.

W książce Kari zamieszczono ostrzeżenie, że z powodu podobieństwa groszku, który może być trujący, do ziemniaka *należy bardzo uważać i dokładnie je odróżnić, nim użyje się dzikiego ziemniaka do spożycia.* We współczesnej literaturze medycznej nie ma przykładów zatrucia groszkiem, ale tubylcy zamieszkujący Północ wiedzieli od setek lat, że jest on toksyczny, i bardzo uważali, aby nie pomylić z nim ziemniaka.

Aby znaleźć udokumentowany przykład zatrucia dzikim groszkiem, musiałem przejrzeć dziewiętnastowieczne roczniki wypraw ark-tycznych. To, czego szukałem, odkryłem w dziennikach sir Johna Richardsona, słynnego chirurga szkockiego, przyrodnika i badacza. Był uczestnikiem dwóch nieszczęsnych wypraw sir Johna Franklina i obie przeżył. To on wykonywał egzekucję - przez zastrzelenie - na podejrzanym o morderstwo i kanibalizm. Richardson był również pierwszym botanikiem, który naukowo opisał dziki groszek pachnący i nadał roślinie nazwę. W 1848 roku, kiedy prowadził ekspedycję przez Arktykę Kanadyjską w poszukiwaniu zaginionego Franklina, poczynił porównania botaniczne ziemniaka i groszku. Jak zauważył w swym dzienniku, *Hedysarum alpinum posiada długie, elastyczne korzenie, które są*

słodkie jak lukrecja. Jadane wiosną przez tubylców, w późniejszym okresie stają się one drewniste, tracą soczystość i kruchość. Korzeń płożącego się, okrytego mezzem i mniej eleganckiego, ale z większymi kwiatami *Hedysarum mackenzii* jest trujący i omal nie zabił w Fort Simpson starej Indianki, która pomyliła go z poprzednio opisanym gatunkiem. Na szczęście okazał się on emetykiem i jej żołądek odrzucił wszystko, co połknęła, więc przeżyła, choć przez dłuższy czas jej wyzdrowienie było wątpliwe.

Łatwo sobie wyobrazić Chrisa McCandlessa popełniającego ten sam błąd. Szczególnie, że wszystkie dostępne dane wskazują na jego przyrodzoną popędliwość i nieostrożność. W artykule w „Outside” napisałem z całym przekonaniem, że chłopaka zabił dziki groszek pachnący. Prawie wszyscy dziennikarze, zajmujący się tą tragedią, wyciągnęli taki sam wniosek.

Gdy mijały miesiące i miałem okazję dłużej zastanowić się nad śmiercią McCandlessa, wyjaśnienie to uznawałem za coraz mniej prawdopodobne. Przez trzy tygodnie, począwszy od 24 czerwca, McCandless wykopywał i zjadał dziesiątki korzeni dzikich ziemniaków, nie myląc ich z groszkiem, więc dlaczego nagle 14 lipca, kiedy zaczął zbierać nasiona, a nie korzenie, miałby to uczynić?

Zaczynam być coraz bardziej przekonany, że McCandless, który skrupulatnie unikał trującego groszku, nigdy nie zjadł jego nasion ani innych części. Zatruił się, ale nie groszkiem. Przyczyną jego zgonu był dziki ziemniak, *Hedysarum alpinum*, gatunek wyraźnie scharakteryzowany w „Tanaina Plantlore” jako nietrujący. Autorka pisze jednak tylko o jadalnych korzeniach. Nie mówi nic o jadalnych nasionach, choć trzeba przyznać, że nie podkreśla też, żeby były toksyczne. W żadnych publikacjach nie ma mowy o toksyczności tych nasion i w żadnej literaturze medycznej ani botanicznej nie ma informacji o tym, żeby którakolwiek część rośliny była trująca.

Jednakże rodzina groszkowatych (*Leguminosae*, do której należy *Hedysarum alpinum*) obfituje w gatunki produkujące alkaloidy, związki chemiczne, które mają silny wpływ farmakologiczny na ludzi i zwierzęta (morfina, kofeina, nikotyna, kurara, strychnina i meskalina są alkaloidami). A toksyna jest dokładnie umiejscowiona w roślinie.

- Zdarza się - wyjaśnia John Bryant, ekolog chemik z Uniwersytetu Alaski w Fairbanks - że rośliny koncentrują alkaloidy w skórce nasienia pod koniec lata, aby odstraszyć zwierzęta od ich zjadania. W niektórych porach roku jest zupełnie możliwe, że roślina z jadalnymi korzeniami może mieć trujące nasiona. Jeśli gatunek produkuje alkaloidy, toksynę najczęściej można spotkać jesienią właśnie w nasionach.

Podczas pobytu nad rzeką Sushana zebrałem próbki *Hedysarum alpinum* rosnącego w promieniu kilku metrów od autobusu i posłałem nasiona do Toma Clausena, kolegi profesora Bryanta na Wydziale Chemii Uniwersytetu Alaski. Analiza spektrograficzna musi jeszcze być uzupełniona, ale wstępne badania prowadzone przez Clausena i jego dyplomanta, Edwarda Treadwella, wykazują, że nasiona zawierają ślady alkaloidu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest nim alkaloid indulizydynowy, znany hodowcom zwierząt jako składnik toksyczny w traganku jadowitym.

Występuje około pięćdziesięciu odmian traganka, przeważnie z rodziny

Astragalus, zbliżonej do *Hedysarum*. Najwyraźniejsze po zatruciu tragankiem jadowitym są objawy neurologiczne. Według artykułu z „Journal of the American Veterinary Medicine Association”, do objawów zatrucia tragankiem należą: *depresja, powolny, chwiejny chód, szorstka sierść, zamglony wzrok, wychudzenie, nieskoordynowanie mięśni oraz nerwowość. Na dodatek zatrute zwierzęta szukają samotności, trudno nimi kierować, mogą mieć kłopot z jedzeniem i piciem.*

Po odkryciu Clausena i Treadwella, że nasiona dzikich ziemniaków mogą zawierać swansoninę lub podobny trujący związek, należy zastanowić się, czy nasiona te mogły spowodować śmierć McCandlessa. Jeśli tak, nie był tak beztroski i niekompetentny, za jakiego zaczęto go uważać. Nie pomylił gatunków przez nieostrożność. Roślina, która go zatrula, nie była opisana jako toksyczna, wręcz przeciwnie; zjadał też bezpiecznie jej korzenie przez kilka tygodni. Przy swoim wygłodzeniu popełnił jedynie błąd, przyjmując strączki nasion. Osoba o lepszej znajomości botaniki pewnie by tego nie zrobiła. Ale był to błąd niewinny. Okazał się jednak wystarczający, aby stać się przyczyną śmierci. Efekty zatrucia są długotrwałe - alkaloid rzadko kiedy zabija od razu. Trucizna działa pośrednio, hamując powstawanie enzymu, niezbędnego w metabolizmie glikoprotein. Ciało nie może przetworzyć tego, co zjada, na energię. Jeśli się przyjmie zbyt dużo alkaloidu indolizydynowego, umrze się z głodu, niezależnie od ilości przyjmowanego pożywienia.

Zwierzęta czasami przeżywają zatrucie, gdy przestaną zjadać traganek jadowity, jeśli są w dobrej kondycji fizycznej. Aby toksyna mogła być wydalona wraz z moczem, musi się ona związać z dostępnymi cząsteczkami glukozy lub aminokwasu. Trzeba, by organizm miał spore zapasy protein i cukrów.

- Problem polega na tym - mówi profesor Bryant, że jeśli jest się chudym i głodnym, na pewno nie ma się żadnych zapasów glukozy ani białka i nie można wypłukać toksyn z organizmu. Kiedy zagłodzony ssak przyjmie alkaloid, nawet tak niewinny, jak kofeina, podziała on na niego znacznie silniej, niż działałby normalnie, ponieważ brak zapasów glukozy, umożliwiającą wydalenie. Alkaloid będzie się gromadził w organizmie. Jeśli wygłodzony McCandless zjadł dużą ilość tych nasion, mogło to być przyczyną katastrofy.

Oslabiony trującymi nasionami, McCandless odkrył, że nagle stał się zbyt słaby, żeby poszukiwać ratunku. Żeby polować. Wobec tego stawał się jeszcze słabszy, zbliżając się powoli do śmierci głodowej. Życie wymykało mu się spod kontroli w dramatycznym tempie. Nie wpisał nic do dziennika 31 lipca ani 1 sierpnia. Następnego dnia zanotował tylko: *Straszny wiatr*. Jesień była tuż-tuż. Temperatura opadała, a dni stawały się coraz krótsze. Każdy obrót ziemi skracał dzień o siedem minut. Przynosił o siedem minut dłuższą noc i zimno. W ciągu tygodnia przybyło jej prawie godzinę.

Dzień 100! Udało się! - zanotował 5 sierpnia, dumny z osiągnięcia. *Ale w najslabszym stanie w życiu. Śmierć mający jako poważne zagrożenie. Za słaby, aby wyjść, dosłownie uwięziony w głuszy - żadnej zwierzyny.*

Gdyby McCandless miał mapę „Opis Geologiczny Stanów Zjednoczonych”, zwróciłby uwagę na domek służby parkowej w górnym biegu rzeki Sushana, niecałe dziesięć kilometrów na południe od autobusu. Taką odległość zdołałby przebyć

nawet osłabiony. Chatka, położona już na obszarze Parku Narodowego Denali, była wyposażona w pewną ilość pożywienia, w miejsca do spania i apteczkę - przeznaczone dla strażników zimowych patroli. Chociaż niezaznaczone na mapie, o trzy kilometry bliżej autobusu znajdowały się jeszcze dwa domki, jeden należący do słynnej pary wędrowców z psami, zwanych musherami, Willa i Lindy Forsbergów, drugi - do pracownika parku, Steve'a Carvile'a. W obu z pewnością były jakieś zapasy.

Innymi słowy, ratunek dla McCandlessa wydawał się dostępny w granicach trzygodzinnego marszu. Po jego śmierci zwrócono uwagę na tę ironię losu. Ale nawet gdyby wiedział o tych chatach, nie miałby z nich pożytku: gdzieś w drugiej połowie kwietnia, gdy opustoszał ostatni z domków, bo z powodu topiących się śniegów wędrowki z psami i podróżowanie skuterem śnieżnym stało się problematyczne, ktoś włamał się do wszystkich trzech i wyrządził wielkie szkody. Żywność została wyrzucona na zewnątrz, na pastwę zwierząt i niepogody.

Szkody odkryto dopiero pod koniec lipca, kiedy biolog Paul Atkinson odbył wyczerpującą przeprawę przez ostępy, wędrując szesnaście kilometrów od drogi prowadzącej do Parku Narodowego Denali do schroniska służby parkowej. Był zszokowany i oburzony tą bezmyślną dewastacją.

- To na pewno nie sprawka niedźwiedzia - opowiada Atkinson. - Wiem dobrze, jakie szkody mogą one wyrządzić. Wygląda, jakby ktoś odwiedził domki z młotem i walił we wszystko na oślep. Sądząc po wysokości chwastów, jakie obrosły wyrzucone na dwór materace, wandal musiał tu być wiele tygodni temu.

- Kompletna ruina - opowiada o swym domku Will Forsberg. - Zostało zniszczone wszystko, co nie było przybite. Wszystkie lampy i większość okien. Pościel i materace wyciągnięto na zewnątrz i zrzucano na kupę, ściągnięto płyty sufitowe, poprzebijano puszki z paliwem, wyrzucono piec na drewno, a nawet dywan. I znikło całe jedzenie. Więc domki niewiele by Aleksowi pomogły, nawet gdyby je znalazł. A może i znalazł.

Forsberg uważa McCandlessa za pierwszego podejrzanego. Sądzi, że splądrował domki krótko po zadomowieniu się w autobusie, zaraz na początku maja. Wściekł się na ingerencję cywilizacji w jego cenne doświadczenie życia w dzikości i z premedytacją zniszczył domki. Teoria ta jednak nie wyjaśnia, dlaczego wobec tego nie unicestwił i autobusu.

Carvile również podejrzewa McCandlessa.

- To po prostu intuicja - wyjaśnia - ale czuję, że to taki facet, który mógł chcieć „wyzwolić przyrodę”. Zniszczenie domków byłoby jednym ze sposobów. A może kryła się za tym wielka nienawiść do rządu: zobaczył tabliczkę ze znakiem służby parkowej, założył, że wszystkie te domki to własność państwa, i postanowił uderzyć w Wielkiego Brata. Istnieje taka możliwość.

Władze nie uważają, żeby McCandless był wandal.

- Jesteśmy w martwym punkcie, jeśli idzie o dochodzenie, kto to mógł zrobić - mówi Ken Kehrer, główny strażnik Parku Narodowego Denali. - Ale Chris McCandless nie jest podejrzany.

Nie ma zresztą niczego w jego dzienniku ani na zdjęciach, co sugerowałoby, że znalazł się w pobliżu domków. Kiedy McCandless wyruszył na wyprawę z autobusu

na początku maja, sądząc ze zdjęć, skierował się na północ, w dół biegu rzeki Sushany, a w kierunku przeciwnym niż domki. A nawet gdyby jakoś na nie trafił, trudno sobie wyobrazić, żeby zniszczył je, nie chwając się tym w swym dzienniku.

Nie ma żadnych zapisków McCandlessa z 6,7 i 8 sierpnia. 9 sierpnia zanotował, że strzelił do niedźwiedzia, ale nie trafił, a nazajutrz - że zobaczył karibu, do którego nie strzelił, trafił natomiast pięć wiewiórek. Jeśli jednak w jego organizmie zebrała się spora dawka alkaloidu, ta ilość pożywienia nie wystarczała. 11 sierpnia zabił i zjadł jedną pardwę, 12 zwał się, żeby poszukać jagód, zostawiając przedtem na autobusie prośbę o pomoc na wypadek - bardzo mało prawdopodobny - gdyby ktoś się tam zatrzymał podczas jego nieobecności. Napisał starannymi, drukowanymi literami na kartce, wyrwanej z książki Gogola:

SOS. Potrzebuję waszej pomocy. Jestem chory, bliski śmierci i za słaby, żeby się stąd wydostać. Jestem zupełnie sam, to nie żart. Na miłość boską, zostańcie, żeby mnie uratować. Poszedłem zbierać jagody w pobliżu i wrócę wieczorem. Dziękuję.

Podpisał tę notatkę: *Chris McCandless. Sierpień?* Uznając powagę swej sytuacji, porzucił pretensjonalne przezwisko, Alexander Supertramp, i powrócił do imienia, nadanego mu przy urodzeniu przez rodziców.

Wielu Alaskańczyków zastanawiało się, dlaczego zdesperowany Chris nie wzniecił pożaru lasu, żeby dać sygnał. W autobusie były prawie cztery litry paliwa do kuchenki i nie sprawiłoby trudności rozpalenie wystarczająco dużego ognia albo wypalenie w torfowisku napisu SOS, który zwróciłby uwagę przelatujących samolotów. Ale wbrew powszechnym odczuciom, autobus nie leży pod żadną ustaloną trasą i samoloty przelatują nad nim bardzo rzadko. Przez cztery dni spędzone na Stampede Trail widziałem tylko odrzutowce handlowe latające na wysokości powyżej 7500 m. Prawdopodobnie od czasu do czasu pojawiały się jakieś małe samolociki, ale pożar musiałby być duży, żeby na pewno zwrócił uwagę. Tymczasem, jak podkreśla Carine McCandless:

- Chris nigdy, przenigdy nie podpaliłby świadomie lasu, nawet dla ratowania swojego życia. Każdy, kto sugerowałby coś podobnego, nie wie niczego o moim bracie. Śmierć głodowa nie jest przyjemnym sposobem zakończenia życia. W zaawansowanym stadium wygłodzenia organizm zżera sam siebie, ofiara odczuwa bóle mięśni, zaburzenia pracy serca, wypadanie włosów, zawroty głowy, zaburzenia oddechu, wielką nieodporność na zimno, zmęczenie fizyczne i umysłowe. Skóra traci kolor. Przy niedoborach podstawowych składników odżywczych zaburzona jest równowaga chemiczna w mózgu, co powoduje konwulsje i halucynacje. Ludzie, których uratowano przed śmiercią głodową, opowiadali, że pod koniec uczucie głodu zanika, bóle słabną i następuje euforia, poczucie spokoju, któremu towarzyszy jasność umysłu. Miło byłoby pomyśleć, że Chris McCandless doświadczył czegoś podobnego.

12 sierpnia napisał ostatnie, jak się okazało, słowa w dzienniku: *Piękne jagody*. Od 13 do 18 w notatkach nie ma nic prócz oznaczania dni. W którymś momencie tamtego tygodnia wydarł ostatnią kartkę ze wspomnień Louisa Amoura „Edukacja wędrowca”. Po jednej stronie autor cytował kilka linijek z wiersza Robinsona Jeffersa „Mędrzy w chwilach zwątpienia”:

Śmierć to morderczy ptak na łące, lecz umrzeć

*zostawiając dzieło,
Które bliższe będzie osiągnięciom stuleci
Niż muskuły i kości, to znaczy zrzucić słabość.
Góry są z martwych kamieni. Ich wyniosła postawa
I zuchwały spokój budzą nienawiść lub podziw u ludzi.
Góry przez to nie miękną, obcy im jest niepokój,
A myśli nieliczne umarłych mają podobny profil.*

Po drugiej, pustej stronie kartki McCandless umieścił krótkie pożegnanie:

Miałem szczęśliwe życie i dzięki Ci, Panie. Do widzenia i niech Bóg was wszystkich błogosławi!

Następnie wsunął się do śpiwora, który uszyła mu matka, i pogrążył się w nieświadomości. Zmarł prawdopodobnie 18 sierpnia, 112 dni po wejściu w głuszę, 19 dni przed tym, jak sześcioro Alaskańczyków znalazło się koło autobusu i trafiło na jego ciało.

Jedną z jego ostatnich czynności było zrobienie zdjęcia sobie, stojącemu obok autobusu pod wysoko sklepionym niebem Alaski, wyciągającemu jedną ręką swoją pożegnalną notatkę w kierunku obiektywu.

Drugą unosił w odważnym, uszczęśliwiającym pożegnaniu. Twarz miał potwornie wychudzoną, prawie jak szkielet. Ale jeśli było mu siebie żal w tych ostatnich godzinach - bo był taki młody, bo był sam, bo ciało go zdradziło, a wola zawiodła - nie widać tego na zdjęciu. Uśmiecha się, a spojrzenie jego oczu nie pozostawia wątpliwości: Chris McCandless był uspokojony, pogodny jak mnich, który odszedł do Boga.

EPILOG

Wciąż krąży gdzieś smutne wspomnienie, a czasem unosi się jak pływająca mgła, przysłaniając słońce i przydając chłodu wspomnieniom szczęśliwszych czasów. Była radość zbyt wielka, żeby opisać ją słowami, i żal, nad którym nie zdołam się zatrzymać, a myśląc o tym wszystkim, mogę powiedzieć: wspinaj się, jeśli tego pragniesz, lecz pamiętaj, że odwaga i siła są niczym bez rozwagi i że chwila roztargnienia może zniweczyć szczęście całego życia. Nie rób niczego w pośpiechu, kontroluj każdy krok i od początku myśl o tym, co może być na końcu.

Edward Whymper, „Scrambles Amongst the Alps”

Śpimy w rytmie katarynki czasu; budzimy się, jeśli się w ogóle budzimy, wobec ciszy Boga. A wtedy, kiedy budzimy się na głębokich brzegach niestworzonego czasu, kiedy nad odległymi stokami czasu rozbłyśnie ciemność, wtedy nadchodzi pora, by rzucać wszystko - nasz rozum i naszą wolę - wtedy nadchodzi pora, by pędzić do domu na złamanie karku.

Nie ma innych wypadków niż myśli i zwroty serca, powolne uczenie serca, gdzie i kiedy ma kochać. Reszta to tylko plotki i opowieści na później.

Annie Dillard, „Holy the Firm”

Helikopter pcha się w górę nad zboczem góry Healy. Gdy wskazówka na wysokościomierzu dochodzi do 1500 m, zakręcamy nad grzbietem błotnistego koloru, ziemia ucieka, a ekran z pleksiglasu wypełnia się zapierającym dech w piersiach widokiem tajgi. Widzę z daleka Szlak Stampede - słaba, cienka linia przecina krajobraz ze wschodu na zachód. Billie McCandless siedzi z przodu, Walt i ja zajmujemy miejsca z tyłu. Minęło dziesięć trudnych miesięcy od czasu, gdy Sam McCandless pojawił się na ich progu w Chesapeake Beach, aby im powiedzieć o śmierci Chrisa. Uznali, że nadszedł już czas odwiedzić miejsce, w którym syn zakończył życie, by zobaczyć je na własne oczy.

Walt spędził ostatnie dziesięć dni w Fairbanks, wykonując pracę zleconą dla NASA; obmyślał powietrzny system radarowy dla wypraw poszukiwawczych i ratunkowych, dzięki któremu łatwiej będzie umiejscowić samolot po katastrofie na tysiącach kilometrów gęsto zalesionego terenu. Od kilku dni zdradzał roztargnienie, poirytowanie. Billie, która przyjechała na Alaskę dwa dni temu, wyznała, że odwiedzić autobus było dla niego bardzo trudno. Ona natomiast, ku własnemu zdumieniu, jest spokojna i od dawna chciała odbyć tę wyprawę.

Zamówienie helikoptera oznaczało zmianę planów w ostatniej chwili. Billie bardzo chciała podróżować lądem, przebyć Szlak Stampede tak jak Chris. Skontaktowała się z Butchem Killianem, górnikiem z Healy, który był obecny przy odnalezieniu ciała Chrisa. Zgodził się podwieźć Walta i Billie swym pojazdem terenowym. Wczoraj jednak zadzwonił do nich do hotelu z wiadomością, że wody Teklaniki wciąż jeszcze są zbyt wysokie, żeby zupełnie bezpiecznie przeprować się przez rzekę nawet jego amfibią, z napędem na cztery koła. Stąd pomysł z helikopterem.

Sześćset metrów pod nami rozciąga się dywan upstrzony zielenią moczarów i lasów świerkowych. Teklanika wygląda jak długa, brązowa wstążka, rzucona niedbale na ziemię. U zbiegu dwóch mniejszych strumieni przyciąga nasz wzrok nienaturalnie błyszczący obiekt: autobus nr 142 z Fairbanks. Pokonanie tej odległości zabrało Chrisowi cztery dni, nam - piętnaście minut. Maszyna siada hałaśliwie na ziemi, pilot wyłącza silnik i zeskakujemy na piaszczysty grunt. Helikopter unosi się, omiatając ziemię śmigłem, a po chwili otacza nas dramatyczna cisza. Gdy Walt i Billie stoją kilka metrów od autobusu, patrząc bez słowa na dziwaczny pojazd, z pobliskiej osiki odzywa się trio sójek.

- Jest mniejszy, niż myślałam - mówi w końcu Billie. - To znaczy autobus. - I rozglądając się po okolicy, dodaje: - Jakie piękne miejsce. Bardzo mi przypomina okolicę, w której się wychowałam. Och, Walt, to wygląda zupełnie jak w Upper Peninsula! Chrisowi musiało się tu ogromnie podobać.

- Mam wiele powodów, żeby nie lubić Alaski, prawda? - odpowiada z rozdrażnieniem Walt. - Ale przyznaję, że to miejsce ma swój urok. Rozumiem, co mogło się Chrisowi podobać.

Przez następne pół godziny spacerują cicho wokół zdezelowanego pojazdu, idą nad rzekę, zaglądają do pobliskiego lasu. Billie pierwsza wchodzi do autobusu. Walt

wraca znad strumienia i znajduje ją siedzącą na materacu, na którym zmarł Chris. Długo wpatruje się w milczeniu w buty syna, stojące pod piecykiem, w jego napisy na ścianach, jego szczotkę do zębów. W jej oczach nie widać łez. Schyla się i przygląda leżącej na stole łyżce z charakterystycznym kwiatowym wzorem na trzonku.

- Walt, popatrz - mówi. - Mieliśmy takie sztuce w domu, w Annandale.

Przed autobusem podnosi zniszczone, połatane dzinsy Chrisa i zamykając oczy, przyciska je do twarzy.

- Powąchaj - mówi do męża ze smutnym uśmiechem. - Wciąż pachną Chrisem. - I po dłuższej chwili, nie wiadomo do kogo się zwracając, może najbardziej do siebie: - Musiał być bardzo dzielny i bardzo silny, żeby z sobą nie skończyć.

Billie i Walt przez następne dwie godziny kręcą się; wchodzą do autobusu i wychodzą z niego. Walt instaluje tuż za drzwiami mosiężną tabliczkę z wygrawerowanymi kilkoma słowami. Pod nią Billie układa bukiet z gałązek wierzbowki, krwawnika i świerku. Pod łóżkiem, z tyłu, zostawia walizkę z apteczką, jedzeniem w puszkach, innymi niezbędnymi artykułami i kartkę z prośbą, żeby każdy, kto ją przeczyta, starał się jak najprędzej zadzwonić do rodziców. W walizce znajduje się też Biblia, która była własnością małego Chrisa, chociaż Billie, jak przyznaje, „nie modli się od czasu, jak go utracili”.

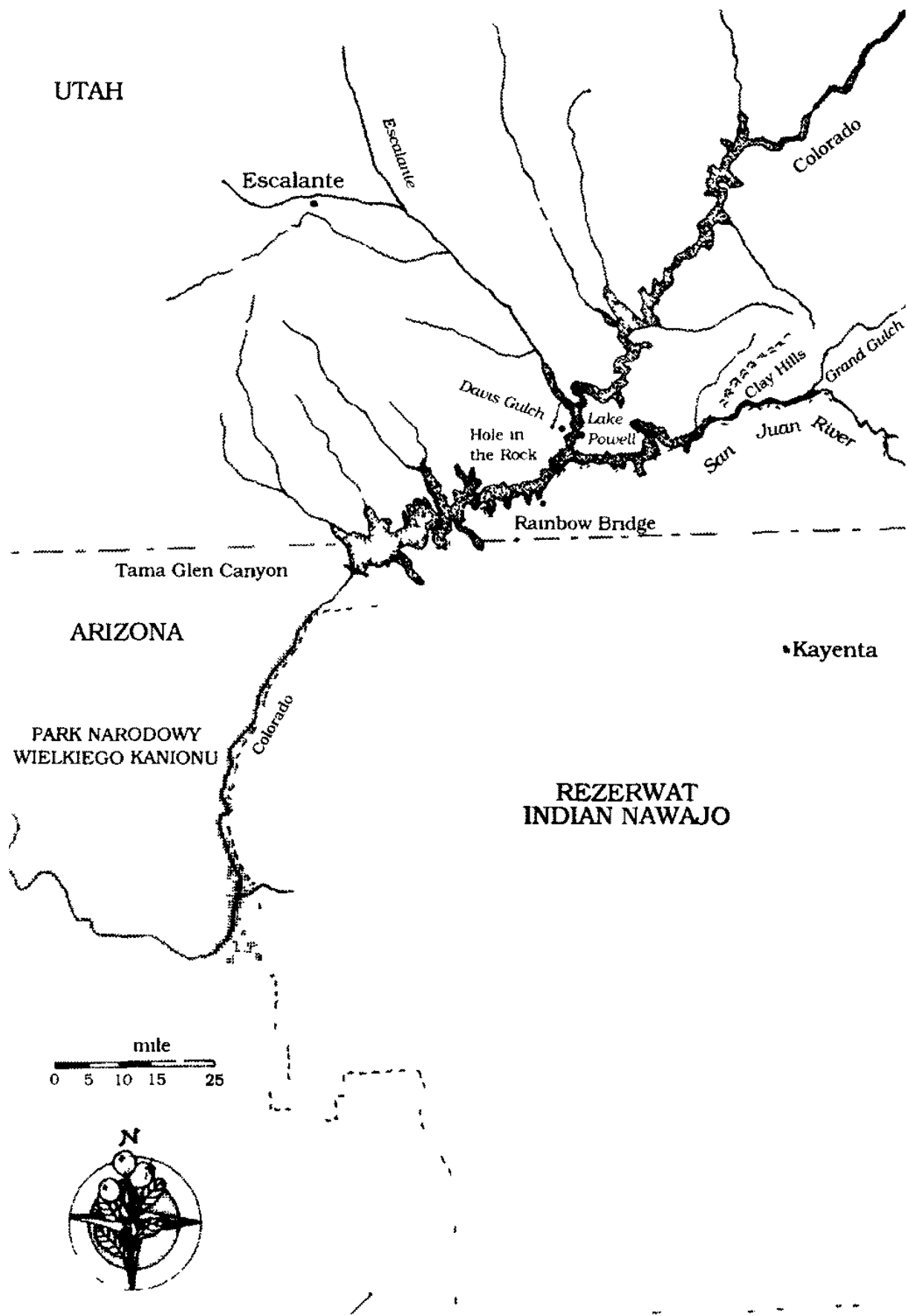
Walt, w refleksyjnym nastroju, niewiele się odzywa, ale widać, że jest pogodniejszy niż w ostatnich kilku dniach.

- Nie wiedziałem, jak na to zareaguję - przyznaje, wskazując na autobus. - Ale teraz cieszę się, że przyjechaliśmy.

Mówi, że dzięki tej krótkiej wizycie bardziej rozumie, dlaczego syn tu się znalazł. Wciąż jeszcze wiele spraw, związanych z Chrisem, jest dla niego niejasnych, ale już trochę mniej. I wdzięczny jest za tę pociechę.

- Dobrze wiedzieć, że Chris tu był - wyjaśnia Billie - wiedzieć na pewno, że spędzał czas nad rzeką, że tu stał. Przez ostatnie trzy lata odwiedziliśmy tyle miejsc i wszędzie się zastanawialiśmy, czy Chris tam znalazł się przed nami. To było straszne - nie wiedzieć. Zupełnie nic nie wiedzieć. Wielu ludzi mi mówiło, że podziwiają Chrisa za to, czego usiłował dokonać. Gdyby przeżył, zgodziłabym się z nimi. Ale nie przeżył i nic go nie wróci. Nie da się tego naprawić. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się pogodzić z tą stratą. Chris odszedł - jest to bolesne, czuję to codziennie. Niektóre dni są lepsze, niektóre gorsze, ale będzie mi to ciążyło do końca życia.

Nagle ciszę przerywa warkot helikoptera, który wynurza się z chmur i zataczając koła, ląduje na półku zielska. Wchodzimy do środka, śmigła tną powietrze i kręcą się przez chwilę, nim maszyna wzniesie się stromo w kierunku południowo-wschodnim. Przez kilka minut widać przez drzewa dach autobusu, maleńką, białą błyskotkę, która staje się coraz mniejsza i mniejsza, aż znika zupełnie.



Podziękowania

Napisanie tej książki byłoby niemożliwe bez znacznej pomocy ze strony rodziny McCandlessów. Jestem głęboko wdzięczny Waltowi McCandlessowi, Billie McCandless, Carine McCandless, Samowi McCandlessowi i Shelly McCandless Garcia. Udostępnili mi potrzebne dokumenty, listy i fotografie Chrisa; wiele ze mną rozmawiali. Żaden z członków rodziny nie próbował ingerować w treść i przesłanie tej książki, wiedząc, że znajdzie się w niej materiał, mogący im przysporzyć bólu. Na prośbę rodziny dwadzieścia procent honorarium od każdego sprzedanego egzemplarza książki będzie przekazanych na fundusz stypendialny imienia Chrisa McCandlessa.

Wdzięczny jestem Dougowi Stumpfowi, który zakupił rękopis dla wydawnictwa Villard Books/Random House oraz Davidowi Rosenthalowi i Ruth Fecych, którzy wydali książkę z wielką starannością, po przedwczesnym odejściu Douga. Dziękuję również Annik LaFarge, Adamowi Rothbergowi, Danowi Rembertowi, Dennisowi Ambrose, Laurze Taylor, Dianie Frost, Deborah Foley i Abigail Winograd z Villard/Random House za pomoc.

Książka ta powstała najpierw jako artykuł dla magazynu „Outside”. Chciałbym podziękować Markowi Bryantowi i Laurze Hohnhold za przydzielenie mi tej pracy i sprawne jej organizowanie. Adam Horowitz, Greg Cliburn, Kiki Yablon, Larry Burke, Lisa Chase, Dan Ferrara, Sue Smith, Will Dana, Alex Heard, Donovan Webster, Kathy Martin, Brad Wetzler i Jacqueline Lee również pracowali nad tym artykułem.

Specjalną wdzięczność jestem winien Lindzie Mariam Moore, Romanowi Dialowi, Davidowi Robertsowi, Sharon Roberts, Mattowi Hale i Edowi Wardowi za nieocenione uwagi i krytykę, Margaret Davidson za sporządzenie wspaniałych map i Johnowi Ware, mojemu niezrównanemu agentowi.

Wielki wysiłek włożyli również Dennis Burnett, Chris Fish, Eric Hathaway, Gordy Cucullu, Andy Horowitz, Kris Maxie Gillmer, Wayne Westerberg, Mary Westerberg, Gail Borah, Rod Wolf, Jan Burres, Ronald Franz, Gaylord Stuckey, Jim Gallien, Ken Thompson, Gordon Samel, Ferdie Swanson, Butch Killian, Paul Atkinson, Steve Carwile, Ken Kehrer, Bob Burroughs, Berle Mercer, Will Forsberg, Nick Jans, Mark Stoppel, Dan Solie, Andrew Liske, Peggy Dial, James Brady, Cliff Hudson, nieżyjący Mugs Stump, Kate Bull, Roger Ellis, Ken Sleight, Bud Walsh, Lori Zarza, George Dreeszen, Eddie Dickson, Priscilla Russel, Arthur Kruckeberg, Paul Reichart, Doug Ewing, Sarah Gage, Mike Ralphs, Richard Keeler, Nancy J. Turner, Glen Wagner, Tom Clausen, John Bryant, Edward Treadwell, Lew Krakauer, Carol Krakauer, Karin Krakauer, Wendy Krakauer, Sarah Krakauer, Andrew Krakauer, Ruth Selig i Peggy Langrall.

Korzystałem z opublikowanych prac dziennikarzy takich jak: Johnny Dodd, Kris Capps, Steve Young, W.L. Rusho, Chip Brown, Glenn Randall, Jonathan Waterman, Debra McKinney, T.A. Badger i Adam Biegel.

Za inspirację, gościnność, przyjaźń i mądre rady wdzięczny jestem Kai Sandburn, Randy'emu Babichowi, Jimowi Freemanowi, Steve'owi Rottlerowi, Fredowi Beckeyowi, Maynardowi Millerowi, Jimowi Do-herty, Davidowi Quammenowi, Timowi Cahillowi, Rosalie Stewart, Shannonowi Costello, Alison Jo Stewart,

Maureen Costello, Arielowi Kohnowi, Kelsi Krakauer, Miriam Kohn, Deborah Shaw, Nickowi Millerowi, Gregowi Childowi, Danowi Cauthornowi, Kitty Calhoun Grissom, Colinowi Grissomowi, Dave'owi Jonesowi, Fran Kaul, Davidowi Trione, Dielle Havlis, Patowi Josephowi, Lee Joseph, Pierret Vogt, Paulowi Vogtowi, Ralphowi Moore, Mary Moore i Woodrow O. Moore.

„Wszystko za życie” jest opowieścią prawdziwą, choć ma w sobie piękno największych iluzji. To próba rekonstrukcji zdarzeń i emocji, które doprowadziły do śmierci Chrisa McCandlessa, wędrowca zapuszczającego się w dzikie ostępy. Znany alpinista Jon Krakauer próbuje dociec, dlaczego młody człowiek po otrzymaniu dyplomu uniwersyteckiego zrywa wszelkie więzi z najbliższymi i wyprawia się samotnie w głąb Alaski. Dlaczego odrzuca dobrodziejstwa cywilizacji, nie zabiera sprzętu, ciepłych ubrań, pieniędzy ani jedzenia, i podejmuje ryzyko, które kończy się dla niego tragicznie. Reporter bada wnikliwie każdy szczegół, dociera do świadków, analizuje zapiski, poznaje starannie topografię okolicy, odwołuje się wreszcie i do historii innych samotników, i własnych przeżyć z młodości. W ten sposób relacja z wyprawy w alaskańską głuszę zamienia się w opowieść o ludzkim losie - o marzeniach, klęskach, zawodach, o ciągłej potrzebie i ryzyku transgresji.

Cena 19 zł

ISBN 83-7180-295-1